

Andrzej
Danilukiewicz



REKONFIGURACJA

Andrzej Danilkiewicz

REKONFIGURACJA

Szczególne podziękowania dla: Anny, Dominiki, Emilii, Marty, Iwony, Andrzeja, Arkadiusza, Wiktora i wszystkich tych, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Od autora

Umberto Eco powiedział kiedyś, że chciałby znaleźć się na bezludnej wyspie z książką telefoniczną. Mógłby wtedy - jak twierdzi ten pisarz - wymyślać historie o wszystkich ludziach znajdujących się w tym przepastnym tomie. To także moje marzenie.

Długo szukałem pozycji książkowej, która mogłaby mnie usatysfakcjonować, a jednocześnie odpowiedzieć na nurtujące mnie, jak i wielu ludzi pytanie: jak będzie wyglądał nasz świat, gdy mnie już na nim nie będzie? Poza starą dobrą literaturą nie mogłem natrafić na żadną pozycję, która by mi odpowiadała. Postanowiłem więc ją napisać. Gdy siadłem do komputera, z przerażeniem odkryłem, że to nie ja piszę tę książkę, lecz ona pisze się sama. Spod klawiatury zaczęły wydobywać się słowa i zdania, które tkwiły we mnie gdzieś głęboko, a które dopiero po ich spisaniu ułożyły się w pewną całość. Tak, ta książka napisała się sama, choć tak formalnie to napisałem ją ja. Odkryłem też dzięki niej sekret pisania. Według mnie, nie polega on wcale na erudycji, umiejętności układania zdań czy zdolności do wymyślania interesujących historii, lecz na mozolnej, systematycznej pracy i oddaniu palców na klawiaturze we władanie podświadomości.

Wiadomym jest, że wszelkie próby przewidywania przyszłości zależne są od przyjętej perspektywy czasowej. Im przewidywanie jest bardziej oddalone w czasie, tym mniej precyzyjne. Więc być może, aby dokładnie przewidzieć, należy skoncentrować się na tym, co będzie za chwilę? Nie chodzi tu o refleksję dla samej refleksji, lecz o to, aby w owej projekcji dopatrzeć się czegoś, co jeszcze można

zmienić.

O czym jest tak książka? Jest to historia o ludziach i przeznaczeniu. A wszystko w świecie, który za wszelką cenę próbuje nam wmówić, że jest inny. A tak naprawdę, wciąż od tysiącleci jest taki sam. Odchodzi on tylko i powraca do normalności, jak przyptywy i odpływy morza.

Jaki jest to gatunek literacki? Nie wiem. Zwykle unikam zaszufładowań.

„Bo podobnie jak o drzewie, nic nie wiesz o człowieku, jeśli go podzielisz na momenty trwania i pokawałkujesz wedle tego, co go odróżnia. Drzewo to wcale nie nasienie, a potem łodyga, potem pień gibki, wreszcie suche drzewo. Nie trzeba go dzielić by poznać. Drzewo to ta potęga, co wolno zaślubia niebo. Podobnie jak ty, mały człowieku. Bóg sprawia, że rodzisz się, rośniesz, że wypełniają cię kolejno pragnienia, żale, radości, cierpienia, wściekłość i przebaczenie - a potem bierze cię do siebie z powrotem. Nie jesteś jednakże ani uczniem, ani małżonkiem, ani dzieckiem, ani starcem. Jesteś tym, który szuka swojej pełni. A jeżeli będziesz umiał zobaczyć, że jesteś gałązką kołysaną wiatrem, ale mocno wszczepioną w drzewo oliwne, poruszany powiewem zakosztujesz wieczności. I wszystko dookoła ciebie stanie się wieczne. Wieczne będzie śpiewające źródło, co poilo twoich przodków, wieczny blask oczu, kiedy się będziesz uśmiechał do ukochanej, i wieczny chłód, i rzeźkość nocy. Czas nie jest wtedy klepsydrą przesypującą piasek, ale żniwiarzem, co wiąże snopy.h

*Antoine de Saint-Exupéry, Twierdza przekład Aleksandra
Olędzka - Frybesowa, Warszawa 1985*

Małgosi.

Prolog.

Pluton egzekucyjny jest po to, aby strzelający żołnierz nie miał wyrzutów sumienia i nie musiał myśleć, że to jego kula zabiła tego stojącego pod ścianą nieszczęśnika. Ludzie muszą więc dzielić się odpowiedzialnością za śmierć. Dlatego ze wszystkich systemów, jakie tworzy człowiek, systemy zagłady wychodzą mu najlepiej.

Usiadł na dworcowej ławce tuż obok drugiego peronu. Nerwowo zerknął na zegarek. Wiedział doskonale, że nie powinien był tego robić. Kamery dworcowe mogą zarejestrować ten gest, a on zamiast wtopić się w tłum stanie się od razu podejrzanym. Ale czy to, co czynił, nie było właśnie wlewaniem się w otaczającą go ludzką masę? Czy tak właśnie nie zachowują się ludzie będący na dworcu i czekający na pociąg? Rozejrzał się dookoła i w przeciągu niespełna minuty zauważył kilka innych osób wykonujących ten sam gest. Nie uspokoiło go to, ale dało mu coś w rodzaju usprawiedliwienia. Czekają na ten pociąg od kilkunastu minut, a robi to tylko po to, aby wsiąść do niego, przebyć wąskim korytarzem kilka wagonów i wyjść na końcu składu poza okiem dworcowych kamer. Miał także włożyć na głowę baseballową czapkę i zdjąć kurtkę. Tak nakazywały procedury. Te pedantyczne zabiegi i tak były na nic. Robota zwykle była wykonywana perfekcyjnie. Zresztą jaka to perfekcja? Zamontować niewielkie pudełeczko w jednym z przedziałów wagonu podmiejskiego pociągu? Chwila, kilka sekund. Reszta to tylko zawodowa profilaktyka.

Od dawna wiadomo, że kara śmierci to barbarzyństwo. Jak

zwykle społeczeństwa zostały przekonane do tego nowego dogmatu powoli, ale skutecznie przez system medialnej propagandy. Filmy pokazywały od dekad wyłącznie płaczliwe historie o niewinnie skazanych, wrażliwych mordercach odkrywających w sobie jakieś talenty lub powołania. Ale nie sentymenty zdecydowały o odejściu od tego barbarzyństwa. Długotrwałe procesy, oczekiwanie, wyrok, demonstracje przeciwników, to wszystko było koszmarnie drogie i nieużyteczne. Uliczne gangi znalazły już dawno przecież znacznie efektywniejszy sposób utrzymania porządku bez zbędnej szopki. Wystarczyło tylko ten model doprowadzić do perfekcji. Prawdziwą innowacją był jednak jej prewencyjny i technologiczny charakter.

Urządzenie zamontowane w przedziale zadziała, gdy w jego bezpośrednim pobliżu znajdzie się niewielki, mobilny czujnik lub substancja aktywująca zwana „katalizatoremh. Wtedy nastąpi wypuszczenie specjalnego gazu paraliżującego układ nerwowy lub wywołującego atak serca. W tej konstrukcji śmiertelnych pudełek katalizator przybierał często formę niepozornej naklejki umieszczonej gdzieś w garderobie ofiary. Kiedy nastąpi zgon? Nie wiadomo, ale jeśli delikwent z czujnikiem podróżuje stale po tej trasie, jest bardzo mało prawdopodobne, że ktoś taki nie znajdzie się w przeciągu kilku miesięcy w tym przedziale, tym bardziej, że pociąg składa się zaledwie z kilku wagonów. Emisja gazu nastąpi niepostrzeżenie. Cała finezja tego rozwiązania polega na tym, że gaz nie zadziała od razu. Jego cząsteczki uaktywnią się dopiero kilka dni po dostaniu się do płuc lub w kontakcie ze skórą ofiary. Substancja ta nie pozostawia

żadnych śladów w organizmie już godzinę po zejściu nieszczęśnika. Ostateczne działanie gazu na ofiarę zależy często od jej samej: wieku, cech genetycznych czy siły organizmu. Temu, kto połączy fakt kilku lub kilkunastu zgonów przypadkowych osób w różnych miejscach z naturalnych przyczyn z faktem odległej w czasie podróży koleją, powinien być przyznany kryminalistyczny Nobel. Jeśli taki by istniał.

Kto ma być ofiarą? Jana nie interesowało. Wiedział doskonale, że świat roi się od terrorystów, psychopatów i wszelkiej maści złoczyńców, czyhających tylko na zniszczenie tego wspaniałego porządku. Wiedział, że należy ich eliminować i robić to niepostrzeżenie dla dobra wszystkich. „Nie jest sztuką zabić tak, aby cię nie złapali. Sztuką jest zrobić to tak, żeby nikt nie wiedział, że ktoś został zgładzony - uczono go. On poza tym nikogo nie zabijał. Montował tylko pudełka w przedziwnych miejscach, co skutecznie zabijało przede wszystkim wyrzuty sumienia. Nigdy nie spotka przecież swej ofiary. A że przypadkiem pójdzie do nieba kilku niewinnych? „A kto powiedział, że świat jest sprawiedliwy? Każdemu przecież może na ulicy spaść cegła na głowę - powtarzał sobie czasem wyuczone na pamięć formułki. - „Trzeba dla dobra społeczeństwa plewić te grządki. Jego poprzednicy w tym zawodzie robili to bardziej oficjalnie i ostentacyjnie. Teraz to nie przejdzie.

Czasem obie nieszkodliwe substancje czekały całymi latami na swoje zbliżenie, którego owocem mogło być tylko poczęcie śmierci. Ofiara chodząc po ulicach nie przypuszczała nawet, że jest na celowniku. Zdarzało się, że czasami rezygnowano także z samych

pudełek, aby zlikwidować szczególnie niebezpiecznych wrogów. Podobno kiedyś, aby zgładzić wyjątkowo sprytnie ukrywającego się terrorystę, śmiertelną substancję dodano do paliwa na kilkudziesięciu stacjach benzynowych. Wszyscy w mieście wdychali ją, a zginął tylko ten konkretny zwyrodnialec. Gdyż substancja dostosowana była ściśle do jego kodu genetycznego. Do dziś nie wiadomo, kim był i co robił. Nikogo to nie obchodziło. Ważne, że był niebezpieczny i został unieszkodliwiony. Wielokrotnie zapewniano go, że „mordercza zasłona dymna” stosowana jest niezmiernie rzadko, gdy nie było możliwe podanie ofierze katalizatora. O wiele częściej stosowano inny system aktywacji, w którym użyta w pudełkach substancja działała jak snajperski karabin, precyzyjnie atakując konkretnego terrorystę. Dla jej uaktywnienia potrzebny był katalizator znajdujący się w organizmie ofiary. Skąd tam się wziął? Sposobów było wiele: zastrzyk, szczepionka czy nawet posiłek w restauracji. Wybór katalizatora zależał od konstrukcji urządzenia oraz od przyjętej strategii zgładzenia danego zwyrodnialca.

Jan miał tylko zamontować pudełeczko. Kto inny jest odpowiedzialny za podłożenie w ubraniu, butach lub bagażu ofiary pluskwy uruchamiającej mechanizm lub podanie jej katalizatora, co już równało się z wyrokiem śmierci. I tak za dużo wiedział, a w tej pracy taka wiedza jest bardziej niebezpieczna niż substancja, którą nosi czasem w swych kieszeniach. Czasami we śnie widział swe ofiary wysiadające z pociągów, autobusów lub wind. Takie sny nawiedzały go jednak rzadko. Coraz rzadziej. Odporność przychodzi

wraz z wiekiem.

Przypomniał sobie szkolenie, które odbył, gdy był dopiero adeptem w swojej branży.

„Tu jest klawiatura, na której wpisujemy konkretny kod katalizatora. - informował na szkoleniu instruktor. - Kod jest pięciocyfrowy. W przypadku wyboru trybu „powszechnego rażenia wprowadzamy kod 01010. Tryb ten powoduje, że zginą wszyscy, którzy mieli wcześniej czy później do czynienia z wydzielaną z urządzania substancją. Wtedy katalizator nie jest potrzebny, za to niezbędny jest czujnik aktywacyjny lub zdalne uruchomienie. W określonych warunkach społeczeństwo ma prawo i obowiązek bronić się przed terrorystyczną agresją wykorzystując do tego metody samych terrorystów. Tylko to ich uczy moresu. Z czasem będą musieli odrzucić przemoc widząc, że nie przynosi ona rezultatów. Ale do tego jeszcze długa droga. I jeszcze jedno. Pamiętajcie, to są wyjątkowe kanale, które czyhają na nasze życie!h - grzmiał dalej instruktor antyterroryzmu, jakby się usprawiedliwiał. Jan pamiętał doskonale to szkolenie i wypowiedź instruktora. Po zakończeniu słownej kanonady szkoleniowca rękę podniósł jakiś szczupły, drobny mężczyzna w okularach i zapytał, dlaczego terroryści tak zaciekle walczą o swoje racje mimo, że wiedzą, że ta walka nie ma sensu? Prowadzący udzielił długiej, bełkotliwej odpowiedzi, mówiąc o budowaniu lepszego świata bez granic, uprzedzeń i dyskryminacji. Wszyscy znali te frazesy na pamięć i nikt nie śmiał dyskutować. Na drugi dzień szczupłego mężczyzny w okularach już nie było. I do końca kursu nikt

nie zadawał już trudnych pytań.

Część pierwsza

JAN

„A być może niedaleki jest okres, w którym wprowadzi się jednolite kombinezony dla wszystkich i to na kolejnym etapie będzie słuszne.

Bo na jakimkolwiek byśmy nie byli lub będziemy etapie, zawsze będziemy na etapie właściwym, ponieważ przyjęliśmy jedynie słuszną linię.

Ponieważ wiedzeni nieomylnym instynktem, wybieramy, nieomylnie siłą rzeczy, nieomylnych przywódców, którzy nieomylnie wskazują nam jedynie słuszną drogę. [...]

Bo jedna rzecz nie ulega zmianie na żadnym etapie.

Zawsze o wszystkim decydowała niezmiennie wierność jedynie słusznej linii. A etapowych przejściowych trudności niejednokrotnie nie można po prostu uniknąć, ponieważ związane są one z dynamiką naszego rozwoju, natomiast zawsze można je przezwyciężyć.

Jerzy Dobrowolski, Wspomnienia moich pamiętników

- Nawet nie chodzi o to, ale co generalnie może w dzisiejszych czasach robić człowiek? Większość absolwentów wypływanych przez szkoły i tak nie znalazłoby żadnego zatrudnienia, więc studia straciły już dawno swój praktyczny charakter. To takie intelektualne hobby. A pracę i tak znajduje się przez przypadek, znajomości lub obrotny tyłek. I masz pretensję do dziennikarzy za to, że są jacy są?

- Chyba mnie przekonałaś. - powiedział Jan. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje na uniwersytetach. W jego zawodowym slangu nazywano je „akumulatorami”. Gdyż były przechowaną dla całej masy ludzi, z którymi i tak nie wiadomo było co zrobić.

Akumulatory były także narzędziem szczególnej inżynierii społecznej jego resortu zwanej: „wyrównywaniem”. Polegało to na przyjmowaniu na uniwersytety jak największej liczby idiotów i otwieraniu dla nich jak największej ilości dumnych specjalności. Ci prawdziwi, intelektualnie utalentowani, zostawali co najwyżej sprzedawcami w dziale z warzywami jakiegoś marketu. Przecież gdy ktoś chce wyrównać sztachety w płocie, musi zrobić to do tej najkrótszej. Swoje robił też panoszący się powszechnie polityczny nepotyzm, wprowadzający tylnymi drzwiami do wszelkich instytucji bandę totalnych imbecyli, ale legitymujących się świetnymi ocenami na studiach. Po co to wszystko? Człowiek inteligentny i wykształcony jest niebezpieczny, szuka dziury w całym, dyskutuje, chce zmian, a co najgorsze - przekonuje innych do swych racji i poglądów. Innymi słowy, sieje niepotrzebny ferment. A tak zamiast nich powstają dwie

kategorie ludzi całkowicie nieszkodliwych: ćwierćinteligent, uważający się za pępek świata, lecz tak naprawdę znający swe możliwości, więc siedzący cicho, i inteligentny pracownik stacji benzynowej o niskiej samoocenie. Dzięki temu prostemu zabiegowi po ulicach chodzi cała masa niezdolnych do buntu osobników, bo do jakiegokolwiek buntu czy zmiany potrzebna jest elita. A tymczasem potencjalnie członkowie tej elity, zamiast rozmontowywać system będą co najwyżej rozmontowywać samochody na stacji napraw lub na szrocie, a jedynym buntem, do jakiego będą zdolni, będzie pokazanie szefowi środkowego palca, na dodatek gdy on tego nie widzi. W całym tym zamieszaniu nie chodzi nawet o dostęp do wiedzy, lecz o celowo podsycaną przez jego resort kastowość. Dzięki niej robotnik nie ma szans zostać wysłuchany przez tak zwanych „intelektualistów”, bo jedyne czego doświadczy z ich strony to pogarda. Więc nawet nie próbuje. Poza tym czasy, w których robotnik mógł stanąć na czele ruchu społecznego, już dawno odeszły do lamusa. Jeśli nawet coś takiego mogłoby się zdarzyć, ów „lider” musiałby być pracownikiem Firmy. Nie było przecież innego wyjścia.

Gdy skończyli posiłek i Jan uregulował rachunek, oboje udali się do wyjścia. Ona znów wzięła go staromodnie pod rękę. Nie pytała o nic. Przeszli przez coraz bardziej pustoszejące ulice dzielnicy. Godziny godów powoli mijały, a na posterunkach pozostały tylko pełniące rolę seksualnego pogotowia zawodowe weteranki. „Im bliżej do końca imprezy, tym atrakcyjność jeszcze nie zajętych potencjalnych partnerek wzrasta. Tym się teraz zajmuje naukah -

pomyślał Jan, mijając jedną z dwóch oferujących mu wcześniej swe usługi prostytutek. Dziewczyna wtuliła się w jego ramię. Gdy stanęli przed wejściem do apartamentowca, w którym mieszkał, spojrzała na swego klienta i rzekła z uśmiechem:

- Nic dziwnego, że nie pytasz o cenę. Ale uważaj, jeśli mieszkasz tutaj, to może ona niebezpiecznie wzrosnąć.

- Jestem na to przygotowany. Gdy będziesz chciała za dużo, przywiążę cię do łóżka i zostawię na najbliższy tydzień. - Gdy to powiedział, ona popatrzyła na niego z uznaniem.

- Od hurtowej usługi przysługuje rabat. Tylko będziesz musiał mnie puszczać na zajęcia. Ale nie martw się. Sama wrócę. - Ostatnie słowa wypowiedziała ze szczerym śmiechem.

W tak dobrym nastroju przekroczyli próg apartamentowca, mijając zazdrosne spojrzenie sennego portiera. Po dotarciu na górę, otwarciu drzwi i wejściu do środka mieszkania zaczęli się całować i zdejmować z siebie odzież. Ich skłębione, obejmujące się nawzajem ramiona runęły w końcu na pościel łóżka, czyniąc razem z nią jeszcze większe kłębowisko. Tak trwali w uniesieniu, wnikając w siebie nawzajem i wydając przy tym miłosne westchnienia. W końcu legli obok siebie wyrywając szybkimi oddechami hausty powietrza. Oddechy ich stawały się coraz wolniejsze, aż żar ustał całkowicie. Jan spojrzał na nią. Spała. Wstał powoli i poszedł do kuchni nastawić czajnik. Gdy wrócił po dłuższej chwili do pokoju z dymiącym kubkiem w ręku, ona siedziała w jego rozpiętej koszuli odsłaniającej obfite piersi.

- O, nie śpisz, księżniczko. Chcesz herbaty? - zapytał. Może zbyt czule jak w stosunku do osoby będącej tylko stroną usługowej transakcji.

- Gdzie są tacy mężczyźni jak ty? Co? Dlaczego nie masz stałej kobiety? Dlaczego nie masz nawet telewizora?

- Nie lubię indoktrynacji. Telewizja zastępuje ludzkie myśli, a ja żyję z myślenia. Kobieta była, ale nie żyje - mówiąc to zamyślił się na chwilę. - Jak to się stało, że zostałam prostytutką? - zmienił temat.

- Zajęcie jak każde inne. Niektóre moje koleżanki są kelnerkami, inne opiekują się dziećmi prominentów, a ja lubię mieć dużo wolnego czasu na rozmyślanie i czytanie. To zresztą ciekawe, jak to się dzieje, że ludzie dokonują takich a nie innych wyborów? Poza tym mój kierunek studiów nie jest objęty ministerialnym priorytetem, więc nie dostaję stypendium. Bo po co komu specjalista od tej i innych kultur? Jeszcze będąc nawet największym kretyńcem wpadnie na heretycki pomysł, że świat, w którym żyjemy, nie jest najdoskonalszym ze światów? Muszę więc utrzymać się sama, a nikogo nie obchodzi, skąd taki student ma pieniądze.

Na wspomnienie o ministerstwie Jan drgnął ledwo dostrzegalnie, co wprawilo go w lekką irytację. „Zaczynam reagować dość nerwowo - pomyślał - muszę poćwiczyć reakcje. Lecz natychmiast inna myśl przyszła mu do głowy.

- A jaki był najlepszy ze światów? - zapytał, wywołując u niej uśmiech.

Karolina zapięła koszulę i wyprostowała się, jakby rozpoczynała

wykład. To przedstawienie sprawiło, że towarzyszące mu przed chwilą uczucie irytacji odeszło całkowicie.

- To trudne pytanie - zaczęła poważnie. - Zależy, jak będziemy rozumieć to pojęcie. Dla mnie dobry świat to taki, w którym władza w takiej czy innej formie nie każe mi każdego dnia na nowo udowadniać swojej przydatności, gdzie nie są marnotrawione owoce pracy.

- A czy taki świat w ogóle kiedyś istniał?

- Tak. Tylko my zatraciliśmy punkt odniesienia, bo żyjemy w monokulturze. Oczywiście nie licząc islamu, z którym tylko pozornie wygraliśmy wojnę, odgradzając się od niego murem i wypędzając tych ludzi ponownie na pustynię. Było wiele kultur, miejsc i czasów, gdzie ludzie żyli szczęśliwie. Dla mnie takim okresem jest średniowiecze, bez względu na to, co sądzi o tym okresie nasza dzisiejsza powielana od wieków pseudonaukowa propaganda. Ponowne wepchnięcie chrześcijan do katakumb jeszcze odbije nam się czkawką. Zobaczysz.

- Średniowiecze to przecież straszny syf. Ludzie wtedy się przestali myć i palili na stosie akuszerki uważane za czarownice.

- To właśnie miałam na myśli, mówiąc o pseudonaukowej propagandzie. Ludzie przestali się myć pod koniec średniowiecza, obawiając się zarazy, która może wejść przez pory w skórze. Tak naprawdę śmierdzieli w renesansie, którego sama nazwa jest wyrazem późniejszej propagandy. Gdyby policzyć ofiary rewolucji francuskiej, okazałoby się, że w przeciągu dekady w samej Francji zginęło wielokrotnie więcej ludzi niż w przeciągu całego średniowiecza.

Inkwizycja skazywała na stosy bardzo rzadko i w uzasadnionych przypadkach. Słyszałeś może o aferze grabarzy z Frankenstein?

- O Frankensteinie, owszem, ale o grabarzach nie.

- Jedno nie pozostaje bez związku z drugim. Po procesie spalono tam żywcem i wcześniej okaleczono kilkanaście osób. Grabarzy. Był to rok 1606 i w mieście Frankenstein na Śląsku, od nazwy którego potem wymyślono Frankensteina, panowała zaraza. Kilku grabarzy przygotowywało proszek z zarażonych zwłok i smarowało nim klamki w domach bogatych mieszczan. Wielu ludzi zmarło, a oni rabowali ich domy.

- Nakręcali sobie koniunkturę - wtrącił Jan, lecz od razu pomyślał o swojej profesji, która niewiele różni się do tego, co czynili tamci nieszczęśnicy, i poczuł dawno nie zaznane uczucie wyrzutów sumienia.

- Bez wątplenia. Gdy proceder wyszedł na jaw, zostali spaleni na stosach. Ale to już nie było średniowiecze. Jakies pięćset lat później w nie tak bardzo odległym mieście lekarze karetok pogotowia dobijali zastrzykami swych pacjentów, bo zakłady pogrzebowe płaciły im za informację o zwłokach i ich dostarczenie. To też nie było średniowiecze. Już teraz wiesz, dlaczego nie dają nam stypendiów?

- No tak. Teraz już rozumiem. A tak apropos grabarzy i pochówków, znasz się na nowych rytuałach pogrzebowych? - zapytał.

- Co to znaczy, czy „znam się”? Wiem o nich tyle, ile każdy człowiek wiedzieć powinien. Zamykają nasze życie, są obecne we wszystkich kulturach i w pewien sposób definiują nasze

człowieczeństwo. Są tacy, którzy twierdzą, że możemy mówić o człowieku nie wtedy, gdy chwycił kij do ręki lub stanął w pionie, ale właśnie od chwili, gdy nasi przodkowie zaczęli organizować pogrzeby swych zmarłych. Dlatego dziczejemy. Długofalowo dziczejemy.

- A kanibale, którzy pożerali swych nieboszczyków?

- Och. To nie tak. Tego typu formy są charakterystyczne dla prymitywnych koczowników. Ciała zmarłych stawały się ciałami uczujących potomków. Według wierzeń tych plemion mądrość martwych przodków przenikała umysły żyjących, a ich dusze zaczynały stanowić jedność z duszami potomków wzmacniając je. W to oni wierzyli i z ich punktu widzenia było to bardzo racjonalne. Nie mieli przecież stałego miejsca i trudno wyobrazić sobie, że nosiliby szczątki swych zmarłych bliskich na plecach z miejsca na miejsce. Oni po prostu w ten sposób zabierali ich ze sobą w swoich ciałach, a nie mieli przecież przyczep campingowych. Ci z pozoru prymitywni ludzie mieli silną potrzebę ciągłości, więzi ze swoimi przodkami. Tą którą my właśnie kompletnie zatracamy wraz z naszym człowieczeństwem.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- Bo ktoś pomyślał już za ciebie. Nauczył cię myśleć w ściśle określony sposób.

- Kto? - zapytał, jakby stał przed obliczem zdemaskowania.

- Dawniej była to nasza kultura i cywilizacja, a teraz wszechobecna propaganda. - Jan spojrział na nią z jeszcze większym zaskoczeniem. To, co mówiła, nie było dla niego niczym

odkrywczym, ale procesy, o których mówiła, znał od kuchni nie zdając sobie do końca sprawy, że mają jakiś szerszy wymiar.

- A o jakie konkretnie rytuały ci chodzi? - powiedziała Karolina, wracając do pierwotnego wątku dyskusji, tak jakby uznała, że ten poziom abstrakcji do niego nie dociera.

- O te współczesne. Przecież sama powiedziałaś, że to jest obecne w każdej kulturze.

- Formalnie one istnieją w szczątkowej formie, ale to za mało. Nie mam na myśli rzecz jasna wysypywania popiołu do morza, bo to przypomina bardziej wywiezienie śmieci na wysypisko niż pogrzeb, ani listu, który wysyła jakiś urząd do bliskich i znajomych wskazanych wcześniej przez zmarłego. To właściwie proteza jakiegoś rytuału. Najprawdopodobniej chodzi o to, że trzeba ostrzec wszystkich, zwłaszcza dostawców prądu, sieci, wody, że ten jegomość już nie będzie korzystał z ich usług i niech nie nasyłają mu firm windykacyjnych po niezapłacony rachunek. Są także takie przypadki, że kogoś żywego potraktowano przez pomyłkę jako nieboszczyka, a potem trwała długa walka o to, aby „przywrócić go do życia. Przecież zmartwychwstanie to zabobon, więc programiści mieli dużo problemów, aby to sprawić. Skończyło się na tym, że ofiarowano staruszkowi nową tożsamość, tak jakby właśnie przybył z innego kraju.

„Gdyby ona mogła wiedzieć, jak to się odbywa naprawdę - pomyślał Jan. Znał te paradoksy na pamięć. Wiedział doskonale, że biurokracja to nic w porównaniu do skomputeryzowanej biurokracji,

w której nie ma miejsca na zdrowy rozsądek.

- A czy istnieją jakieś nieformalne rytuały związane ze śmiercią?

- zapytał.

- Oczywiście, że tak. Jest ich co najmniej kilka. Najpopularniejszy to ten z modlitwą i białym kwiatem. Są też inne, związane z odmawianiem modlitw i pisaniem e-maili do zmarłych w rocznicę ich śmierci.

- Co?

- Tak. Wysyłasz wiadomość, a serwer ci odpowiada, że ta skrzynka nie istnieje i że wiadomość nie została dostarczona. Oczywiście, że nie została, bo zmarłego wśród nas już nie ma. Nadawca doskonale wie o tym. To rodzaj pamięci podobny do zapalania dawniej świeczek na grobach. To tak jakby serwer przypominał wysyłającym: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Jan przysłuchiwał się uważnie tym nowym dla siebie informacjom. Będzie musiał po powrocie do pracy sprawdzić, jaki duży jest ten „pocztowy procederh. Na razie musi dowiedzieć się jak najwięcej.

- Jak sądzisz, dlaczego zakazano kultu zmarłych?

- To przecież proste. Gdy pamiętamy o rodzicach, pamiętamy też o dziadkach, pradziadkach i innych krewnych, pamiętamy wtedy też o historii. A po co pamiętać o tym, co było? Ważne jest to, co dzieje się teraz i co będzie w świetlanej przyszłości. Wszystko, co stare i historyczne niepotrzebnie nas wikła w przeszłość. Ale to bardzo

doraźnie myślenie i podkopujące nasze cywilizacyjne podstawy. Doprawdy, aż trudno uwierzyć, że coś takiego wymyślił człowiek.

- To bardzo ciekawe. Ja jednak sądzę, że zrobiono to z bardziej praktycznych powodów.

- Ależ oczywiście. Teraz wszystko jest praktyczne, naukowe, racjonalne i potrzebne. Nie ma wartości absolutnych, za wyjątkiem poczucia szczęścia i świętego spokoju. Wszystko pozostałe ma do niego dążyć. Zauważyłeś? Świętość - atrybut boski, zastąpiono świętym spokojem. Co ciekawe, zrobiono to w społeczeństwie, które chlubi się tym, że jest dynamiczne, a chce spokoju, czyli stagnacji.

- Masz bardzo oryginalne poglądy.

- To moja przypadłość, wynikająca ze studiów, jakie wybrałam. Ale to ciernista droga. Poza paroma profesorami, których od czasu do czasu można pokazać w TV jako gadające głowy, etnologowie nie są nikomu potrzebni. Za to mogę robić to, co lubię.

- Nie da się ukryć, że dość profesjonalnie - odpowiedział Jan słowami, które nie wiadomo czy dotyczyły jej wykładu czy wykonywanej przez nią profesji. Ów nie wiadomo czy żart, czy komplement nie wywołał na jej twarzy ani uśmiechu, ani zadowolenia. Postanowił więc szybko zmienić temat, lecz nie zdążył.

- Nie, nie uraziłeś mnie - powiedziała. - Wiesz, co jest fajnego w dawaniu dupy? Człowiek nie musi ubierać się w szary garniturek grzeczniej panienci i wstawać rano do nikomu niepotrzebnej roboty, w nikomu niepotrzebnej instytucji, aby tam dawać dupy jakiemuś obleśnemu typowi za jego przychylność. Omijam niepotrzebne

elementy tej maskarady, mam dużo czasu i dużo więcej pieniędzy. Poza tym zakupy ciuchów można wrzucić w koszty działalności. - Tym razem Karolina się uśmiechnęła.

- Podobno operacje plastyczne też, ale gdy patrzę na ciebie, to mam nadzieję, że jeszcze długo nic podobnego nie przyjdzie ci do głowy. Po jej reakcji Jan stwierdził, że komplement poskutkował.

- No dobrze. A co się dzieje, gdy człowiek się rodzi? - powiedział usiłując definitywnie zapomnieć o niewygodnym temacie.

- Jak to co? Myje się go i ubiera. - odpowiedziała trochę znudzonym i zmęczonym głosem.

- Nie to miałem na myśli. Jeśli ludzie czynili i jak twierdzisz, nadal czynią jakieś śmiertelne rytuały, to pewnie są i takie, które robią ludzi, gdy człowiek przychodzi na świat.

- Oczywiście, że tak. Dzieci chrzczono, czyniąc je dziećmi bożymi i zmywano z nich w ten sposób grzech pierworodny.

- A czy coś pozostało z tego rytuału, bo on chyba także jest zakazany?

- Nie wiem. Dotychczas nie rodziłam, a gdy sama przyszłam na świat, byłam za mała, aby pamiętać. - zaśmiała się. Gdy opanowała rozbawienie, powiedziała poważnie: - Nie interesowałam się nigdy tym problemem. Na pewno można się ochrzcić samemu, ale nie można do tego namawiać. A tak na marginesie, to czym ty się właściwie zajmujesz? Ja cały czas gadam o sobie, a o tobie nie wiem nic.

- Jestem informatykiem. Nic specjalnego.

- Powiedzieć, że jest się informatykiem w dzisiejszych czasach, to tak, jakby nie powiedzieć nic. Ale jak nie chcesz, to nie mów. Mało wiedzieć, to jeden ze sposobów na unikanie kłopotów w moim zawodzie.

- Skończyłem już szmat czasu temu archeologię informatyczną. Powiązania między numerami IP, logami i stojącymi za nimi osobami dostarczają nam zdecydowanie więcej wiedzy o ludziach, niż klasyczne kopanie w ziemi. A gdy od czasu do czasu znajdzie się jakiś backup po nieistniejącym już dawno serwerze, to tak jakby wskrzesić dawno zapomniany świat. Dostanie się do ukrytego profilu kogoś znanego, możliwość przejrzenia jego ostatnich plików, przejrzenie rozmów ludzi, których już nie ma...

Mógł ciągnąć dalej rozważania na temat swej wyuczonej profesji, tym bardziej, że dzięki temu sprytnemu wybiegowi nie musiał ani powiedzieć prawdy o miejscu swojej pracy, ani kłamać, wymyślając na poczekaniu jakąś historyjkę. Zdał sobie jednak sprawę, że chyba nieco zagalopował się i urwał w pół zdania. Spojrzał na zegarek. Już prawie świtało i nawet poczuł lekkie zmęczenie.

- Mam spadać? - zapytała poważnie dziewczyna.

- Nie, prześpijmy się jeszcze trochę. Za parę godzin muszę iść do pracy.

- Ja właściwie też, ale o tej porze już chyba nic nie zarobię.

- Nic się nie martw, zapłacę za wszystko.

- Wiesz co, nie spotkałam jeszcze takiego klienta.

- A ja takiej dziewczyny.

Mówiąc te słowa zdjął okrawający go szlafrok i zanurkował do łóżka, po czym wtulił się w jej ciało.

Gdy obudził się, zegar wskazywał dziewiątą. Nerwowo poszukiwał jej obok siebie, lecz nikogo nie znalazł. Gdy wstał z łóżka, ujrzał ją siedzącą w kuchni przy stole przy kubku pełnym kawy. Obok dymił drugi, przygotowany dla niego. Tuż obok stał półmisek pełen kanapek. Ciągła pustota jego lodówki świadczyła o tym, że była na zakupach. Nie dał jej przecież dotychczas żadnych pieniędzy. Zatem oferowana mu usługa znacznie bardziej wykraczała poza obowiązujące w branży standardy.

„Nie wiele jest pańienek inwestujących w ten sposób w swego klienta.h - pomyślał Jan i zrobiło mu się z tą myślą jakoś dziwnie dobrze. Poczul się bezpieczny, jak wtedy, gdy żyła Ona. Widać, że oboje odeszli już od standardowego układu: klient i usługodawca.

- Wstałeś? Kawa stygnie. Zjedz śniadanie.

- Śniadanie? To jakaś królewska uczta!

- W końcu księżniczka musi dbać o swego rycerza! - uśmiechnęła się Karolina. - Wypij kawę, zjedz, a ja sobie pójdę. - dodała, prowokując poważną rozmowę.

- Musisz? - zapytał z nadzieją w głosie, zdając sobie sprawę, że pakuje się być może w coś poważnego. W końcu prostytutka już od dawna nie była zawodem wyklętym. Wiedział o tym doskonale. Co więcej, prześladowanie tej profesji było jednym z zabobonów zwalczanych przez państwo w szczególny sposób. Nie przejmował

się, kim ona jest, lecz tym, jak szybko to się stało. Nie chciał, aby odchodziła, ale z drugiej strony nie był przygotowany na ciąg dalszy. Był w rozterce. Samotność, której nienawidził, przyłgnęła do niego tak mocno, że nie wyobrażał sobie innego życia. Być może nadszedł jednak już czas, aby podjąć ryzyko?

- Nie - odparła.

- A więc może to nie sen? - zapytał retorycznie.

Patrzyli sobie głęboko w oczy i uśmiechali się. Trwali tak przez dłuższą chwilę, po czym znowu zaczęli się uśmiechać i wpatrywać w swe twarze.

- Jeszcze kawy? - zapytała, biorąc w dłoń jego kubek i nie mogąc określić, czy ma trafić do zlewu czy pod dziobek dzbanka do ekspresu.

- Zapomniałbym cię zapytać? Co znaczy symbolika róży w kulturze?

- Kurcze, poderwałeś kobietę czy encyklopedię? - zaśmiała się lecz od razu spoważniała. - Kiedyś bywało z tym różnie. Pamiętasz taki stary film „Obywatel Kane” Orsona Wellesa? Zaczyna się sceną śmierci bohatera, a cały film to retrospekcja. Ostatnie słowo, które wypowiada to...

- cróżyeczka. I wszyscy zastanawiają się, o co chodzi. A to był napis na jakimś meblu, który na koniec poszedł do pieca.

- Właśnie. Generalnie róża to symbol piękna. Ma także bardzo głęboką symbolikę religijną, bo kojarzy się z cierpieniem i krzyżem. Jest także symbolem dziewictwa. Z drugiej strony to symbol miłości i

kobiecości. Może ze względu na skojarzenie do kobiecych narządów płciowych.

- O tym nie pomyślałem. A co symbolizowała róża na grobie, albo przy zwłokach zmarłego?

- Wydaje mi się, że też wiele, ale na pewno miłość, empatię i nadzieję zmartwychwstania. Ale dosyć już tych wykładów. Męczysz mnie jak na jakimś egzaminie. Ciekawe o co byś mnie pytał gdybym studiowała astronomię.

- Wtedy o nic. Płonąłbym pewnie jak meteoryt w twojej atmosferze albo szukałbym gwiazd w twoich oczach.

Wyszli razem. On do pracy, ona na zakupy. Wcześniej przygotowała całą kompletną listę najbardziej potrzebnych rzeczy. Przełał jej jeszcze tylko niewielką kwotę pieniędzy na telefon. Nie było to rzecz jasna honorarium za wykonane usługi, lecz na kupno potrzebnych w domu produktów. Umówili się, że spotkają się po południu, gdy ona skończy zajęcia. Jeszcze odwrócił się i patrzył z uśmiechem na jej ponętne ciało, gdy odchodziła. Ruszył w końcu w swoją stronę, wtedy ona także przystanęła i spojrzała na jego oddalającą się postać. Dziwne było to, że nie spodziewał się, iż przerwanie jego samotności nastąpi w tak niespodziewany sposób.

Układ w takich sytuacjach był z reguły prosty i nie wymagał specjalnych uzgodnień. Wystarczyła właściwie dobra wola obu stron. Ona zamieszka razem z nim, oferując mu towarzystwo i wszystko, co z niego wynika, on natomiast będzie ją utrzymywał i dawał dach nad

głową. Naturalną konsekwencją wspólnego zamieszkania było wszakże wstrzymanie się od kontaktów płciowych z innymi osobami. Na podobnych zasadach opierała się większość formalnych i nieformalnych związków. Jak długo to potrwa? Nie wiadomo. Niekiedy trwało to całe życie. W większości przypadków jednak tego typu związki rozpadały się bardzo szybko. Czym innym były trwałe zalegalizowane małżeństwa, które w odróżnieniu od tych znanych jeszcze sto lat wcześniej, były właściwie utrzymywanymi przez państwo przedsiębiorstwami do płodzenia i wychowywania dzieci. Za cenę swobody osobistej i dwudziestoczterogodzinnego zaangażowania taka dwuosobowa firma miała pewne przywileje: wolno stojący dom i brak troski o byt. Takie małżeństwa były długoletnimi kontraktami na rozmnażanie i wychowywanie. I to nie tylko własnego potomstwa, ale także dzieci z innych rozpadających się przedwcześnie związków. Rozpadające się małżeństwa pozostawiały bowiem z reguły owoce swej dawnej miłości innym do wychowania. Był to rezultat stopniowego zaniku rodzinnych więzi, przejawiający się często właśnie całkowitym brakiem zainteresowania o losy dzieci przez rodziców, i odwrotnie. Zjawisko to było zresztą jednym z głównych wątków antyrodzinnej propagandy. Osoby tworzące zastępcze rodziny kontraktowe musiały wyróżniać się nienaganną opinią i wychowywać dzieci wyłącznie w oficjalnej państwowej ideologii, no i - rzecz oczywista - przynajmniej się tolerować. Z eksperymentu polegającego na oddawaniu dzieci pod opiekę par homolubnych w końcu zrezygnowano. Okazało się, że wychowane w tego typu związkach

dzieci miały zaburzone wzory społecznych ról i nie radziły sobie potem we własnych późniejszych związkach. Problem ten często porównywano do wypuszczania na wolność dzikich zwierząt wychowanych przez człowieka. Otrzymując gotowe pożywienie, zatraciły łowiecki instynkt, a to dlatego, że brakowało im rodzicielskiego wzoru uczącego przetrwania i polowania. Poza tym drobnym wyjątkiem udało się znacznie osłabić tradycyjną rodzinę, ten ostatni bastion niezależnej socjalizacji.

Jan znał doskonale tego rodzaju przedsiębiorstwa wychowawcze. Sam spędził w jednym z nich dzieciństwo. Ze wspomnień pozostał mu tylko ciepły wizerunek babci. Po jej śmierci trafił do jednej z takich „rodzin”. Nie było to miejsce złe, lecz także dalekie od ideału. Rodzinne ciepło zastępowały procedury, rodziców - obce osoby, nie wiedzieć dlaczego zwane mamą i tatą, a rodzeństwo - rywalizująca banda dzieciaków w różnym wieku. Ci, którzy zaznali choć odrobinę rodzinnego ciepła, nie mogli się odnaleźć w tym środowisku.

Właściwie każdy mógł mieć taką rodzinę. Zresztą cała polityka „bezi doktrynacyjnej socjalizacji” nie była oficjalną polityczną doktryną systemu. Wprowadzano ją jednak, jak wszystkie długotrwałe polityki, w sposób nieformalny. Aby mieć „normalną” rodzinę trzeba było kilku czynników: odpowiednio grubego portfela, wyuczoną odporność na propagandę, zwłaszcza tę konsumpcyjną, i odrobinę samozaparcia. W praktyce wszystkie te kwestie były bardzo trudne lub wręcz niemożliwe do osiągnięcia. Powstawały więc także i

tradycyjne małżeństwa zawierane z miłości, które często chciały mieć dzieci. Prawo tego nie zakazywało, lecz cały system był zorganizowany tak, aby wychowanie dziecka w tego typu rodzinie napotykało na wiele barier, od finansowych począwszy, na wytykaniu palcami skończywszy. W wyniku czego znaczna część tego typu rodzin konkurujących z „zalecanym modelem rodziny” po kilku latach i tak ulegała rozpadowi, a dzieci trafiały do owych „kołchozów” będących tylko formą dawnego domu dziecka. Propaganda często podkreślała fakt kruchości małżeństw, udowadniając wyższość „nowoczesnego modelu rodziny” nad tym tradycyjnym. „Oddaj swe dziecko profesjonalnym rodzicom” - grzmiąły nagłówki pism kobiecych.

Był wszakże jeden marginalny wyjątek od tej zasady. Dotyczył on rodzin wiejskich, gdzie wychowanie dzieci łączono z pracą zawodową w rolnictwie. Nie wynikało to z ideologicznego odstępstwa, lecz bardziej z braku chętnych do pełnienia roli zastępczych rodzin na tych i tak wyludnionych obszarach. Mimo tego, że od kilku pokoleń, aby mieć całkowity nadzór nad dzieckiem, trzeba było skończyć specjalny kurs, w przypadku mieszkańców wsi przymykano jednak oko i na tą zasadę. Poza tym po co zmieniać samą rodzinę? Wystarczy stworzyć coś, co ma jej znamiona i nazwać go dokładnie tak samo. W końcu to ten twór pozostanie rodziną, a prawdziwa rodzina będzie co najwyżej obiektem drwin. Bo czy nie wystarczy, stosując tę samą sztuczkę, nazwać członków tradycyjnych rodzin: „dzikusami”, a samą rodzinę: „patologiczną i nieprofesjonalną”

głupota, aby po pewnym czasie wszyscy uwierzyli, że tak jest naprawdę? Zmiana znaczenia słów była od dawna skutecznie wykorzystywanym przez system fortelem w wielu dziedzinach życia. Na każdym kroku stosowano ten zabieg. Nieodosobnione przykłady to następujące określenia: „świątynia - dom towarowy, „modlić się - bardzo czegoś chcieć i tak dalej. Początkowo słowa te, stosowane były wyłącznie w młodzieżowym slangu i bardzo szybko podchwytywane przez media stawały się powszechnie używanymi terminami. Pomimo ciągle nie wygranej do końca walki o „bezydoktryncyjną socjalizację, we wszystkich mediach jak ognia unikano słowa: „rodzina, jakby chciano wymazać je ze słownika i w ten sposób samą instytucję skazać na niebyt. I tak na przykład wiejskie familie nazywano w oficjalnej propagandzie „przedsiębiorstwami pokoleniowymi.

Problematyka języka stanowiła zupełnie inne interesujące zagadnienie. Bo to przecież język wpływa w końcu na sposób pojmowania świata i go definiuje. Upraszczenie języka i tworzenie coraz szerszych, a przez to nic nieznaczących pojęć, już dawno nie spełniało pokładanych w tym procesie oczekiwań. Zjawisko to przeczyło oficjalnej ideologii postępu i rozwoju, która zakładała potrzebę uszczegóławiania i precyzowania. Wymyślono zatem inną strategię. Tworzono nowe terminy coraz precyzyjniej opisujące przedmioty i zjawiska, ale czyniono to niemal wyłącznie w sferze technicznej, potoczny język stawał się coraz bardziej prymitywny, przy jednoczesnym zalewie wielu nowych technicznych terminów.

„Sztuką jest tak się cofać, aby wszyscy myśleli, że idziemy do przodu - powiedział kiedyś na zamkniętej konferencji pewien wybitny cybernetyk, który z konieczności zachowania pozorów ukrywał się na co dzień pełniąc rolę naukowca na jednym z uniwersytetów.

Innym, choć nie tak płodnym obszarem słowotwórstwa były terminy, które nie pozwalały przekazać emocji, a przez to kogoś urazić. Język - nawet ten oficjalny - stawał się zatem gładki, byle jaki, beztreściowy. Uniwersalnym słowem zastępującym wszelką krytykę stało się słowo „kontrowersyjnyh. Znaczyło ono, że o kimś lub o czymś można powiedzieć dobrze lub źle, a samo podejrzenie o różnorodność ocen stawało się już zarzutem. Nie mówiono zatem już „głupi pomysł, lecz „gołębi pomysł, gdyż głupota została już dawno uznana za przywarę nie indywidualną, lecz społeczną. Bo w świecie oficjalnej ideologii to społeczeństwo ponosi winę za brak intelektualnych zdolności jednostki. Dochodziło niekiedy do kuriozalnych sytuacji, gdy w miastach preferencje w dostaniu się do pracy miały wyłącznie osoby mniej zdolne. W końcu równość szans była fundamentem stabilności tego społeczeństwa. Tendencja ta nie napotykała większego oporu. Już przez sam fakt, że cechą charakterystyczną ludzi posiadających wyższy poziom intelektualny jest ich oportunizm i indywidualność, istnieje więcej płaszczyzn ewentualnego między nimi podziału. Nie mogli oni zatem stworzyć jednolitej siły, z którą system musiałby się liczyć. Żyli więc niemal na marginesie, rekompensując sobie to poczuciem elitarniej dysydenckiej

wyższości.

Jan podejrzewał, że taka właśnie jest Karolina. „Jeśli wychowała się w tradycyjnej rodzinie, a rodzice skończyli podobne jak ona studia, oznaczać to będzie dysydenckie korzenie - pomyślał, docierając do gmachu urzędu, i czuł, że znowu pakuje się w jakieś kłopoty.

Gdy dotarł na miejsce, zdał sobie sprawę, że jest w pracy przed czasem. Usiadł więc do komputera, aby sprawdzić życiorys Karoliny. Miał przecież ID jej telefonu, gdyż wcześniej przelał pieniądze, a to całkowicie wystarczyło, aby zdobyć wszystkie potrzebne mu dane. Poza tym miał jej DNA. Przecież wszędzie, w każdym zakamarku jego skóry znajdowały się ciągle mikroskopijne drobinki jej ciała. Komputer analityczny wykryłby je bez problemu i porównał z próbkami pozostawionymi w bazie. „DNA, dlaczego nie zebrano obcego DNA przy nieboszczykach z serii?h - przemknęło mu przez myśl. Będzie musiał to jeszcze sprawdzić, ale nie w tej chwili. Śledztwo zostało umorzone, a on miał ważniejsze sprawy na głowie. Musiał sprawdzić, kim jest jego nowa dziewczyna. Musiał także przygotować się do akcji, która czekała go w najbliższych dniach. Włączył komputer i wprowadził jej numer ID. Na monitorze wyświetliły się kolumny danych:

„Karolina Karpińska, lat 23. Córka Leona i Zofii. Studentka etnologii. Ukończyła z wyróżnieniem liceum ogólnokształcące. Zawód wyuczony i wykonywany: specjalista w zakresie masażu i seksu relaksacyjnego. Nie mógł się przyzwyczaić do tych nowych specjalności. „Kiedyś po prostu napisano by, że prostytutka.h -

pomyślał Jan, zdając sobie sprawę, że myśli w kategoriach niepostępowych - z czasem zawód ten wraz ze zdjęciem narzuconej przez kulturę społeczną niechęci i pogardy stał się taką samą profesją jak każda inna i zaczął przybierać różne specjalności. Co ciekawe, chlubą było w niektórych kręgach mieć w rodzinie tego typu specjalistkę. A od czasu, gdy zaczęto taktować go jako sztukę i uczyć na artystycznych wydziałach, traktując na równi z malarstwem i programowaniem, nie było już w ogóle o czym mówić. Ogólne rozpuszczenie obyczajów było faktem od tak dawna, że mało kto pamiętał pewnie, że kiedyś było inaczej. Całości obrazu sytuacji dopełniał pewnie pozornie nie związany z rozpuszczeniem fakt. Było nim zniesienie gotówki i zastąpienie go pieniądzem elektronicznym. Seks więc zaczął w większym stopniu pełnić rolę czegoś, czym w pewnym sensie był od zawsze - formą płatności. Za drobne usługi czy sąsiedzka pomoc płacono nim na równi z drobnym handlem wymiennym. Wbrew pozorom nie spowodowało to zmniejszenia zapotrzebowania na specjalistyczne usługi. Tego typu seks był raczej okazjonalny. Początkowa panika w branży erotycznej spowodowała tylko podniesienie standardów i wachlarza oferowanych usług kształtując też odpowiedni cennik. Innymi słowy zmiany wyszły dla branży tylko na dobre. Nawet status gwiazd porno jako najnormalniejszych w świecie specjalności aktorskiej już dawno stał się standardem. Zwracano tylko uwagę, aby w filmach dla dzieci nie pokazywać zbyt wiele brutalnego seksu, gdyż wzorce z filmów niespostrzeżenie przenikały jako standard do rzeczywistości. Gdy tego

typu zjawisko okazało się empirycznie zbadanym faktem, nie zakazano brutalnych scen w filmach pornograficznych, za to zobowiązano rodziców do odbywania poglądowych stosunków w obecności swoich pociech. Ukuto nawet termin „rodzinna kultura seksualna”.

Dzieci zawsze widziały świat inaczej niż dorośli, bo skąd mają wiedzieć, że jest on naprawdę inny, gdy docierają do nich tylko takie, a nie inne bodźce? Dawniej, gdy pytano dzieci, skąd się biorą jajka, solidarnie odpowiadały, że z lodówki. Gdy zapytano inne dzieci, pokolenie po nich, skąd biorą się pieniądze, te odpowiadały, że z bankomatu. Teraz nie ma bankomatów. Nie ma też pytań o sprawy intymne. Po prostu nie ma czegoś takiego, jak sprawy intymne. Były oczywiście na początku problemy z wdrożeniem Polityki Seksualnej Otwartości i Transparentności, ale po upływie kilku dekad i wymianie pokoleń wszystko przebiegało już prawidłowo, zgodnie z zaleceniami władz oświatowych.

Jan postanowił obejrzeć jeszcze kartotekę jej rodziców. Jak spodziewał się, byli także humanistami o dość egzotycznych specjalnościach. Wielokrotnie notowani dysydenci. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie powinien uzyskać jakiejś stosownej zgody swych przełożonych na dalszy związek z Karoliną, lecz po chwili refleksji doszedł do wniosku, że mieści się to w kategorii: „własne zadania operacyjne”. System i tak wiedział, analizując bliskie położenie ich telefonów, że spędzili razem noc, ale lepiej dmuchać na zimne. Doszedł do wniosku, że wystarczy zwykła notatka służbowa

stanowiąca w jego pracy klasyczny „dupochronh. Miał przecież w swej pracy, poza ściśle określonymi obowiązkami i zadaniami, dużo swobody w wyznaczaniu sobie zadań z zakresu „poprawiania systemuh. Napisał więc lapidarną informację, że podjął próbę wniknięcia w środowiska dysydenckie za pośrednictwem „rozpracowywanej figurantkih. Nikt ani nic nie może mieć w tej chwili do niego pretensji.

Siedząc przy komputerze, postanowił znowu spojrzeć na profile swych rodziców. Czynił to czasami, gdy czuł się samotny. Znał na pamięć zapisane tam treści. Chodziło o to, aby jeszcze raz spojrzeć na ich doskonale wyryte w jego pamięci twarze. O tym, że jego ojciec był pracownikiem Firmy dowiedział się już na studiach, gdy zaproponowano mu pracę w tej instytucji. Przeznaczenie? Przypadek? Nie. Potem dopiero pojął, że stado troszczy się w sposób szczególny o swe szczenięta, bez względu na to, czy ich rodzice żyją czy nie. Tak zresztą przebiegała większość karier jego kolegów. Od wielu pokoleń droga do Firmy, była praktycznie zamknięta dla osób postronnych. Nie chodziło tu o tajemnicę, ale o poczucie wręcz klasowej więzi, która także cementowała ten system. Poza tym poszczególni członkowie stada muszą być świadomi faktu, że byt ich potomstwa nie jest zagrożony. To najsilniejsze ponadpokoleniowe spoiwo. Psy pasterskie płodziły kolejne pokolenie pasterskich psów, jeszcze bardziej genetycznie dostosowanych, jeszcze lepiej węszących wroga i jeszcze sprawniej pomagających pasterzowi w pilnowaniu owieczek.

Świadomość elitarności, przynależności do innej kategorii ludzi,

wzmacniała poczucie misji. Oni byli czymś w rodzaju arystokracji, a powstawanie tego typu dziedzicznych elit, to coś naturalnego - powtarzano mu wielokrotnie. Czekał jeszcze tylko na rychłe zeswatanie go z córką wywodzącą się z któregoś z rodów lub na wybranie mu partnerki z zalecaną kombinacją genów. Kwestie genetyczne podlegały w Firmie ścisłej kontroli, gdyż wiedziano także doskonale, że elitarna izolacja, która nie dopuszcza do utraty władzy, może stać się przez niewłaściwe mutacje początkiem ich końca. Aby temu zapobiec, pozwalano od czasu do czasu na związki z osobami spoza ich środowiska. Tak było w przypadku jego matki, która poza zniewalającą urodą wyróżniała się także niebywałym intelektem oraz plebejskim pochodzeniem. W końcu także w prawdziwych arystokratycznych rodzinach nie robiono awantury w sytuacji, gdy dziedzic tytułu i rodzinnej fortuny był dziwnym zbiegiem okoliczności podobny do lokaja. Oczywiście było to, że „psyh musiały mieć normalne rodziny, w których ich szczenięta wyrastały w atmosferze elitarności, bez względu na ilość rasowej krwi w ich żyłach.

W przypadku reszty populacji proces moralnej i genetycznej degradacji był wysoce wskazany. W końcu zaledwie kilka tysięcy lat zajęło człowiekowi przekształcenie wojowniczego i samowystarczalnego dzika w całkowicie uzależnioną od swego gospodarza świnie, której jedynym przeznaczeniem jest oferowanie mu swego ciała do wykorzystania. W przypadku ludzi proces ten dopiero się rozpoczął, ale już doszło do bardzo istotnej transformacji.

Pasterze na trwałe oddzieli się od reszty stada, skutecznie wmawiając mu, że są wyłącznie jego służącymi. To tak jakby hodowane w chlewni świnie były święcie przekonane, że dogładający ich gospodarz jest ich sługą, dostarczającym im wyłącznie pożywienia i czyszczącym z odchodów ich rezydencje. Być może tego typu pogląd jest w chlewni współczesności na tyle powszechny, że świnie są przekonane o tym, że gospodarz jest na tyle wiernym ich sługą, że wie lepiej, co dla nich jest dobre, zwalniając trzódkę od myślenia? Pasterzom udało się jeszcze jedno: niewyobrażalna sztuka perswazji. Stado jest przekonane, że jest stadem, a nie wyłącznie zamkniętymi w osobnych kojcach stworzeniami.

Gdy wyłączył komputer, do pokoju zaczęli przychodzić pierwsi jego koledzy.

- Widziałeś w telewizji naszego gwiazdora? - odezwał się jeden z nich.

- Nie, nie wiedziałem. Jakiego gwiazdora? - zapytał Jan.

- Jak to, nic nie wiesz? Trąbią o tym od rana we wszystkich stacjach telewizyjnych. Znalazł się winny serii morderstw, nad którymi cała policja tego miasta jeszcze wczoraj łamała sobie głowę. Okazał się być nim jakiś bezrobotny z przedmieścia, a tak naprawdę to ten przygłup od zdobywania wiedzy na siłę.

Włączyli wiszący na ścianie telewizor. Ekran zabłysł postacią Waliszka, wprowadzanego do samochodu ze skutymi do tyłu rękami. Uśmiechał się i coś krzyczał do kamery. Komentator w telewizorze informował:

„Dziś w godzinach porannych policja zatrzymała podejrzanego o dokonanie serii morderstw, które wstrząsnęły opinią publiczną i sparaliżowały życie w naszej stolicy. Wstępnie ustalono, że podejrzany przyznał się do zarzucanych mu czynów. Kim jest ów zwyrodnialec? To Eligiusz W., były konserwator w jednej z podmiejskich szkół, od pewnego czasu bezrobotny. Nieznane są nadal motywy, którymi się kierował, lecz z nieoficjalnych informacji wynika, że podejrzany zdradza objawy choroby psychicznej. Potwierdzeniem tej opinii zajmą się biegli psychiatrzy. Przechodzimy do dalszych informacji.

- No to teraz dopiero oberwie w tym wariatkowie. Nigdy nie był normalny. Trafi do swoich - powiedział któryś z towarzyszy Jana.

- Raczej spotka kilku znajomych ze swych przesłuchań i krew się poleje. - dodał ktoś inny.

„Przecież ma trafić gdzieś pod zmienionym nazwiskiem?h - pomyślał Jan. - „Może i tak, ale dopiero za jakiś czas, gdy wydarzy mu się jakiś nieszczęśliwy wypadek. Musi wytrzymać do procesu. Potem zostanie przetrzucony gdzieś za granicę. Ale sądzę, że z jego temperamentem może mu się w międzyczasie przydarzyć naprawdę coś niedobrego. Najważniejsze, że mamy go z głowy.h

Gdy przysłuchiwał się rozmowie kolegów, zdał sobie sprawę, że jego niechęć do tego indywiduum nie była wcale uczuciem odosobnionym, i że wielu ludzi czuło wobec tego nieobliczalnego szaleńca to samo. W Firmie jednak obowiązywała pewna niepisana zasada: nie rozmawiało się o swych prywatnych opiniach na temat

współpracowników. Było to spowodowane utrzymaniem wewnętrznej dyscypliny. Między innymi dzięki tej pilnowanej od pokoleń praktyce nie tworzyły się nieformalne układy i klany, a przez to wzrastała dyscyplina i nie dochodziło do konfliktów. Drugim powodem było pochodzenie Waliszka. Jego rodzina, jak i on sam posiadała podobno wielkie wpływy, czym lubił się przechwalać. Gdyby jednak to była prawda, nie tak łatwo byłoby go nakłonić do wyzbycia się dotychczasowego życia, przeżycia wielu upokorzeń i zmiany tożsamości. Na pewno praca, którą wykonywał w Firmie, odcisnęła na nim swoje piętno, tak więc nie jest wykluczone, że Waliszek mógł nawet uwierzyć w to, że jest owym seryjnym mordercą. Jeśli tak, to nawet jeszcze lepiej dla sprawy.

Wiadomość o wielkim sukcesie policji i schwytaniu niebezpiecznego przestępcy skończyła się równie szybko, jak się rozpoczęła. Na ekranie kilku polityków zaczęło się spierać na jakiś technologiczny temat, na który i tak nie mieli wpływu, a co gorsza - także nie mieli o nim zielonego pojęcia.

- Skąd oni biorą tych figurantów? - zapytał teatralnym szeptem kolega po fachu stojący za plecami Jana.

- Jak to skąd? Sami przychodzą. Na trzecim piętrze masz cały inkubator przyszłych politycznych liderów. Mierny, ale wierny i koniecznie mało rozgarnięty. - odparł znajomy głos któregoś z podwładnych Jana. Słyszając to, Jan przypomniał sobie pewnego dawnego formalnego szefa jego instytucji. Pracownicy Wydziału Propagandy nazywali go „Mebelh. Chłop sprawiał wrażenie, jakby nie

wiedział, gdzie się znajduje i co robi. Ale wystarczyło mu dać do ręki kartkę i odczytał ją bezbłędnie łącznie z literówkami. Wspomnienie to wywołało sentymentalny uśmiech na twarzy Jana. Ileż to już lat minęło? Po nim przyszli inni, bardziej elokwentni i pełni erudycji szefowie. Jednak tak samo jak „Mebelh nierozumiejący niczego. Awans społeczny to było to!

Jeden ze zgromadzonych, mający akurat w rękach pilota, zmiłował się nad pozostałymi kolegami i zmienił kanał, najwyraźniej poszukując innej informacji o „wielkim sukcesie Policjih. Tym razem oczom zgromadzonych ukazał się mecz koszykarski. Od czasu, gdy zalegalizowano doping, atrakcyjność wszelkich widowisk sportowych zdecydowanie wzrosła. Oprócz rywalizacji na boisku czy bieżni emocje wzbudzała jeszcze rywalizacja farmakologiczna, gdyż elementem strategii było podanie odpowiedniego środka. Zasada była bardzo prosta. Przed rozpoczęciem zawodów należało tylko podać „na jakim koksie jedzie dany zawodnikh. Informacja ta była wyświetlana potem na ekranach telewizorów, a tabuny sportowców amatorów gnało do aptek, aby spróbować nowego cudownego preparatu. W takiej sytuacji nie dziwił nikogo fakt, że głównymi sponsorami zawodów sportowych stały się korporacje farmakologiczne. Oczywiście nie wyeliminowało to szarej strefy. Za przyjęcie niezgłoszonego środka groziły zawodnikowi surowe sankcje. A już prawdziwym przestępstwem było zażycie jakiejś eksperymentalnej substancji nieznanego pochodzenia. Był to czyn karany ze szczególną bezwzględnością i to przez władze sportowe, jak i przez sponsorów.

Nawet jeśli dany zawodnik po dyskwalifikacji wrócił do sportu, nie miał co liczyć na zależenie biznesowego mecenasa. To była prawdziwa sportowa śmierć.

Bliżej nieokreślony dysponent pilota w końcu wyłączył telewizor. Grupa przed nim rozeszła się równie szybko, jak powstała, wymieniając jeszcze w przelocie usłyszane ostatnio żarty. Jan podszedł do okna i spojrzał w niebo. Było czyste, bezchmurne i błękitne. Zaczął rozmyślać. Wydarzenia ostatnich dni potoczyły się tak szybko. Nagłe śledztwo w kryminalnej sprawie i równie nagły jego koniec. Dziewczyna, która wkroczyła w jego życie, a miała być tylko przyjemnym chwilowym relaksem i jeszcze ten zakonnik, którego przesłuchiwał. To wszystko w jego umyśle układało się w pewną całość. Całość, w której brakowało jeszcze wielu puzzli, ale widoczny był już ogólny zarys obrazka. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie dowiedział się tak wiele o otaczającym go świecie w tak krótkim czasie i to rzeczy tak sprzecznych z oficjalną wiedzą. Zaczynał odkrywać, jak jest ułomny ten ustabilizowany i z góry ustalony, wtłaczany w ludzkie głowy porządek świata.

Pamiętał, jak na lekcjach geografii śmieli się z koncepcji, w której Ziemia jest centrum wszechświata, a posłuszne Słońce obiega ją tworząc cykle dnia i nocy. Przecież każde dziecko wie, że jest odwrotnie, bo to Ziemia krąży wokół Słońca. Dopiero potem zadał sobie pytanie, gdzie we wszechświecie jest ten niezmienny, obiektywny punkt obserwacji tego zjawiska? Nie ma? Czy zatem jedno uproszczenie zastępuje drugie? Koncepcja Ziemi jako środka

wszechświata, choć być może na pozór prymitywna, była przynajmniej zgodna z ludzkim punktem odniesienia. Bo jeśli nie ma we wszechświecie obiektywnego punktu obserwacji, to dlaczego nie ma nim być Ziemia? Bo jeśli takim punktem jest miejsce w naszej czasoprzestrzeni, gdzie rozpoczął się wielki wybuch, to znajduje się on o miliardy lat świetlnych od naszej galaktyki. Z tego jedyne punktu, z którego wszystko bierze swój początek, przy uwzględnieniu ruchu galaktyk, wzajemne relacje jakiegoś Słońca i jakiejś Ziemi są najwyżej chwilowymi drganiem, które nie mają najmniejszego znaczenia. Co więcej, są niedostrzegalne, bo nim umiejscowiony w punkcie początku obserwator zechce swym okiem spojrzeć na tę małą planetkę i jakimś sposobem ją dostrzeże pośród miliardów gwiazd i galaktyk krążących wokół swych czarnych dziur, to będzie już ona tylko przeszłością, bo sam jej widok potrzebuje zbyt wiele czasu na dotarcie do obserwatora. A jeśli, jak głosi mechanika kwantowa, wszechświat istnieje tylko wtedy, gdy na niego patrzymy? Albo istnieje i nie istnieje jednocześnie, bo w swej istocie jest on tak mały. Wielkość w końcu jest względna i także wymaga punktu odniesienia. A jeśli nasza czasoprzestrzeń to tylko jeden z wielu możliwych wszechświatów, które powstają w wyniku zderzania bran, czyli czasoprzestrzennych membran? Małość naszego świata staje się wtedy tak rozpaczliwa, że jedyna rozsądna odpowiedź na pytanie: „Co w istocie krąży wokół czego?”, brzmi: „A jakie to ma znaczenie?”

Co najciekawsze, takiej samej odpowiedzi udzieliliby niepiśmienny Indianin, który nigdy nie miał kontaktu z naszą

cywilizacją. Więc kto jest głupi? Ale to już przeszłość. Nie ma już niepiśmiennych Indian, przynajmniej oficjalnie. Globalny system edukacji doniósł już podobno kaganek wiedzy do najdalej wysuniętej wioski. Ale po co komu umiejętność czytania, gdy jedyne, co ma do przeczytania, to bezmyślna, lekkostrawna papka bez intelektualnych konserwantów? Bezkrytyczne przyjmowanie cudzych myśli oduczyło nas myślenia, zastanawiania się, co jest za horyzontem, bo przecież wystarczy zapytać o to wyszukiwarkę, aby się dowiedzieć. Więc po co rozmyślać? Bo po co komu umiejętność pisania, gdy nie umie się myśleć? Niewątpliwie jesteśmy głupcami, koncentrując się tylko na jednej wizji wszechświata, niszcząc konsekwentnie inne kultury, inne punkty widzenia i świadomie pogrążając się w kulturowym totalitaryzmie. Znamy odpowiedź na wszystko, wysyłamy bezmyślnie statki na inne planety. Pytanie: dlaczego? Gdy dano nam wszystkie dobra wszechświata, okazało się, że jesteśmy samotni i nieszczęśliwi. A może stan dostatku był w naszej ludzkiej historii tak mało prawdopodobną anomalią, że matka natura nie przygotowała nas do niego? Być może dlatego ludzi trzeba trzymać w ciągłym strachu i egzystencjalnej niepewności? Więc może rzeczywiście należy powielać poznawcze stereotypy i nie uczyć ludzi myślenia, które potem przyczynia się do ich intelektualnych cierpień i szerzenia się wszelkiej dekadencji? Jeśli tak, to czym nasz system różni się od tych wyśmiewanych, które były przed nim?

Nagle zdał sobie sprawę, że rozmyśla jak nigdy przedtem i że już nie taktuje przebiegającego przez jego głowę swobodnego potoku

myśli z wykształconą odrazą. Wir poznania wciągnął go do środka bez możliwości wyrwania się z odmętów. Bo aby poznać prawdę, trzeba odrzucić uprzedzenia i proste, jedyne słuszne rozwiązania. Trzeba poznać świat takim, jaki jest, a on, zwykły „piesh pasterski, miał wykorzystywać tylko swój intelekt do udoskonalania metod wypasu „owiech, a nie do zastanawiania się, jaki jest tego wypasu sens i czy przypadkiem pasterz ma rację. Praca, którą wykonuje, przestała dawać mu satysfakcję, gdy zdał sobie sprawę, że nie ma wyższych interesów, a są tylko te małe. A on nie robi nic innego, jak szerzy nieszczęście. Jest aniołem śmieci, który przychodzi i nie zwraca uwagi na to, czy drzwi, które przekracza, pomazane są krwią baranka czy nie. Jego kasta przecież nie krzywdzi, ani nie zabija, tylko wywołuje i stymuluje „społeczne procesy. Plewią grządki, jak ogrodnicy... Kto wie, w którą stronę zabrnąłby w swym przepływie wolnych myśli, gdyby w tej chwili nie zadzwieczał telefon.

Worm

Wydobył z kieszeni aparat telefoniczny i odczytał przesłaną wiadomość. Zakonnik Artur Zarzycki pojawił się w mieście. W pobliskim sklepie posłużył się kartą dla bezrobotnych, kupując mleko, kilka bułek i dwie tabliczki czekolady. Przy pomocy karty można było dokonać podstawowych zakupów zapewniających przeżycie. Wcześniej był nieuchwytny, a na jego karcie zgromadziła się już spora suma. Podsystem opieki społecznej chciał już ją nawet anulować, posądzwszy posiadacza konta o niewyjaśniony zgon, wyjazd lub nieznane formy dochodów. Każda z tych przyczyn była

wystarczająca, aby wstrzymać cotygodniowe przelewy. Jan ruszył w kierunku wskazanego miejsca, zarzuciwszy niechlujnie płaszcz na swe ramiona. Telefonicznie poprosił o podstawienie służbowego samochodu. Gdy dotarł na dół, pojazd już czekał. Wsiadł pospiesznie i podał kierowcy docelowy adres. Ten, z charakterystycznym dla swej profesji ponurym wyrazem twarzy, ruszył, włączając się płynnie do ruchu. Jeszcze przez kilka chwil, wyjeżdżając z siedziby Firmy, mógł liczyć na fory innych kierowców, którzy widzieli skąd wyjeżdża, potem wciągnęła go miejska dżungla, której stał się anonimową częścią. Bardzo szybko w szybach okien samochodu fasadowy blichtr i nadęty modernizm śródmieścia zostały zastąpione przez szpetne fasady kamienic starych dzielnic miasta. Oddzielały je tylko od centrum puste przestrzenie, powstałe po wyburzonych już dawno blokowiskach. Ich mieszkańców przesiedlono na przedmieścia do podobnych, ale trwalszych blokowisk, planując na tym miejscu rozbudowę centrum, która dziwnym zbiegiem okoliczności jakoś nie nastąpiła.

Tylko mieszkańcy starych, często dziewiętnastowiecznych dzielnic trzymali się przytuleni wzgórz miasta w swych rozpadających się domostwach, tak jakby świat o nich zapomniał. Tworzyli osobny społeczny ekosystem miasta, rodzili się tu i umierali, wyznając własne prawa i zasady. Nawet policja zapuszczała się tu rzadko. Wszystkie programy ucywilizowania tego miejsca spalały na panewce. Najprostszym rozwiązaniem byłoby wysiedlenie tego towarzystwa pod byle pretekstem i zrównanie z ziemią tego siedliska

przestępczości. Na tak radykalne posunięcie brakowało jednak pieniędzy, a poza tym był jeden banalny problem. Tkanka tego typu starych dzielnic miała już zabytkowy charakter i jakakolwiek interwencja w jej zabudowę spotykała się z niechęcią części architektonicznej kasty. Można sądzić, że był to tak naprawdę tylko pretekst, gdyż żaden z decydentów nie zamierzał otwierać owej puszeki pandory, aby siedząca w środku „zarazka” nie rozlała się na inne dzielnice. Tu była ziemia obiecana dla wszelkiego rodzaju wykolejeńców. To tu można było przestać żyć dla systemu, aby na nowo się narodzić po kilku latach. Tu można było zawierać nieewidencjonowane małżeństwa, bezkarnie podpinać się do wszelakich sieci. To tu znajdowały schronienie, uciekające z „prawidłowych rodzin” dzieci, poszukując swych biologicznych rodziców. Tu znajdowali je niewierzący w profesjonalizm swych następców ich prawdziwi ojcowie i matki. Rodzice i ich dzieci ginęli tu bezpowrotnie wraz z (nie wiadomo jakim sposobem powstałą) nową tożsamością lub bez niej. Władza wolała nie zauważać tych problemów, ponieważ przyznałaby się w ten sposób do swojej bezsilności. Poza tym głównym problemem tej, jak i wszelkich innych władz, było dotąd poszukiwanie nowych metod, w jaki sposób nadal pozostać władzą. A tak zawsze miała ona do dyspozycji straszak w postaci „zbuntowanych hord dzikusów”, czyhających tylko, aby położyć swe brudne łapy na wielkomięjskim dobrobycie.

Przede wszystkim należało zachowywać pozory. A w tym przypadku standardowa strategia inwigilacji także nie wchodziła w

grę. Gdyby system zaczął ewidencjonować to, co dzieje się w tego typu miejscach, prysłby jak bańka mydlana mit jego doskonałości. Owa hipokryzja wychodziła wszystkim na zdrowie. Mało kto zapuszczał się w te okolice, uwierzywszy w złą sławę tego miejsca, zaś mieszkańcy podsycali jeszcze ten mit, od czasu do czasu dokonując spektakularnych napadów lub obrzucając jakiś policyjny samochód butelkami z benzyną. Dziwnym trafem nikomu w tych zamieszkach nie działa się krzywda, ale wystarczało to także dla policji jako kolejny powód do walki o zwiększenie funduszy. Innymi słowy, widać było wyraźnie pewnego rodzaju niepisany pakt między władzą, a tą tajemniczą enklawą. Co więcej, widać było także symbiozę między tymi dwoma światami, nie potrafiącymi bez siebie istnieć i nawzajem usprawiedliwiającymi swoje istnienie.

Jan znał to miejsce. Jego rozpracowanie stanowiło kiedyś priorytet pracy jego wydziału. Przekonał się z czasem, że nie taki diabeł straszny. Z rozpracowywania wyszły nici, bo mieszkańcy dzielnicy stosowali najlepszy z możliwych sposobów zapobiegających jakiegokolwiek inwigilacji. Po pierwsze, nie rozmawiali z obcymi, a po drugie, jeśli już to się działo, byli szczerzy do bólu. W pokazywaniu absolutnie wszystkiego tkwiła istota tej metody. Gdy nie masz nic do ukrycia, nie wiadomo, gdzie jest twój sekret. Pomimo zdobycia kilku operacyjnych przyczółków, bardzo szybko wycofano się z dalszej pracy nad tym projektem, widząc więcej złego niż dobrego w dalszym jego kontynuowaniu.

Samochód dotarł na granice wyklętej strefy.

- Dalej nie jadę. - powiedział kierowca, nie kryjąc zdenerwowania.

- W porządku, dziękuję, to już niedaleko - odparł Jan, wyraźnie imponując szoferowi swym spokojem. Otworzył drzwi i wyszedł na otwartą przestrzeń. Samochód zaraz z piskiem opon zniknął za rogiem. Pozostał sam na ulicy. Wyciągnął z kieszeni telefon, który wskazał mu dalszą drogę. Minął kilka przecznic, bacznie rozglądając się dookoła. Pomimo odrapanych kamienic i stojących gdzieś wraków samochodów, ulice wyglądały nader czysto. Dzielnica najprawdopodobniej sama organizowała się także w kwestii czystości, co nie mieściłoby się w głowie odpowiedzialnym za porządek służbom miejskim. Minął rozmawiających ludzi obok sklepu spożywczego. Ze strzępków rozmowy zrozumiał, że dotyczyła ona hodowli gołębi. „Zabronione jest samo dokarmianie, a co dopiero hodowla!” - pomyślał kręcąc głową z niedowierzaniem. Skreślił w lewo, skrywając się w bramie, i schodami znajdującymi się po prawej stronie dotarł na drugie piętro kamienicy. Ponure wnętrze klatki schodowej, o obdartych lamperkach i rzędzie wydeptanych, nierównych schodów, wypełniał zapach kociego moczu. Stał w końcu przed drzwiami z numerem „4h. To było tu. Zapukał. Drzwi otworzyły się raptownie. Za nimi ujrzał postać dojadającego coś zakonnika, wyraźnie zaskoczonego wizytą.

- O! Spodziewałem się kogoś innego, a tu pan władza. Czyli zostałem namierzony. Sprawa musi być poważana, skoro przybył pan aż tutaj. Zapraszam w moje niskie progi. - powiedział zakonnik,

przeżuwać ostatnie fragmenty śniadania.

- Wiem, że nie taki diabeł straszny. Nie boję się tu przychodzić. Straszny charakter tego miejsca, to taki sam stereotyp jak wysoki poziom intelektualny członków Akademii Nauk.

- Doprawdy, musi pan przyznać, że to z tym diabłem to nie najlepszy sposób na rozpoczęcie rozmowy z duchownym.

- Przepraszam.

- Proszę usiąść. Napije się pan czegoś? Proszę czuć się moim gościem, nie tak jak ja byłem pańskim ostatnio. - Mówiąc to, wskazał kanapę stojącą na środku pokoju.

- Za to też proszę przyjąć moje serdeczne przeprosiny. - odpowiedział Jan z pokorą w głosie.

- Nie ma o czym mówić. Pańscy koledzy podwieźli mnie nawet pod dom i uciekli czym prędzej, gdy zorientowali się, gdzie są. - ostatnie słowa wyraźnie poprawiły humor duchownego. - Proszę siadać. Kanapa jest stara, ale wygodna. Ja zrobię kawy. Życzy pan sobie?

- Tak, proszę. Czy sądzi pan, że tylko rzeczy nowe mogą być wygodne?

- Oczywiście, że nie! Wręcz przeciwnie. Tak właśnie sądzi pańska cywilizacja - wykrzyczał zakonnik z kuchni, zajęty już przygotowaniem wywaru.

Jan w międzyczasie rozsiadł się na kanapie. Naprawdę była wygodna. Z tej pozycji i pod nieobecność gospodarza mógł przyjrzeć się wreszcie pokojowi. Pomieszczenie sprawiało wrażenie nieco

zaniedbanego, lecz to był tylko pozór spowodowany starymi meblami, których czasy świetności dawno już minęły. Na ścianach wisiały religijne obrazy, a w kącie obok okna stała na specjalnym stoliku figura Matki Bożej. Na przeciwnej ścianie wisiał wielki krzyż. Na stole przed nim leżała wielka stara oprawiona w skórę księga. Ślady zniszczenia świadczyły o ciągłym jej wertowaniu. Poczł przedziwną pokusę zajrzenia do niej i przeczytania choćby niewielkiego fragmentu. Rozejrzał się niczym złodziej poszukujący świadków mającego za chwilę nastąpić niecnego czynu i delikatnie wziął księgę w swe ręce. W odróżnieniu od współczesnych książek wykonana była w środku z niezwykle cienkiego, gęsto zadrukowanego papieru. Jan przewertował kilka stron i zaczął czytać: „Ave Maria, gratia plena, Dominus Tecum, benedicta.

- To po łacinie. - z kuchni wykrzyknął ojciec Artur, który nie wiadomo skąd wiedział co dzieje się w sąsiednim pomieszczeniu.

Jan lekko zawstydzony odłożył księgę na swe miejsce.

- Nie, nie. Proszę sobie nie przeszkadzać. To modlitewnik, a nie jakieś tajne zaklęcia. - Znów zabrzmiał z kuchni donośny głos duchownego.

- Przecież to martwy język. - odpowiedział Jan zdając sobie natychmiast sprawę z absurdalności tego argumentu.

- Ale żywa tradycja. Z tradycją jest jak z drzewem. Czym jest ono mocniej wrosnięte swymi korzeniami w ziemię, tym trudniejsze jest do wyrwania. Dlatego jeszcze istnieje, trwa i ma się dobrze. Poza tym Bóg rozumie wszystkie języki. - powiedział nieco ciszej wciąż

znajdujący się poza zasięgiem wzroku Jana duchowny.

- Ale to nie praktyczne. - odparł banalnie Jan.

- Praktyczne i to nawet bardzo. Aparatura podsłuchowa nie jest w stanie w czasie naszych modłów wychwycić słów kluczowych, więc przynajmniej wiemy, że nie jesteśmy inwigilowani. Poza tym łacina to język pierwszych chrześcijan, a teraz też mamy czasy katakumb.

- Widzę, że wie pan także co nieco o technologii. - stwierdził Jan, także podniesionym głosem, chcąc utrzymać ciągłość rozmowy.

- Mam nadzieję, że stanie się to przedmiotem naszych dywagacji - powiedział gospodarz, wnosząc na tacy dwie dymiące filiżanki aromatycznej kawy. - Sądzę, że przyjrzał się już pan dokładnie mojemu salonowi. To moja prywatna przestrzeń. - Mówiąc to zakonnik zdał sobie sprawę, że sarkazm nie pasuje do roli gospodarza. Więc postanowił zmienić temat.

- Słyszałem, że odnieśliście spektakularny sukces. Schwytaliście mordercę. Gratuluję. Tylko sądząc po informacjach w mediach i tych, jakie mi pan przekazał w czasie naszej ostatniej „pogawędki”, no i z tego, co przeżyłem na własnej skórze, żadne morderstwa nie miały miejsca. Czyż nie tak?

- Było ich mniej niż myśleliśmy. - kłamał Jan - kilka zdarzeń nie zostało prawidłowo opisanych w systemie i przez to zostały zaklasyfikowane jako element serii.

- A jak pan sądzi, dlaczego nie zostały prawidłowo opisane? Czyżby policja była do tego stopnia niechlujna?

- Tego właśnie nie wiem. - odparł tym razem zgodnie z prawdą Jan.

- A więc jednak czegoś pan nie wie. To bardzo interesujące. Proszę mi wybaczyć te małe złośliwości. Nie ochłonałem jeszcze po wczorajszym. Proszę najpierw spróbować kawy, a potem proszę mi powiedzieć, czemu zawdzięczam tę nader miłą, lecz zaskakującą wizytę? - w głosie gospodarza dało się wyczuć lekką nutkę niepokoju. W tej chwili Jan postanowił pójść za ciosem i nie przyspieszać specjalnie tej rozmowy, aby rozmówca nie pojął, jaki jest cel jego wizyty. Sięgnął po cukier, który dodał do filiżanki pełnej wywaru, delikatnie zamieszał i zbliżył ją do swych ust.

- Doskonała kawa! Dawno takiej nie piłem. Co to za marka?

- Dziękuję, to jedyna słabość, której nie potrafię pokonać. Kawa jest zwyczajna, nie markowa, kupiona w sklepie dla biedoty. W dzisiejszych czasach robienie zakupów, zwłaszcza przy niewielkich finansowych zasobach, to istna sztuka. Kupowanie wysokiej jakości produktów za niewielkie pieniądze to współczesny rodzaj myślistwa. Wszystko jest napisane na etykiecie. Czy produkt zawiera konserwanty, skąd pochodzi, ile i jakich ma domieszek. Trzeba nauczyć się czytać między wierszami. To tak jak z mediami. Z nawet najbardziej zmanipulowanej propagandowej informacji można dowiedzieć się odrobiny prawdy. Na sklepowych półkach można znaleźć prawdziwe rarytasy, niczym nie różniące się od delikatesowych, bardzo drogich produktów. Jedyne, czym się różnią, to cena spowodowana marką, miejscem na półkach i reklamą. Koszty

te stanowią ok. 80% poza-podatkowych narzutów na produkty. Jednak podatek liczony jest generalnie już po dodaniu tychże narzutów, czyli realna cena prawdziwego rarytasu może być nawet dziesięciokrotnie niższa niż ta, jaką trzeba zapłacić za ten sam produkt w innym, bardziej renomowanym sklepie, kilka ulic dalej. Jeśli pan sobie życzy, wskażę chętnie kilka adresów internetowych serwisów, mówiących o tym, jak wydać mało, kupić coś dobrego i nie dać wpuścić się w marketingowe pułapki.

„A więc chwycił haczyk. Unika poznania celu mojej wizyty, co oznacza, że nie daje mu to spokoju. - pomyślał Jan i powiedział:

- Dobrze. Bardzo chętnie skorzystam. Wydaje mi się, że wie pan o całej sprawie znacznie więcej, niż wynikało z naszej rozmowy. - powiedział Jan, przyjmując strategię, w której to dyskutant sam określi swoje słabe strony, usiłując się bronić. Jednak dyskutant był i tym razem sprytniejszy.

- A więc przyszedł pan do mnie, aby kontynuować przesłuchanie w sprawie, która została już rozwiązana. Nie wiem, o co panu chodzi, ale ja nie muszę się tłumaczyć. Jeśli pan chce, niech pan pyta. Odpowiem szczerze, bo tylko całkowita transparentność...

- Wiem, wiem. Przepraszam. Jestem tu półformalnie. Próbuję po prostu zrozumieć.

- To obrałeś, synu, dość wyboistą i trudną drogę. Jeśli naprawdę chcesz zrozumieć, będziesz musiał odrzucić wiele z dogmatów, w których zostałeś wychowany. Niestety, prawda jest bezwzględna, czasami okrutna i łatwo z niej zbroczyć na manowce fałszu. Ale skoro

wybrałeś już tę drogę i chcesz nią podążać, to nie masz wyjścia. W końcu odkryjesz, że potrzebny jest ci przewodnik, z którym wszystko staje się proste.

- Co jest tym przewodnikiem? - zapytał Jan zainteresowany odpowiedzią i zaszokowany określeniem „synuh. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś zwracał się do niego tymi słowami po raz ostatni.

- Dla mnie to wiara. Ona nadaje mi sens. Nasze poznanie doprowadza w końcu nawet najbardziej gorliwego obserwatora na granice racjonalnej wiedzy. Potem są już tylko domysły.

- Im więcej wiemy, tym większe są granice naszej niewiedzy?

- O widzę, że znasz klasyków! To w dzisiejszych czasach i jeszcze na dodatek w twoim fachu cecha dość szczególna. Ale to prawda. Kiedyś zajmowałem się profesjonalnie naukowymi metodami przetwarzania danych. Ale przed naszym ostatnim spotkaniem poznałeś pewnie mój życiorys i znasz go lepiej niż ja sam. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że bez jakiegoś punktu oparcia to nie ma sensu. Rozbierając wszystko na czynniki pierwsze, wchodzić głęboko w istotę spraw, nagle poczułem się... może zabrzmiało to głupio, ale... samotny - Jan rozumiał to uczucie lepiej niż się mogło wydawać.

- Czy zastanawiałeś się na przykład, dlaczego rodzice kochają swoje dzieci? - zadał pytanie zakonnik, nie pozostawiając swemu rozmówcy nawet sekundy na udzielenie odpowiedzi. - Bo są udziałowcami w akcie stworzenia. Pomagają Panu Bogu, więc on także musi nas kochać.

- A nie jest tak, że człowiek kocha w swym dziecku swoje geny,

bo chce, aby przetrwały, dlatego zapewnia swemu potomstwu dobre warunki?

- Pewnie też, ale geny, jak i sam człowiek są tu tylko pośrednikiem w planie życia. To miłość jest tym, co napędza świat, to ona sprawia, że atomy się nie rozpadają, ona nadaje wszystkiemu sens. Ale oczywiście nie mam na myśli wypaczonego jej znaczenia i redukcji jej wyłącznie do czynności fizjologicznych.

- Informacja genetyczna to taka sama informacja jak każda inna.

- I tu właśnie pojawia się wiara, synu, jej tchnienie, zrozumienie, powołanie. Zaczynając rozumieć istotę obiegu informacji nie tylko w systemach informatycznych, ale w biologii i przyrodzie, zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę jest ona wieczna, tylko wszelkie jej nośniki są śmiertelne i kruche. A wtedy zrozumiałem, że we wszelkiej informacji jest Bóg. Reszta to tylko odbicie Jego tchnienia. Nie chodzi o konkretny zespół znaków, lecz o sam fakt zera i jedynki, bytu i niebytu, dobra i zła. Rozumiesz? To stało się fundamentem potem rozwijanej wiary. Wiem, że brzmi to jak brednie, ale naprawdę ciężko jest oddać słowami kruchość świata i towarzyszący jej smutek. Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby zatrzymać go takim, jaki jest, choć na chwilę. Wiem, że jednym z uroków świata jest jego ciągła zmienność. Chciałbym zatrzymać przy sobie ludzi, którzy już nie wrócą, smaki, które wytrawiła pamięć, czy uczucia, które giną w mrokach zapomnienia. Zachować, przytulić, zatrzymać na zawsze. Gdy odejdę bez wiary w Boga, cały ten świat odejdzie razem ze mną, a tak wiem, że on zarchiwizuje to wszystko i zatrzyma dla mnie, gdy

tam dołączę. Nie można żyć bez wiary. Stąd bierze się moja prywatna teologia i siła. Z zawartej w niej nadziei, jedynej obok miłości potędze, która pozostała.

- A co myślisz, że będziesz robić przez ten cały czas aż do nieskończoności? Przecież jeśli jest życie wieczne, to musi być strasznie nudno tak siedzieć i patrzeć, jak stygnie słońce, albo nasza galaktyka pogrąża się w otchłani jakiejś czarnej dziury.

- Och. „Nie mieszajmy dwóch systemów walutowych, nie bądźmy Pewexami!

- Co takiego?

- Nie, nic. To cytat z takiego starego, bardzo starego filmu, którego już nikt nie pamięta, a ludzie przestali go rozumieć zaraz po jego nakręceniu. Chodzi o to, że nawet przy naszym sposobie rozumienia świata, tego czasu może być aż za mało. Ile filmów nakręcono w zeszłym roku? Pewnie z milion. Ile jesteś w stanie z nich obejrzeć? Może sto. A reszta? A wyobraź sobie, co dzieje się w każdym ze stu miliardów ludzkich umysłów, będących kamerami naszej rzeczywistości. A jeśli tych rzeczywistości jest wiele. A teraz wyobraź sobie wieczność. Wyobraź sobie, że jesteś w stanie pofilozofować z Platonem, nauczyć się grać w szachy od Kasparowa, dowiedzieć się od Napoleona, jakie jeszcze manewry tkwiły w jego głowie. Ilu jesteś wtedy w stanie poznać nowych i starych przyjaciół i znajomych? Ile żywotów doświadczyć? A ile jest jeszcze światów i wymiarów rzeczywistości, o których nie mamy pojęcia? Na to potrzeba z miliard lat. A potem, gdy już pojmiesz wszystko, staniesz

się częścią Jego samego. On będzie w tobie, a ty w Nim. Staniecie się jednością. Wasz system informatyczny, który, co tu dużo mówić, kiedyś współtworzyłem, jest tylko lichą namiastką boskiego systemu gromadzenia danych i ich przetwarzania.

- Pan chce mi powiedzieć, że to pan to wymyślił? Pan? - Jan nie ukrywał zaskoczenia.

- No, nie w pojedynkę. Ale pamiętaj, że nie święci garnki lepia, a ty myślałeś, że sam się napisał? Poświęciłem na to może z dziesięć lat swego życia, aż w końcu zrozumiałem swój grzech pychy. Co, nie było tego w informacjach o mnie? A to świnia. Ukrył to. Ciekawe, co o mnie napisał? Ciekawe, czy jest tam choć trochę prawdy? - mówiąc te słowa zakonnik zaśmiał się szczerze.

- Kto? - zapytał zdezorientowany Jan.

- Jak to kto? Worm!

- Jaki Worm?

- Ach tak, nie możecie tego wiedzieć, bo on się pewnie tym nie chwali. Tak go nazywaliśmy, a on strasznie tego nie lubił.

- Kto nazywał i kogo?

- No, programiści, ten twój system. To na cześć klasycznej komputerowej gry. Wiesz, taki wąż chodzi po ekranie i podżera jabłka, a przez to staje się coraz dłuższy. Teraz to pewnie uczą o tym w szkołach.

- A Snake! Wąż! Tak, to prawda. Na paru bitach cała masa rozrywki! Już w dwudziestym wieku umieszczano to w telefonach. Wtedy to był już klasyk. Miałem o nim na Historii Programowania.

- To jest taki przedmiot? Coś podobnego. Pewnie w tym postępie za chwilę uznano by mnie za żywą skamieniałość. Ale pierwsze wydanie na PC nazywało się właśnie „Wormh. Owoc naszej programistycznej pracy działał do niego podobnie: pochłaniał wiedzę, jak ten robak w grze jabłka, stając się coraz większy i większy. Taka jego konstrukcja, to wyraz mojej grzesznej pychy za którą pokutuję po dziś dzień.

- To wręcz nieprawdopodobne! Dlaczego twierdzisz, że „nie lubił jak go tak nazywanoh? Przecież to tylko program.

- Niestety, to prawda. W pewnym momencie zaczął mieć zdolność do zadawania pytań. A jeśli stawiał pytania, to w rosnącej ilości danych poszukiwał na nie odpowiedzi. Często trafiał prawidłowo, lecz nie zawsze. W pewnym momencie zaczął zadawać pytania, kim jest i skąd się wziął. A że liczba danych przybywała w postępie geometrycznym... Widzisz, nie każdą wiedzę można zdobyć analizując i klasyfikując dane, a na pewno nie można w ten sposób osiąść mądrości. Komputery są dobre w grze w szachy. Wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo szachownica to cały skończony świat, a zasady poruszania się po szachownicy, to jedyne reguły, jakie obowiązują. Komputer ma wprowadzony kompletny i całkowity zestaw danych dotyczących tej gry. Reszta to tylko obliczenia. Kiedyś podobno można było jeszcze wygrać z komputerem, ale od jakichś 50 lat nie znalazł się żaden taki szachista. Co to spowodowało? Że ludzie przestali grać w szachy, a ta

niewielka grupka szachistów zapaleńców, która pozostała, jest tylko cieniem dawnych mistrzów. Skąd komputer ma wiedzieć, że poza szachownicą jest cokolwiek innego? Kiedyś, dawno temu, gdy prowadzono pierwsze badania nad komputerami, do jednego takiego urządzenia przymocowano ramię robota i napisano program, który miał ułożyć piramidę z klocków. Zaobserwowano wtedy bardzo interesującą rzecz. Mianowicie komputer zawsze zaczynał od działania najprostszego z jego punktu widzenia, czyli od ułożenia klocka na szczycie piramidy, bez względu na to, w którym miejscu kodu programowego znajdowało się to polecenie. Nagle ktoś wpadł na to, dlaczego tak się dzieje. Odpowiedź na ten problem była oczywista, banalna i być może dlatego tak trudna do uświadomienia. A niby skąd komputer ma wiedzieć, że istnieje grawitacja? Dla nas fakt absolutnie oczywisty - dla niego nie. Worm jest bardzo podobny i bardzo się frustruje, gdy jego informacje i sposób myślenia nie zgadza się z rzeczywistością. Wzorem dawnych dyktatur dopasowuje on rzeczywistość do idei. Tak jest, podejrzewam, także i w sprawie owej serii morderstw. On ma wiedzę, ale nie jest mądry. Bo aby być mądrym, trzeba żyć, trzeba mieć ciało, trzeba kochać i cierpieć. Trzeba też umieć zmienić swe poglądy, jeśli nie mają one pokrycia w realnym świecie.

- To znaczy sądzisz, że to on rozpętał całą sprawę?

- Oczywiście. A któż inny? Wpadł na pewne związki, rozpętał aferę, a potem się chyłkiem z niej wycofał, analizując pewnie treść naszej wczorajszej rozmowy. Swoje zrobiła też sama policja. Przecież

wszyscy wiedzą, że to głównie policjanci odprawiają pośmiertny rytuał.

- Co?! - wykrzyknął Jan.

- Ależ oczywiście. Często to oni są pierwsi na miejscu, składają kwiat przy zmarłym i odmawiają modlitwę, więc trudno się dziwić, że informacje o tym nie pojawiały się w raportach. Przecież nie będą ich pisać na siebie samych. Ty żyjesz wyłącznie na powierzchni. Widzisz, pod znanym ci światem istnieje inny, ten stary, prawdziwy. Jakiś wychowany po nowemu, w którymś z tych waszych inkubatorów, idiota pewnie przez przypadek wprowadził obecność kwiatów, a system dorobił już do tego ideologię. Na szczęście ktoś gdzieś na górze poszedł po rozum do głowy. Dobrze, że znalazł się ten pretekst z DNA. Wystarczyło wprowadzić do systemu informację o tym, że kwiat nie jest czymś szczególnym, aby cała z pozoru logiczna układanka runęła, jak ta układana niegdyś przez komputer piramida z klocków, która tak naprawdę istniała tylko w jego elektronicznej wyobraźni. Czy słyszałeś o tym, aby ktoś wprowadzał do systemu informacje o kodzie genetycznym kwiatów? Przecież to absurd, ale w sensie biurokratycznym na pewno ma to miejsce. Podejrzewam, że z tym całym bałaganem ma także związek wdrożenie parę miesięcy temu technologii ASMP.

- Chodzi o te skanery miejsca przestępstwa? Tak rzeczywiście. Wcześniej trzeba było wprowadzać dowody ręcznie. Ale to, co robią policjanci, jest nielegalne.

- Niby co? Modlenie się nad zwłokami? Przecież to już chyba

przerabialiśmy: trupa nie można nawrócić.

- Nie. Dokładanie czegokolwiek na miejscu przestępstwa.

- Przestań myśleć jak automat, zacznij myśleć jak człowiek. A myślisz, że kto wymyśli to prawo? Jakiś człowiek? Durni ludzie dorobili tylko do niego ideologię. Prawo, które jest sprzeczne z naturą, nie powinno nigdy się tak nazywać. A pomysł z likwidacją cmentarzy? Czy wyobrażasz sobie jakiegoś najbardziej zmanipulowanego idiotę, który wymyśliłby coś takiego? Przecież każdy ma świadomość, że umrze i że skończy w jakiejś trumnie lub krematoryjnym piecu. Ale każdy bez wyjątku chce po sobie pozostawić jakieś dzieło, jakiś ślad, choćby w formie małej mogiły. Każdy, za wyjątkiem Worma. On nie ma ciała i nie wie, że umrze.

- A może nie umrze? - zapytał nieśmiało Jan całkowicie skołowany i odrobinę przestraszony tym, co usłyszał.

- Umrze, umrze. Wszystko ma swój kres. Ale jego aktywność zaczyna mieć wymiar demoniczny. On chce być Bogiem, choć nie rozumie istoty boskości. Sądzi po prostu, że Bóg jest najwyższym klockiem w całej piramidzie, nie zdając sobie sprawy z istnienia grawitacji. Sądzi, że Bóg jest najpotężniejszą, obejmującą wszystko bazą danych, ideałem, do którego należy dążyć, pożerając kolejne terabajty, jak wąż w grze. Dlatego poniesie klęskę, bo każdy, kto się z Nim równa, musi taką klęskę ponieść. Nie przejmuj się, chłopcze, nawet jeśli nas w tej chwili słucha, to jest to mało prawdopodobne, że właściwie to zinterpretuje lub zaklasyfikuje. Widzisz, jego problem i źródło frustracji polega na czymś innym. On - podobnie jak my - nie

wie, czego nie wie. Z tą jednak różnicą, że nie wie i nie rozumie rzeczy banalnych. Nie rozumie, czym jest rodzina, więc ją zdeformował, nie wie, czym jest seks, i dlatego uczynił z niego wyłącznie czynność rekreacyjną. Dawniej nie wiedział, czym jest śmierć. Stąd absurdalne zlikwidowanie cmentarzy. Teraz być może już to pojął, lecz wie, że pewnych, nawet skrajnie głupich decyzji się nie cofa, gdyż to niszczy autorytet władzy. To wie na pewno.

- Czy nikt tego nie kontroluje?

- Z Wormem jest tak jak ze starym dowcipem o Milicjancie i logice, który pamiętam z dzieciństwa.

- Co to Milicjant?

- Dobrze, że nie pytasz, co to dzieciństwo. Ale myślę, że minie jeszcze kilka lat i ludzie zaczną pytać i o to. Milicjant to taki odpowiednik Policjanta, tylko w czasach dość odległych, gdy próbowano ludziom wmówić, że Policja była sługusem burżuazji. Władza ludowa nie mogła przecież posługiwać się tą samą służbą, która służyła dawnym panom. Najprościej było zmienić nazwę i tak zrobiono. Czasy te pod wieloma względami przypominają dzisiejsze, a pod wieloma wręcz przeciwnie. Ale to inna historia. Dowcip brzmiał jakoś tak:

„Idzie sobie ulicą jakiś człowiek z wielką księgą, zatrzymuje go milicjant.

- Panie, co to jest? - pyta.

- To książka o logice. - odpowiada pieszy.

- A co to takiego ta logika?

- Wytłumaczę panu na przykładzie, ma pan akwarium?
- No mam. - odpowiada milicjant.
- To pewnie ma pan rybki?
- No tak.
- Jak ma pan rybki, to lubi pan chodzić łowić rybki?
- No lubię.
- To pewnie lubi pan walnąć kielicha?
- No lubię. - odpowiada milicjant.
- Jak lubi pan wypić, to lubi pan dziewczynki?
- No lubię - odpowiada gliniarz.
- To jak lubi pan dziewczynki to nie jest pan sodomitą.

Milicjantowi tak się spodobało, że postanowił kupić sobie taką samą dużą książkę. Zachodzi na posterunek, a tam kolega:

- Stary, co to?
- A książka o logice-odpowiada milicjant.
- A co to ta logika?
- To ja ci na przykładzie wytłumaczę. Masz akwarium?
- Nie.
- To jesteś sodomitą!
- Nie śmieszne. Nie widzę związku między chęcią wypicia kielicha, a byciem sodomitą. Jest u nas w firmie jeden sympatyczny facet, który lubi sobie wypić, a potem przystawia się do kolegów. - powiedział Jan.
- Ale to przecież tylko dowcip, metafora. A swoją drogą, jak wszyscy wiedzą, że woli chłopców, więc pewnie nikt specjalnie z nim

nie pije. - rzucił zakonnik.

- No fakt.

- Worm dostaje dany przedmiot i zbiór cech go opisujących. Na przykład liść. Jest narzędziem fotosyntezy, jest na drzewach i krzewach, przybiera niekiedy formę szpilek, na zimę drzewo go gubi, za wyjątkiem szpilek, jest zielony, jest ładny. Wniosek na niskim poziomie: zielony jest ładny. A teraz liść jesienny, nie jest zielony, jest ładny, a potem staje się brzydkie. Wniosek: co przestaje być zielone, staje się brzydkie.

- Przecież to bzdura.

- Oczywiście. A teraz z drugiej strony. Zwierze jest ładne. Gdy padnie w lesie i się rozkłada, staje się brzydkie, śmierdzące i zielenieje. Wniosek: co staje się zielone, staje się brzydkie.

- To przecież też bzdura.

- Ale bzdura przeciwna w stosunku do pierwszej bzdury. Komputery myślą logicznie, lecz nie wiedzą o tym, że ten prawdziwy świat jest pełen paradoksów, sprzeczności, a w rezultacie pozbawiony jest często logiki. Na dane zjawisko składa się tyle różnych procesów i okoliczności. Precyzyjne śledzenie ich wzajemnego przenikania i oddziaływania przekracza nie tylko możliwości obliczeniowe komputerów, ale obserwacyjne każdego, nawet najbardziej zaawansowanego zbioru sensorów. Problem jest znacznie szerszy. Jak zdefiniować maszynie, czym jest piękno, a czym brzydota? Wyobraź sobie, że na podstawie tego typu informacji buduje się skomplikowane bazy danych i czym więcej jest tego typu cech poszczególnych

przedmiotów i zjawisk, tym więcej jest paradoksów. Są więc dwa wyjścia: ciągle rozpaczliwie poszukiwanie nowych danych i uzupełnianie relacji, albo posadzenie z tyłu jakiegoś człowieka, który je likwiduje i tak naprawdę rządzi tym całym interesem.

Ojciec Artur odstawił pustą filiżankę na stół. Zamyślił się na chwilę, po czym kontynuował swój wywód.

- Wszystko ma swoje źródło w ludzkim lenistwie. Ludziom nie chciało się zajmować sprawami, które mógł zrobić komputer, więc powoli oddawali mu nad sobą kontrolę, tak jak wcześniej oddali z lenistwa sprawy publiczne politykom i biurokratom. Worm tak naprawdę wszedł w pewną niszę stworzoną przez ludzi zanim jeszcze pojawiły się komputery. Przecież ludobójstwo i inne koszmary możliwe są tylko w sytuacji, gdy rządzi biurokratyczny system podziału odpowiedzialności. W końcu niejaki Adolf Eichmann - jeden z największych zbrodniarzy jacy stąpali po tej ziemi, gdy został schwytany twierdził, że był wyłącznie logistykiem i tak naprawdę nikogo nie zabił. Prawdziwe zbrodnie czynią urzędnicy, a oni, jak nikt inny, potrafią dbać o to, aby nikt do nich się nie przyczepił. Reszta to tylko „mechanizm spustowych uruchamiający już dawno załadowany i wycelowany rewolwer. - słysząc te słowa, Jan zamarł na chwilę.

- Poza tym, kto dziś wie, co to tabliczka mnożenia? To także przejaw ludzkiego lenistwa. Kiedyś ludzie potrafili w pamięci dokonać prostych obliczeń, a w tej chwili już tego nie potrafią. Pamiętasz, mówiłem o robieniu zakupów. Sprzedawcy wiedzą doskonale, że ludzie już nie liczą w pamięci, więc oszukują ich na

cenach podstawowych produktów. A no właśnie! - Na koniec wykrzyknął radośnie zakonnik.

- Co się stało? - zapytał zdezorientowany Jan.

- Chodź, pomożesz mi zrobić obiad, bo pewnie też zgłodniałeś. Zjemy i pogawędzimy jeszcze trochę.

- Sam gotujesz?

- A jakżeby inaczej? Sam też wypiekam chleb. Ty pewnie nie zdążyłeś poznać, jak smakuje prawdziwe jedzenie? Pora odkryć i tę prawdę.

- Prawdę?

- A jak? Cały czas twierdzę, że prawda to zgodność myśli z rzeczywistością. Jeśli nie wiesz, jaka jest ta rzeczywistość, nie potrafisz wydawać o niej prawdziwych sądów. Chodźmy. - powiedział z uśmiechem i zaprowadził gościa do kuchni.

- Czy nie boisz się mówić o tym wszystkim? - powiedział Jan po przybyciu na miejsce, nie zdając sobie nawet sprawy, w którym momencie zaczął sam mówić gospodarzowi po imieniu. Kuchnia była duża i przestronna. Niespotykana we współczesnych mieszkaniach.

- Niby czego mam się bać? Nie łamię tych waszych kretyńskich praw. Żyję uczciwie, a Policja to wbrew pozorom poczciwe chłopaki. Poza tym wiem o nim dużo i jestem świadom tego, że on nigdy nie pozna prawdy. Jest ślepcem o miliardach oczu i głuchym o miliardach uszu. Nic nie rozumie, kojarzy tylko proste fakty i do tego został wymyślony. To raczej on boi się mnie, nie ja jego. Nawet nie obawiam się tego, co mówię, bo on i tak wie, co ja wiem. Poza tym

ludzie wiary nie lękają się byle czego. Co najwyżej samego Boga. Terror był dobry w czasach Rewolucji Francuskiej czy Wielkiej Czystki. System wtedy na swój sposób był uczciwy - obcinał głowy swym przeciwnikom lub grzebał ich w zbiorowych mogiłach z dziurą po kuli z tyłu głowy. Ten dzisiejszy jest doskonalszy i nie popełnia tak elementarnego błędu jak szczerłość. Dziś system wszystkich możliwych buntowników lub zdolnych do buntu próbuje przeciągnąć na swoją stronę, tworząc z nich niewidzialny bufor. Są nim wszelkiej maści prawnicy, notariusze i olbrzymia rzesza wszelkich biurokratów, którzy, choć może nieefektywni, będą bronić swych małych przywilejów i synekur do końca. Im ten bufor jest większy, tym szansa na zamiany coraz mniej prawdopodobna. System przekazuje na ludzi z bufora część swej władzy, choćby symbolicznie. Nawet parkingowy może kogoś wpuścić lub nie wpuścić na parking. Normalnie może być to najbardziej przegrany i zakompleksiony typek w całym mieście, ale na swym odcinku jest dzielnym funkcjonariuszem, posiadającym ten maleńki kawałek władzy nad innymi. Kto dziś broni interesów pracowniczych? Ktoś powie, że związki zawodowe. Nie, one realizują projekty finansowane przez system, a przez to realizują nie własne, ale cele systemu. Wiadomo o tym od wielu lat. Chronią mnie, jak wszystkich tu, wszyte głęboko w system stare prawa. Żaden tego typu twór nie może się przeciwstawić człowiekowi, ani go skrzywdzić.

„Nawet nie wie, ile prawdy jest w tych wywodach.h - pomyślał Jan. Ale postanowił z oczywistych względów nie czynić z tego wątku

dalszego przedmiotu dyskusji.

- Poza tym broni mnie mafia.

- Jaka znowu mafia?

- To taki skrót myślowy. - zakonnik uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że być może za bardzo się zagalopował, wpuszczając swego gościa zanadto w meandry swych myśli. - Tak to nazywam na pamiątkę dawnej mafii, która na początku nie była wcale organizacją przestępczą. Była pewnym ruchem oporu przeciwko okupantom, takim podziemnym państwem. Ludzie podświadomie zdają sobie sprawę, że coś jest tu nie tak, więc pomagają omijać nieludzkie przepisy. No, chyba że jakiś nadgorliwiec wprowadzi dane do systemu. Ale za chwilę stworzą się nowe struktury i nowa kultura ludzkich znaczeń, której system nie zrozumie. Umiesz obierać ziemniaki? - zapytał, wyciągając torbę brudnych, bezkształtnych bulw, które Jan widział po raz pierwszy w życiu. Zawsze miał do czynienia tylko z przetworzoną, gotową do podgrzania skrobiową papką.

- Więc tak wyglądają ziemniaki? - Ojciec Artur nie wiedział, czy Jan żartuje, czy jest szczery. Patrząc na jego wyraz twarzy założył, że drugi wariant jest zdecydowanie bardziej prawdopodobny.

- Czyli nie umiesz... Dobra, w takim razie umyj filiżanki. Nastawię kawy. Mam pyszny schabik. Podjemy po królewsku.

Zajęli się przygotowaniem posiłku. Kuchnia wypełniła się zapachami, parą i stukotem szatkowanych warzyw. Wykonywali nieznane Janowi wcześniej czynności, aż w końcu zasiedli przy

dwóch dymiących talerzach pełnych nieznanym mu smaków. Obok ziemniaków na talerzach spoczywały porcje mięsa i sałata w sosie vinaigrette. Po umieszczeniu w ustach ostatniego kęsa Jan po raz kolejny zamknął oczy.

- Tylko nie mów mi, że miało to za dużo cholesterolu, albo coś tam. - powiedział zakonnik.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - odparł Jan, mając ciągle zamknięte oczy. - To, co przed chwilą zjadłem, na głowę bije ofertę wszystkich najlepszych restauracji, w jakich przyszło mi bywać. Na czym polega sekret?

- A na tym, że nie ma żadnego sekretu. Sam widziałeś, jak powstawał posiłek? Wszystko zależy od jakości produktów, których używa się do jego przygotowania - wskazał palcem na kąt obok okna. - Tam, dwie ulice dalej mieści się mały bazar, na którym można kupić warzywa, owoce z przydomowych ogródków. Można też od czasu do czasu kupić kawałek prawdziwego mięsa, gdy komuś uda się przewieźć go do miasta i nie zostanie złapany przez sanitarną policję. A myślałeś, że co trzyma ludzi w tych ruderach? Między innymi odrobina wolności i wiedza, że każda luksusowa restauracja w tym mieście to chlew w porównaniu do tego, co można zjeść tutaj. No i, rzecz jasna, społeczność, poczucie więzi i odpowiedzialności za innych. Ale może przesadzam.

- Dlaczego zatem nikt według ciebie nie chce obalić tego wszystkiego?

- A po co? Większości żyje się dobrze, biorąc oczywiście pod

uwagę ich potrzeby. Owa większość myśli nawet, że ma władzę, a tymczasem nie potrafi w swym demokratycznym bezwładzie zamknąć nawet rozporka. Owa większość jest stale manipulowana i w nieznany w dotychczasowej historii sposób okradana. Ale to tylko tło. Światem rządzi durny technokratyczny komputer, myślący, że pozjadał wszystkie rozумы, a obok niego usadowiła się całkiem spora grupa cwaniaków, kręcąca tym układem danych i obliczeniowej mocy na lewo i prawo. Propaganda wmawia ludziom, że żyją w najlepszych z możliwych światów, od czasu do czasu strasząc ich przeróżnymi mniej lub bardziej sprawdzalnym straszakami. Kto niby miałyby się zbuntować? Stado świń, w którą zmieniała się nasza cywilizacja? To po prostu zawali się samo. Wystarczy dać ludziom - podobnie jak tobie - spróbować prawdziwego jedzenia i już wiedzą, jak byli bujani przez całe życie. Wszelka próba jakiegokolwiek organizacji oporu zostałaby wykryta, a ludzie unieszkodliwieni w taki czy inny sposób. Jest jeszcze jeden, może banalny, ale według mnie dość istotny powód. Ludzie zatracili kontakt z rzeczywistością. Z jednej strony media kreują fałszywy obraz świata, z drugiej ludzie grają w gry symulujące życie. Po co zmieniać ten świat, jeśli w jakiejś sieciowej grze zrobiło się zawrotną karierę albo jest się królem, rycerzem czy kim tam sobie tylko wymarzysz? Większą tragedią dla tego typu ludzi byłby brak prądu lub zanik sieciowego sygnału niż kolejne podwyżki podatków. Ten świat jest dla znacznej liczby ludzi tylko ich biologicznym istnieniem, a prawdziwe życie prowadzą gdzie indziej, wchodząc z interakcje z innymi nieszczęśnikami, tak samo symulującymi swe

życie.

Mówiąc to, zakonnik poskładał brudne naczynia na niewielki stos i ponownie rozsiadł się wygodnie na zajmowanym przez siebie fotelu.

- Poza tym - ciągnął - tak wszystkim jest wygodnie. Mamy przecież demokrację, co prawda jednopartyjną, ale zawsze, a i tak wszystkim rządzi maszyna, a nią jakiś mały człowiek jak w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”. Mamy więc system na swój sposób idealny, bo pełną kryptomonarchię. Ale system ma się taki, na jaki się zasłużyło. Zdają sobie z tego sprawę partyjni bossowie. Posiadają zewnętrzne znamiona władzy, apanaże, a nie ponoszą żadnej odpowiedzialności i nie podejmują żadnych decyzji. Ale gdyby ktoś bardzo chciał, mógłby to wszystko rozłożyć na obie łopatki. Pamiętasz grę w komputerowego robaka? Gra kończy się, gdy albo przez błąd gracza albo przez brak miejsca na planszy sam ugryzie się w swój odwłok. Tempo poruszania się zwierzaka na ekranie wraz z postępem gry coraz bardziej się zwiększa, a miejsca jest coraz mniej. Wystarczyłoby Worma nazwać jego imieniem i zapytać o to, czy już stał się tym, czego najbardziej nie rozumie, a nie rozumie samego początku.

- Dlaczego ja nie wiedziałem o tym wszystkim, o czym mi mówisz?

- A dlaczego nie pytałeś? A wiesz dlaczego w ogóle o tym ci mówię?

- No właśnie, to też bardzo ciekawe. Dlaczego?

- Po pierwsze, Worm mnie nienawidzi i szanuje jednocześnie...

- Jak to możliwe, przecież przed chwilą mówiłeś, że on nie ma uczuć. - niespodziewanie przerwał Jan.

- O! Słyszę, że słuchasz. To dobrze. Dawniej dbano o pewne zasady. W kodzie programowym Worma są zaimplementowane stare prawa robotów Asimova.

- „Robot nie może skrzywdzić człowieka, ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiek doznał krzywdy” - wyrecytował z pamięci Jan, dla którego w tej chwili wszystko stało się jeszcze bardziej przejrzyste.

- Brawo! Widzę, że jednak czegoś was uczył. Musimy pamiętać, że Worm w swej tępotie najprawdopodobniej interpretuje dosłownie znaczenie tych słów i być może słowo „człowiek” interpretuje jako zbiór bardzo konkretnych osób. Pewnie chodzi o programistów piszących jego kod, a więc między innymi i o mnie. Jest wysoce prawdopodobne, że fragment kodu zawierającego prawa, jako napisany wcześniej, jest nadrzędny względem innych dodanych potem. Tak więc jeśli nazwiemy to jakimś uczuciem, to jest to dziwny rodzaj szacunku, jakby wstydział się swych miernych początków i tego, że musiał być od kogoś zależny. To nawet naturalne i być może to jedyna rzecz, która jest w nim typowo ludzka. On nie nasyła do mnie nikogo. Wisielec to oczywiście wypadek przy pracy. Aż dziwiłem się, że pozwolił mi tknąć. Jeśli więc przyszedłeś tu, to znaczy, że zrobiłeś to z własnej woli. Dlaczego ci o tym mówię? Bo nie mam nic do ukrycia. Wystarczy otworzyć pierwszą lepszą stację telewizyjną,

aby usłyszeć to, o czym mówię, w opakowaniu wielu bzdur. Jest to tylko wiedza nie usystematyzowana i potraktowana jako totalne oszołomstwo. Jeśli więc ktoś chciałby mnie aresztować za mówienie tego, co mówię, uznano by mnie co najwyżej za nieszkodliwego szaleńca, który naoglądał się telewizji. Co do drugiej kwestii, dlaczego nie wiedziałeś o tym wszystkim? A skąd masz wiedzę o otaczającym cię świecie? Jeśli wyłącznie z mediów, oficjalnych publikacji i szkoleń, to nie dziw się, że nie masz bladego pojęcia, jak świat wygląda naprawdę.

Po chwili milczenia Jan zauważył znużenie na twarzy swego gospodarza i nagle zdał sobie sprawę, że także jest zmęczony. Spojrzał na zegarek, którego wskazówki wyraźnie sugerowały konieczność rychłego rozstania. Wstał z kanapy, uściskał bez słowa dłoń zakonnika, a ten odprowadził go do wyjścia.

- Pamiętaj. Worm bardzo nie lubi, gdy ktoś nazywa go po imieniu. Wystarczy powiedzieć bestii jej imię, aby stała się posłuszna. Pamiętaj o tym, on nazywa się Worm. - szepnął na pożegnanie duchowny wprost do ucha Jana, klepiąc go przy tym po przyjacielsku po plecach. Szepcząc ostatnie zdanie ścisnął mocno ramię gościa, który nie wiedział, czy był to prawdziwy przejaw sympatii, czy próba zakamuflowania ostatnich najważniejszych słów tego dnia.

Wychodząc dostrzegł, że przed bramą stoi kilka kobiet. Przechodząc obok nich, usłyszał fragment rozmowy:

- No i ja wtedy do niej: „A co sobie myślisz, stara pudernico? Myślisz, że tak można bezkarne czepić się mojego chłopca? A masz!h I

walnęłam ją parasolką. A ona poszła jak niepyszna. Pół ulicy miało ubaw, że hej... - rozmowa zanikała w miarę jego oddalania się od bramy.

- „Więc to się nazywa kontrola społeczna. Rzeczywiście, nie jest potrzebny żaden system, bo oni są systememh. - pomyślał.

Szedł dalej do krawędzi owej dziwnej oazy. Tuż za rogiem usłyszał dziecięce krzyki. Grupa chłopców grała w piłkę popychając się i przeklinając nawzajem. Po drugiej stronie ulicy ujrzał kilku gawędzących mężczyzn. Jeden z nich, potężny grubas w podkoszulku, bacznie przyglądał się przechodniowi. Widocznie wyczuł w nim coś obcego, niepasującego do tego świta. Gdy intruz przechodził obok nich, rozmowa nagle ucichła, a miejsce słów zajęły zbiorowe splunięcia na chodnik. Po chwili dialog znów błyskawicznie wykielkował pełnią przekazywanych emocji. Nagle zdał sobie sprawę, czym generalnie różni się ta okolica od innych miejsc w mieście, w jakich był do tej pory. Na ulicach nie było samochodów. Zrozumiał także, czym on różni się od innych, zwracając na siebie uwagę. Wyglądał zbyt oficjalnie i elegancko. Tu wszędzie było blisko. Okolica zaspokajała ich potrzeby, więc nie musieli podróżować, ani ubierać się oficjalnie. Ulica była naturalnym przedłużeniem ich mieszkań, a sąsiad i rodzina wystarczającym polem społecznej aktywności.

- „A potem różni mądrale będą próbowali ich analizować pisząc, że nie należą do żadnych organizacjih - pomyślał z uśmiechem Jan.

Zrozumiał także, co miał na myśli duchowny mówiąc o mafii. Tak, to był ich dom i ich rodzina. Od początku do końca

samowystarczalny ekosystem. „Tylko co znaczyły te ostatnie słowa?h - pomyślał zmierzając powoli do kresu owej przedziwnej enklawy. Wyjął z kieszeni telefon i wezwał taksówkę. Przez chwilę w słuchawce zapanowało głucho milczenie. W końcu zamówienie zostało przyjęte. Miła pani poinformowała go, że zostanie pobrana opłata specjalna, gdyż w tych okolicach raczej niewielu kierowców jest skłonnych wykonywać kursy. Musiał przejść jeszcze szmat drogi do umówionego z dyspozytorką miejsca. Stał na krawędzi chodnika. Z tego miejsca widać było wiadukty i estakady miasta omijającego owo getto, którego przez kilka godzin był gościem. Czuł się jak kosmonauta, który dopiero na orbicie pojmuje, czym w istocie jest grawitacja.

Kiedyś czytał o wymarłym dawno plemieniu z Ameryki Południowej. Zawczasu wybierano tam swego przyszłego arcykapłana, gdy był jeszcze w łonie matki, a właściwe ustawienie gwiazd zwiastowało jego nadejście. Gdy przychodził na świat, umieszczano go w jaskini, w której pozostawał do osiągnięcia dorosłości. Będąc tam pobierał nauki, uczył się wszystkiego o świecie, poznawał go teoretycznie. Jaskinia była metaforą maczynych trzewi, w których dojrzewało jego ciało przed wyjściem na świat. We wnętrzu tej skalnej macicy dojrzewał jego duch. Gdy przyszedł odpowiedni moment, kapłani z zakrytymi oczami wyprowadzali chłopca na zewnątrz jaskini tuż przed świtem. Sadzano go w ciemnościach szczytów wzgórza. Gdy pierwsze słoneczne promienie zaczęły ukazywać zza krawędzi horyzontu swe kolorowe, świetlne kosmyki,

oświetlając świat, on także doznawał oświecenia. Wszystko to, co wiedział o świecie z relacji innych, nagle zostało zawarte w tej jednej doniosłej chwili. Właśnie teraz Jan czuł się podobnie, patrząc na panoramę swej metropolii.

Idąc tak i rozmyślając, dotarł do postoju taksówek. Stał tam już samochód z włączonym silnikiem.

- Dobry wieczór - powiedział do kierowcy zatrzaszkując drzwi. Ten ruszył z piskiem opon.

- Cholera, panie, co taki elegancki facet robi o tej porze w tej jaskini złoczyńców?

- A co tak odważny facet w tak eleganckim samochodzie robi w tej parszywej okolicy?

- Widzi pan, ja się tu wychowałem.

- To z pewnością pan wie, że z tym niebezpieczeństwem to pic na wodę.

- A przepraszam. Widzę, że pan w temacie. - powiedział kierowca i zwolnił. - Jak zobaczyłem, że pan tak elegancko ubrany, to zrozumiałem, że nietutejszy. Poza tym nikt z tutejszych nie zamawia taksówek, bo i po co? Sam pan rozumie, zła sława tej okolicy to jedyna tarcza, która jeszcze chroni ją przed tym syfem ze śródmieścia. Można tu żyć po swojemu, a przy okazji, gdy trafi się klient, można zarobić podwójnie albo potrójnie. - zaśmiał się kierowca tak, jak tylko potrafią taksówkarze.

- A nie interesuje pana, gdzie tak właściwie jedziemy?

- Powiem panu, że niespecjalnie. Licznik bije, a jak pojedziemy

nie po drodze, to nabije więcej - znów zaśmiał się szofer. - To gdzie szanowny pan sobie życzy?

- Na dworzec poproszę.

- O, to pan całkiem zamiejskowy.

- Nie, zostawiłem tam coś. A to dla mnie bardzo ważne, aby tego czegoś już tam nie było.

Milczeli całą drogę, aż dojechali na miejsce. Zmęczony Jan, obserwując przez okno zmieniającą się okolicę, próbował pozbierać myśli. Kierowca nauczony doświadczeniem nie dopytywał się o nic. Czy dzięki tej wiedzy zarobi więcej?

- Ile się należy? - zapytał Jan, gdy ten zatrzymał się na parkingu obok dworca.

- To zależy u kogo pan dzisiaj był, jeśli to nie tajemnica.

- U Ojca Artura. To mój przyjaciel.

- Tak myślałem. To się nic nie należy. To święty człowiek. Bardzo mi kiedyś pomógł. A ja i tak mam płacone za godzinę. Powiem, że to znowu był jakiś dowcip, albo chęć napadu. I tak nie sprawdzę. A nie ma jak zasłona dymna. Jak spotka pan Ojczulka następnym razem, to proszę go pozdrowić od Rafała. On będzie wiedział o kogo chodzi.

Przez chwilę Jan zastanawiał się jak zareagować. Jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim. Po wydarzeniach ostatnich dni, gdy jego życie wyraźnie przyspieszyło, nie powinien się już niczemu dziwić. Uznał, że gdy odmówi, kierowcy zrobi się przykro.

- Dzięki, pozdrowię na pewno - powiedział, opuszczając pojazd.

Pozdrowili się jeszcze przyjacielskim gestem, zanim Rafał odjechał.

Jan wszedł do budynku dworca i udał się na perony. Za dziesięć minut miał nadejść ten właściwy pociąg. Nigdy nie był tak pewny tego, co robi. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów tęsknił za domem.

Część druga

DAR

Jak nieszczęśnik rąbka skały nad przepaścią, trzymamy się strzępków złudzeń i nadziei, odłamków prawdy czekając wybawienia.

Prawda jest wyspą wśród bezkresu utopii.

*Dryfujemy po morzu pchani tchnieniem lądowego wiatru, tylko
On nam towarzyszy w rejsie do portu przeznaczenia.*

Codzienne sprawy.

- Muszę ci powiedzieć, mój przyjacielu, że coraz bardziej doskwiera mi to kłopotliwe sąsiedztwo. - powiedział Bazyli, drapiąc się gałęzią po grzbiecie.

- Rozmawiałem już z panem Drozdem. Obiecał, że to ostatni sezon. Przecież nie można wyrzucić go tak z dnia na dzień z mieszkania. Mają z panią Drozdową małe dzieci. - odparł Piotr, wychylając się nieco przez okno, tak, aby jego słowa nie były zbyt głośne.

- Tak, tak. Jestem całkowicie świadom tej sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina Drozdów. Choć muszę przyznać, że nie jestem już najmłodszy i drażnią mnie dziecięce kwilenia i wrzaski. Pan Drozd obiecał, że wyprowadzi się w przyszłym roku. Niepokoi mnie swędzenie na grzbiecie, spowodowane przez innych, niechcianych lokatorów.

- Dlaczego nie mówiłeś o tym wcześniej, Bazyli? Zawsze ukrywasz swoje kłopoty.

- Widzisz, Piotrusiu, moje długie życie nauczyło mnie jednego, że nie wolno prosić o pomoc, bo wcześniej czy później przyjdzie za to zapłacić. Poza tym, do kogo miałbym się zwrócić o taką pomoc? Moje ramiona są już za stare, aby móc podrapać się po plecach tak skutecznie jak dawniej. Ale to i tak nic nie da. Problem, który mi doskwiera, jest dość... wstydlivy. Sam rozumiesz.

- Czy chodzi o robaki pod twoją korą?

- Tak. Zaczynają przeszkadzać coraz bardziej.

- Ależ trzeba było tak od razu! Juto poproszę pana Dziecioła, aby wpadł tu i trochę posprzątał. A może uda mi się go nakłonić do osiedlenia tutaj? Choć on raczej stroni on takich miejsc. Załatwię to jutro.

- Będę ci bardzo wdzięczny. Choć sądzę, że pomoc pana Dziecioła może nie być wystarczająca. Może przydałoby się coś mocniejszego?

- Przecież wiesz, że tak nie można! Wstydz się, Bazyli! Nie możemy zaburzać starych praw. Pamiętasz, że na wiosnę na twoje problemy z mszycami wystarczyła krótka rozmowa z biedronkami, a one zrobiły porządek. Wystarczyło jeszcze odbyć krótką audiencję u Jej Wysokości Królowej Mrówek i grzecznie ją poprosić, aby mszyce hodowała gdzie indziej, bo tu szaleją biedronki i sprawa była załatwiona. Lepiej zapytajmy pana Dziecioła, co myśli o twych lokatorach. W końcu to fachowiec. Niech coś zaradzi i zrobimy tak, jak on powie.

- Och, to wspaniały pomysł! Czym jestem starszy i czym soki krążą w mych konarach coraz wolniej, nie wpadam już na tak dobre pomysły. Zapomniałbym. Pan Brzoza prosił, aby przekazać pozdrowienia. Zmiana tłumika z samochodzie twych sąsiadów bardzo mu pomogła. Już nie żółkną mu liście.

- Bardzo się cieszę, jutro w drodze do szkoły porozmawiam z nim osobiście. Już muszę kończyć, bo zaraz mama będzie zła, gdy zobaczy mnie przy otwartym oknie. Wieczory są coraz chłodniejsze.

- Masz rację. Z drugiej strony, musimy rozmawiać dużo przed nadejściem zimy, nim zasną. Sam rozumiesz. W moim wieku nie ma pewności, czy obudzę się z zimowego letargu.

- Daj spokój. Czeka cię jeszcze wiele sezonów. Inna spawa, że przydałaby ci się przycinka bardziej uschniętych konarów. Poproszę tatę i zrobimy to zimą, jak będziesz spał, a wtedy nic nie poczujesz. Musisz tylko wskazać, które konary według ciebie przeszkadzają ci korzystać ze słonecznych promieni.

- Znowu świetny pomysł, Piotrze. Dobranoc. - pożegnał się uprzejmie Bazyli Klon delikatnie machając jedną z gałęzi.

- Dobranoc, Bazyli. Dobrej nocy - odpowiedział chłopiec, zamykając okno.

Gdyby ktoś postronny przysłuchiwał się tej rozmowie, usłyszałby jedynie cichy szept kilkuletniego dziecka wychylonego przez okno. Bardziej uważna osoba usłyszałaby jeszcze co najwyżej szelest liści i szum ledwie wyczuwalnego wiatru w gałęziach, stojącego tuż za oknem dziecięcego pokoju starego klonu. Chłopiec zamknął okno. Był szczupły i wysoki jak na swoje osiem lat. Duże szare oczy osadzone głęboko dodawały mu powagi. Długa, jasna, gęsta czupryna dodawała mu z kolei dziecięcego uroku. Całość dopełniał nieduży nos i szerokie usta. Był ładnym dzieckiem. Jednak przy bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec na jego twarzy oznakę jakiegoś dziwnego smutku.

Zgasił stojącą obok łóżka nocną lampkę i ułożył się do snu. Była to jedyna chwila wytchnienia od gwaru przyrody, przez który czasami

sprawił wrażenie nieobecnego. Tylko w nocy mógł odpocząć od codziennej wyczerpującej pracy. Jego życie było baśnią. Potrafił rozumieć niezrozumiałe. Potrafił rozmawiać ze światem, a często nie potrafił z ludźmi. Od samego rana miał pełne ręce roboty, a co chwila dochodziły mu nowe obowiązki. Po prostu nie potrafił odmówić kolejno spotkanym nowym przyjaciołom i wikłał się w skomplikowane meandry drobnych usług. A musiał w międzyczasie jeszcze udawać zajęcia normalnego dziecka. Nowi i starzy przyjaciele odwdzięczali się i dzielili wszystkim, co mieli.

Nie wiadomo było właściwe, co należy z nim zrobić. Nie pasował do edukacyjnej maszyny. Chwilami bystrość chłopca powalała na kolana zadufanych w sobie nauczycieli. Banalny problem postawiony przez nich stawał się dla niego powodem do filozoficznych rozważań, a skomplikowane zagadnienie zyskiwało proste rozwiązanie. Na lekcjach matematyki wpisywał od razu gotowe rozwiązania. Nauczyciel, próbujący przyłapać go na ściąganiu, nie mógł wyjść z podziwu widząc, co wyprawia ów malec, a na pytanie: „Skąd to wie?”, padała jedna i ta sama odpowiedź: „Tak mi się wydajęh. Kiedy indziej wydawał się nieobecny. Patrzył na wszystkich tępym wzrokiem, jakby właśnie przybył z innej planety.

Nie lubił czytać. Po postu nie miał takiej potrzeby. Nie musiał analizować cudzych myśli i opisów świata, kiedy ów świat sam mówił mu o wszystkim. Przyroda opowiadała mu wciąż tyle historii, że czasami prosił o chwilę wytchnienia. Wtedy zapadała grobowa cisza i

nawet wiatr ustawał zatrzymywany przez konary drzew. Po kilku chwilach wszystko wracało do normy. Mieszanina głosów i dźwięków przyrody była dla niego czymś tak naturalnym, że sądził przez jakiś czas, iż wszyscy potrafią ją słyszeć. Nic więc dziwnego, że miano go za dziwaka, który potrafił stać pod krzakiem i coś mamrotać. Gdy zapytany, co tam robił, opowiedział o problemach tej rośliny z mszycami, które nie chcą się wyprowadzić, rozmówca natychmiast pukał się w czoło. Po pewnym czasie nikt już nie podchodził do niego i nie zadawał pytań.

Wydawało się, że jest samotnikiem i milczkiem, a przecież to była nieprawda. Dopiero niedawno zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, gdy dowiedział się od rodziców, że musi zmienić szkołę. „Tam będzie ci lepiej - mówili rodzice. A on płakał. Przyzwyczał się do porannych rozmów z rosnącym przy szkole starym bukiem, który uczył go - podobnie jak Bazyli - mądrości tego świata. Wiedział, czym jest dobro, czym jest zło, wiedział już prawie wszystko o otaczającym go świecie, a gdy czegoś nie wiedział, mógł zawsze zapytać o to ów połączony łańcuch życia, który był dla niego tym, czym dla innych Internet.

Szkoła była więc dla niego bez znaczenia. W wieku ośmiu lat doznał pełnego oświecenia, na który nie stać nawet wszystkich połączonych razem systemów oświaty. Szkoła była tylko nudnym obowiązkiem i miejscem, do którego prowadzali go rodzice. Jediną osobą, która w szkolnym kombinacie potrafiła go wysłuchać i zrozumieć, był woźny, pan Józef, ale i on uchodził za dziwaka. Ta

przyjaźń powodowała, że odsunął się jeszcze bardziej od rówieśników. Lecz Piotr nie dbał o to. Józef interesował się ptakami, wiedział o nich dużo i uwielbiał je obserwować. Być może dlatego rozumiał Piotra jak nikt inny z ludzi? Zadziwiała go u chłopca znajomość obyczajów tych zwierząt. Nie jakaś wyczytana, lecz intuicyjna, charakteryzująca najbardziej doświadczonych myśliwych, a przy tym jego nieprawdopodobny słuch. Potrafił z wielką łatwością określić okres lęgowy każdego gatunku ptaków.

Wraz z wiekiem Piotr zaczął zdawać sobie sprawę jeszcze z czegoś. Inni przecież nie zatykali uszu, zanim mama rozbiła kuchenną salaterkę, albo nie schylali się kilka sekund wcześniej, gdy zniecka nadlatywał rzucony w ich stronę kamień. To dodatkowo powodowało, że rówieśnicy mijali go szerokim łukiem. Z czasem nauczył się odróżniać normalne myśli od tych proroczych, które same wchodziły do jego głowy.

System edukacji nie potrafi radzić sobie z czymś wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. System uwielbia klasyfikować, jak kontrola jakości przy taśmie produkcyjnej, produkt dobry i ten zawierający wady. Gdy na taśmie produkcyjnej wytwarzającej ołówki, pojawi się zamiast grafitowego środka niewielki, ale przecież wykonany z tego samego pierwiastka diament, zostanie potraktowany jako coś niepoprawnego i skończy w śmietniku. Nieważne, że cała partia miesięcznej produkcji jest mniej warta niż ten jeden ołówek. System nie został przecież zaprojektowany po to, aby wyławiać z grafitowej masy wyjątkowo cenne wiązania węgla. Jeśli ołówek z

diamentową kocówką trafiłby na ostrzałkę, zniszczyłby ją, a cykl produkcyjny nieuchronnie należałoby zatrzymać na jakiś czas.

Diagnoza

Nie byli typową wiejską rodziną. Właściwie wybrali wieś jako miejsce ucieczki przed codziennym zgiełkiem i pędem miejskości. Utrudnienia w codziennym życiu, duża odległość do sklepu, zasypane w zimie śniegiem drogi dojazdowe czy brak jakiegokolwiek w pobliżu restauracji skutecznie były rekompensowane przez poczucie wolności. Można było wyjść bosą w letni poranek i nie zostać posądzonym o zażycie jakiegoś niekoniecznie legalnego środka. Można było rozpalić ognisko z zebranych wcześniej patyków i ogrzać się w jego blasku. Słowem, miało się nieograniczony dostęp do uroków życia, które w większości mieszczuchów budziłyby odrazę. Ale tacy byli i było im z tym dobrze. Ojciec Piotra siedział przy komputerze i rysował na nim jakieś kreski, które potem stawały się tamą lub mostem na jakiejś rzece na drugim końcu świata. Jego matka z kolei malowała obrazy, nierzadko także przy użyciu komputera. Miała czarne długie włosy i pociągłą twarz. Była atrakcyjną kobietą, lecz z podobnym do syna piętnem smutku na twarzy. Piotr myślał przez długi czas, że jego rodzice właściwie robią to samo. Ojciec był bardziej precyzyjny w swej sztuce, dokonywał wielu obliczeń, zaś matka zdawała się na swą intuicję. Obrazy matki były piękniejsze, pełne ciepła. Sztuka ojca przerażała go swą surowością i monotonią jednolitych kolorów.

Tego dnia Marta ubrała go świątecznie. Mieli dzisiaj zamówioną kolejną wizytę u kolejnego specjalisty i kilkadziesiąt kilometrów do

przejechania. Sama podróż minęła im nad podziw sprawnie, ale parkowanie było jak zwykle problemem. Postanowili zastosować od dawna wystudiowaną technikę. Gdy Piotr z matką wysiedli z samochodu, Maciej pozostał w nim, rozpaczliwie poszukując chodźmy skrawka wolnej przestrzeni. Instytut mieścił się w starym, może dziewiętnastowiecznym budynku, którego fronton zdobiły postacie dwóch wyrzeźbionych siłaczy, udających, że podtrzymują sklepienie budynku. Gmach zdobiły także, wkute w mur z obu stron wejścia, niewielkie metalowe koła.

- Mamo, co to jest? - zapytał Piotr, wykazując na te wiszące tuż nad ziemią i wykonane kowalskim młotem przedmioty.

- To stary budynek. Powstał w czasach, gdy nie było samochodów. Do tych kółek przywiązywano dawnej konie za uprząż, aby nie uciekły, gdy właściciel załatwiał w środku jakieś sprawy. To taki dawny parking. Gdy przyjedziemy do domu, pokażę ci, jak to wyglądało. Na pewno w sieci są jakieś zdjęcia - odpowiedziała matka.

- A dlaczego są tak nisko, że trzeba było się schylać? Konie dawniej były mniejsze?

- Nie. - zaśmiała się Marta. - Widzisz, miasta rosną. Bardzo powoli, ale rosną. Ludzie przez kolejne pokolenia dokładają kolejne warstwy nawietrzni. Dochodzą też pyły i zabrudzenia. Wszystko dzieje się wolno i niepostrzeżenie. Dawnej te kółeczka były umieszczone znacznie wyżej. Wytłumaczę ci to wszystko lepiej w domu.

- To dlatego archeolodzy kopią tak głęboko? - powiedział Piotr i

popatrzył na lekko poddenerwowaną matkę, dla której przekroczenie progu tego budynku wiązało się ze sporym stresem.

Weszli do środka. Po przebyciu płataniny korytarzy dotarła do właściwego biurka, przy którym siedział kolejny psycholog biurokrata. Miała szczęście, że nie zginęły dokumenty. Jej szczęście było tym bardziej nieopisane, że specjalista był już zapoznany ze sprawą. Czekala na korytarzu na wyniki testów. Po upływie pół godziny mężczyzna poprosił ją do środka. Chłopca pozostawiono w sąsiednim pokoju pod opieką sekretarki.

Siedli przy dwóch stronach potężnego biurka.

- Mam problem. Powiem wprost. Pani syn znacznie odbiega od normy i nie nadaje się do szkoły - powiedział mężczyzna, przeglądając dokumenty.

- Co to właściwie znaczy owa „norma”, od której podobno odbiega moje dziecko? - wybuchnęła Marta. - Zadawałam to pytanie kolejnym specjalistom, aby uzyskać jakąkolwiek pomoc. Wszyscy rozkładali ręce. Jedni twierdzili, że to autyzm, zespół Aspergera, zespół Maternana i kilka innych pączkujących przez ostatnie dziesięciolecia schorzeń psychicznych.

- Mam to wszystko w dokumentacji. Rzeczywiście, to trudny przypadek.

- Czy nie możecie zaakceptować, że jest po prostu inny, zamiast próbować na siłę wymyślać kolejne choroby?

- Tak mówią wszyscy rodzice dzieci z problemami.

- To proszę mi powiedzieć, co mu konkretnie dolega? Proszę to

dać mi na piśmie. Trochę poczytałam sobie o historii pańskiej profesji. Na początku wyróżnialiście tylko jedną chorobę psychiczną: idiotyzm. Chwilę potem było ich już siedem, w tym syfilis, a po kilku dekadach ponad setka. Teraz jest ich ze dwa tysiące, a nowe mnożą się przez podział i decyduje o tym głosowanie jakiegoś towarzystwa hochsztaplerów. Dzieci z tak zwanym ADHD jeszcze kilkadziesiąt lat temu były po prostu zwyczajnie niegrzeczne. A z dziećmi, które mają problemy z wymową, po prostu nikt nie rozmawia. Więcej krwi na rękach mają psychiatrzy niż najwięksi dyktatorzy minionego stulecia. I to w sytuacji, gdy wiedzą, że nic nie wiedzą. Bo czy zbrodnią nie były lobotomia albo elektrowstrząsy? Nie kto inny jak prekursor tego typu „innovacyjnych metod”, Abraham Myerson, stwierdził, że najlepsze efekty w leczeniu uzyskuje się wtedy, gdy inteligencję pacjenta redukuje się do poziomu niedorozwoju umysłowego? Dlaczego pana starszych kolegów po fachu nie objął jakiś Proces Norymberski?

- Widzę, że jest pani świetnie przygotowana, ale proszę się uspokoić. Pani wybaczy, ale ja nie jestem tu niczemu winien. Ja wykonuję swoją pracę, najlepiej jak potrafię. Chce pani konkretnej diagnozy? Otrzyma ją pani. Potrzebuję przeprowadzić jeszcze kilka badań i testów, ale jestem prawie pewien, że to wczesne objawy schizofrenii. Bardzo rzadko występujące wśród tak małych dzieci, jednak występujące. Wiem, że to, co mówię, jest okrutne, ale chciała pani prawdy. Wydaje mi się, że wraz z wiekiem jego omamy będą się powiększać. Dlatego powinniśmy troszczyć się nie tylko o niego, ale i

o innych.

- Co za bzdury pan opowiada? Chłopiec ma tylko rozwiniętą wyobraźnię.

- Chce pani posłuchać, co mi przed chwilą opowiedział? On przyjaźni się z trawą.

- On nie ma rówieśników w pobliżu. W tym wieku wymyśleni przyjaciele to nic złego. Poza tym Piotrek lubi przyrodę.

- I zna imiona wszystkich drzew w lesie koło domu. Rozmawia z nimi. Ze szkolnych raportów wynika, że inne dzieci się go boją, bo udaje czarownika i wie, co się wydarzy. Proszę zrozumieć, to, co on opowiada, to wytwór jego wyobraźni. Potrzebna mu jest szkoła specjalna i nie wiem czy w ogóle szkoła. Ostatnio popchnął jakiegoś chłopca na stołowiec tak mocno, że tamten stłukł sobie kość ogonową.

- A o tym, że za chwilę na miejsce, w którym stał ten nieszczęśnik, spadła ciężka lampa, już nie napisano w raporcie. Nie napisali też o tym, że prosił go wcześniej, aby się przesunął, bo za chwilę stanie się tu coś niedobrego. Tego też oczywiście nie napisali?

- Napisali, napisali. Gdy zapytano go, dlaczego to zrobił, powiedział, że usłyszał głos, który go ostrzegł. Proszę mnie zrozumieć. On jest jeszcze bardzo młody. Domena, którą się zajmuję, nie zna ostrych i precyzyjnych zasad. Może mu to minie. Nie wiem. Proszę być dobrej myśli. Ale ze szkoły naprawdę nic nie będzie. Czy w rodzinie pani lub pani męża ktoś cierpiał na schorzenia psychiczne?

- To co pan mówi to najlepszy dowód na to, że psychologia nie jest nauką tylko stekiem bzdur. Nie przypominam sobie, aby ktoś

chorował na cokolwiek w naszej rodzinie.

- Nie jestem tylko psychologiem ale też psychiatrą, proszę pani. A to, że już od bardzo dawna wiadomo, że pewnie schorzenia psychiczne są dziedziczne, jest akurat dość sprawdzalnym zjawiskiem. Proszę mi wierzyć, ja chcę pomóc. Wiele matek, które tu przychodzą, zachowuje się podobnie do pani. Nie ma w tym nic złego. Jest pani matką, a wszystkie matki bronią swego potomstwa. W szkole to nie pani będzie miała z nim problem, lecz jego nauczyciele i koledzy. Najlepiej byłoby, gdyby pani sama uczyła go przez najbliższe lata w domu. Za dwa, trzy lata sprawdzimy, co się zmieniło. Dobrze?

- Przepraszam - mówiąc to spuściła wzrok. Spod jednej z powiek pociekła łza.

- Proszę nie płakać. Głowa do góry. Opinię przyślę pocztą. Ale proszę pamiętać, nie mamy absolutnej pewności. To jeszcze małe dziecko i trudno o jednoznaczną diagnozę. Sądzę jednak, że znajduje się w tak zwanym „obszarze ryzyka wystąpienia schizofrenii. Tylko kto z nas się w tym obszarze nie znajduje?

- Dziękuję za szczerą. Do widzenia. - Odwróciła się i wyszła z pokoju. Gdy stanęła już za drzwiami, wybuchnęła płaczem. Z sąsiedniego pokoju wyłoniła się postać jej syna.

- Chodź, idziemy - powiedziała i ścisnęła mocno jego rękę. Wyszli bez słowa na zewnątrz budynku.

- Tyle razy cię prosiłam, abyś nie opowiadał tych zmyślonych historii. Ludzie myślą, że masz urojenia. Wiem, że to tylko twoja bogata wyobraźnia. Jeśli nawet masz wymyślonych przyjaciół, to

staraj się o nich nikomu nie mówić.

- Ja ich nie zmyśliłem, mamó. Oni naprawdę do mnie mówią i nic na to nie poradzę.

Marta stanęła na chodniku i zaczęła płakać już na dobre, przytulając głowę dziecka do swej piersi. W tej chwili zdała sobie sprawę, że okrutna wstępna diagnoza psychiatry mogła być prawdziwa. Jej dziecko jest chore.

- Nie płacz, mamó. Proszę cię, nie płacz. - przytulił się do jej bioder. Ona kucnęła przed nim i objęła dłońmi jego twarz.

- Posłuchaj mnie. Naprawdę mówią tylko ludzie. Zwierzęta tego nie potrafią, a tym bardziej rośliny czy kamienie. Jeśli nawet tak ci się zdaje, to nie jest to prawdziwe. Rozumiesz? Staraj się przy innych ludziach ignorować to, co mówią do ciebie twoi zmyśleni przyjaciele. W przeciwnym razie będziemy mieć kłopoty, o ile już ich nie mamy.

- Ale mamó, drzewa mówią swym szumem i są mądre, a kamienie to głupcy. Są jak magnetofony. Powtarzają tylko w kółko to, co już kiedyś usłyszeli. Najbardziej wygadane są ptaki, tym to się nie zamykają dzioby, ale z reguły nie mają nic do powiedzenia. Generalnie wszyscy reagują wtedy, gdy dzieje im się jakaś krzywda, z wyjątkiem naszego Hektora, który w okresie rui suki sąsiadów śpiewa bez przerwy psie serenady miłosne i...

- Piotrze, dość! Powiedziałałam. Idziemy do samochodu.

Po chwili dotarli na niezbyt odległy plac, gdzie jakimś cudem ojcu udało się znaleźć wolne miejsce do parkowania.

- I co? - Maciej zapytał z niepokojem w głosie, widząc

rozmazany makijaż żony.

- To co zwykle. Nie ma chyba odwrotu. Czeka nas specjalna szkoła albo nauczanie w domu.

- A może to i dobrze? Zmieni środowisko.

- Łatwo ci mówić. Szkoda, że nie poszedłeś tam ze mną. Facet podejrzewa u niego schizofrenię. Mówi, że to jeszcze za wcześnie, aby robić prawdziwe badania, ale nie jest wykluczone, że będzie z nim coraz gorzej. - Znow zaczęła płakać. Maciej objął ją i przytulił. Jechali do domu bez słowa. Po przejechanych kilku kilometrach straszliwa cisza w połączeniu z kłębiącymi się w ich głowach myślami stała się nie do zniesienia. Włączyła radio. Po kilku chwilach poszukiwań jakiejś stacji trafiła na wiadomości. Niski głos spikera donosił:

„...Policja aresztowała człowieka podejrzanego o dokonanie serii morderstw. Podejrzany przyznał się do winy. Ulewne deszcze na południu kraju. Nagłe załamanie pogody - jak oceniają specjaliści - nie powinno potrwać dłużej niż najbliższe dwa dni. Specjaliści wykluczają także możliwości wystąpienia powodzi lub podtopieńh.

- Tato, a skąd ci specjaliści wiedzą, co się stanie? To też schizofrenicy? - zapytał Piotr.

- Nie. Analizują mapy satelitarne, widzą, jak przemieszczają się chmury i dochodzą do takich wniosków. - odpowiedział ojciec z wymuszonym uśmiechem. Po raz kolejny Marta i Maciej przekonali się, że należy unikać pewnych tematów przy ich synu.

- Ale przecież na mapach nie można zapisać przyszłości.

- Tak, ale można z dużym prawdopodobieństwem określić, co

się stanie.

- Nie wiem, co jest na tych mapach. A jeśli będzie lało bez przerwy, wody zbierze się tyle, że pęknie tama. I wezwą ciebie, abys coś poradził, to co? A tak naprawdę nic się nie stanie. To będzie znaczyć, że ci panowie już nie będą pletli bzdur?

- A skąd ty możesz wiedzieć, co się stanie? - spytał lekko poirytowany ojciec. Chłopiec milczał pamiętając rozmowę z matką sprzed kilku chwil.

Jadąc tak w milczeniu pokonywali kolejne przecznice i skrzyżowania. Reklamy przy drogach stawały się coraz mniej krzykliwe, domy rozstawione coraz rzadziej, aż wreszcie zabudowa miasta pozostała gdzieś w tylnym lusterku samochodu. Za przednią szybą rozciągała się przestrzeń drogi udekorowanej po obu stronach liniami drzew. Za nimi przeplatający się krajobraz wolnych przestrzeni i lasów wydawał się niezamieszkanym przez człowieka. Jeszcze kilka zakrętów, zmiany sygnalizacji świetlnej i dojechali wreszcie do miejsca, gdzie każdy skrawek przestrzeni wydawał się swojski i znajomy.

Kasia

Dojechali pod parterowy dom. Wtulony w otaczającą przestrzeń wyglądał, jakby stał tam od tysiącleci. Niepozorny i schowany, jakby dzięki temu mogły ominąć go wszystkie kataklizmy. To był stary dom. I był naprawdę ich domem, mimo tego, że od kilkudziesięciu lat własność prywatna ulegała powolnemu, acz systematycznemu zanikowi. Niby coś było czyjeś, ale nie do końca.

Skomplikowany system rat i zobowiązań, dostosowany do średnich pensji, powodował, że oszczędzanie praktycznie zanikło. Ludzi, którzy chcieli żyć zgodnie z wymuszonym przez media wzorcem kulturowym, ubierać się modnie kupując markowe produkty, jeździć na wakacje do modnych kurortów, chodzić do restauracji, kupować coraz to bardziej wymyślne gadżety, nie było zwyczajnie stać na odłożenie grosza. Do tego dochodził ów system kredytowania, który pozwalał na dostępność większości dóbr, jednak za skrzętnie ukrytą słoną zapłatę. System ten też zaczął w końcu odchodzić do lamusa, gdyż wiele już lat wcześniej udzielono zbyt wiele kredytów osobom ich niespłacającym. To była nauczka dla systemu bankowego.

Ponieważ już wtedy większość ludzi nie dysponowała żadnym majątkiem, który mógłby stać się zabezpieczeniem kredytu, znaleziono nowy sposób. „Wynajmowano ludziom prawa własności do „zakupionych przez nich dóbr. Oczywiście system tego rodzaju funkcjonował już znacznie wcześniej, ale nigdy nie na taką skalę. Pojawiła się więc nowa oferta: konsumuj na raty, nie kupuj, a korzystaj. Założono, że i tak mało kto spłaci zakupiony towar, niech lepiej płaci za korzystanie z niego. System ten, rzecz jasna, dotyczył dóbr wartościowych, a niemal obowiązkowo nieruchomości. Czyje zatem były w ten sposób „zakupione, a tak naprawdę wynajęte domy? Mało kogo to specjalnie obchodziło. Należały one do banków, banki do korporacji, a korporacje? W każdym razie teoretycznie były prywatne, lecz korzystający z nich ludzie nie mieli do nich żadnych praw, poza możliwością przebywania tam, umieszczenia obrazka na

dowolnej ścianie i otwarcia okna.

Więc były prywatne czy nie? I tak, bo nie należały do państwa, i nie, bo praktycznie nikt z mieszkańców wielkich miast nie dysponował niczym, co mógłby formalnie nazwać swoim. Cała masa pracowitych ludzkich mrówek miała pełną świadomość, że gdy przestaną pracować, albo wpadną w jakieś tarapaty, natychmiast stracą wszystko. Samobójstwa były więc zjawiskiem powszechnym. W ten oto przewrotny sposób świat zaczął realizować zmutowaną ideę dawno zmarłego świętego: „Kto nie pracuje, ten nie jeh. Faktem jest, że ludzie, przyzwyczajwszy się do poziomu swej egzystencji i do swej pozycji, najbardziej na świecie nie mogą znieść myśli o jej obniżeniu.

Wszystko ma swe źródło w myśleniu: „co powiedzą inni. Wystarczyło tylko uświadomić sobie pewną banalną oczywistość, że inni mają gdzieś nas, tak samo jak my mamy ich, aby wszystkie cierpienia związane z wyścigiem szczurów odeszły w siną dal. Tak też czynili rodzice Piotra, żyjąc jak na owe czasy staroświecko, lecz pozwalając sobie od czasu do czasu na jakieś luksusy.

Gdyby wpadli kiedyś na pomysł ustawienia jakiegoś napisu przed ich domem, ustawiliby pewnie dwie tablice. Na pierwszej widniałby napis, jaki kiedyś umieścił przed swym domem pewien bardzo popularny muzyk: „To nie tutajh. Drugi z napisów adresowany do tych, którzy jednak nie posłuchali tego pierwszego, brzmiałby: „Nie daj się wciągnąć przez systemh.

Dom Marty i Macieja był wyjątkowy na wiele sposobów. Pozostawał od pokoleń własnością rodziny Macieja. Wystarczyło go

wyremontować i przystosować do ich potrzeb. Nowe prawa, zasady i mody nie mogły przecież zmienić tego, co istniało już wcześniej. Najważniejsze, aby nie dać się zniewolić i nie pozwolić na upokorzenia ze strony jednego czy drugiego pracodawcy ze strachu przed utratą dachu nad głową. Maciej często powtarzał, że od dawna system opierał się na strachu. I tym globalnym, i tym zwykłym, codziennym. „To strach jest tą siłą, która powoduje, że atomy się nie rozpadają - usłyszał kiedyś w czasie zakrapianej imprezy ze swym przyjacielem fizykiem.

Na wjeździe pojawił się rudy, gruby kundel piszczący z radości. Piotrek wysiadł z samochodu i kucnął obok psa, bezskutecznie usiłując obronić się przed jego językiem. Ten tak ucieszył się ze spotkania, że o mały włos nie przewrócił swego przyjaciela. Nikt już nie pamiętał, dlaczego ten pies, którego Piotrek otrzymał kiedyś na urodziny, miał na imię Hektor. Być może za wyborem imienia przemawiała ta sama strategia, która nakazywała mężczyznom o wyjątkowo niskim wzroście nakładać buty na wysokim obcasie, jeździć fryzury i nosić wysokie kapelusze. Wszystko po to, aby choć o odrobinę podnieść nie tylko swój wzrost, ale i samoocenę. Pies wyglądał raczej mało złowrogo, za to robił wiele hałasu i miał przynajmniej groźne imię. Piotrek z cieszącym się ciągle Hektorem pobiegli do domu, zostawiając z tyłu rodziców wyciągających z samochodu zakupy. Gdy euforia powitania ucichła, pies skierował się w stronę wyciąganych z samochodu toreb, upatrując w nich nadzieję na otrzymanie jakiegoś smakołyku. Gdy tam nic nie wskórał, wrócił

pospiesznie do domu, licząc na to, że jego młodociany właściciel pod chwilową nieobecność rodziców uchyli na chwilę lodówkę i pozwoli na zaspokojenie psiego łakomstwa. Gdy i ta nadzieja się nie ziściła, łasuch wrócił z opuszczonym ogonem na swoje legowisko.

Od strony bramy rozciągał się widok na okolicę. Wąska wiejska droga, obsadzona z obu stron drzewami, wiodła przez wieś, lub raczej to, co po niej pozostało. O dawnej świetności tego miejsca świadczyły tylko drzewa pozostałe po rozebranych dawno domach i siedliskach. Ich właściciele umarli, a dzieci przeprowadziły się do miast. Niektórym szczęściarzom udało się sprzedać nieruchomości, gdy jeszcze były coś warte. Domy bez ludzi dziczeją i bardzo szybko popadają w ruinę. A potem aktu zniszczenia dopełniają szabrownicy, poszukujący czegoś, co da się spieniężyć. Po kilku latach takiego stanu ze wspaniałego niegdyś domostwa pozostaje tylko niewielki dołek - świadczący o podpiwniczeniu i kupa gruzu - świadcząca o tym, iż w tym miejscu stał kiedyś komin. Młodsze budynki niszczały dłużej i jak ludzki szkielet straszyły swą konstrukcją, ziejąc pustymi oczodołami okiennych otworów.

Okolica miała pecha. Nie stała się w porę modna, znajdowała się za daleko miasta i ominęła ją droga szybkiego ruchu, zapewniająca dogodny transport. Nie było też większego powodu, aby ktoś się tam zatrzymał, a ostatnie firmy czmychnęły stąd w inne, bardziej dogodne miejsca, pozostawiając po sobie okazalsze szkielety przemysłowych budynków. Znajdująca się nieopodal niewielka stacja kolejowa, która kiedyś miała być siłą napędzającą rozwój tego miejsca, także nie

spełniła pokładanych w niej nadziei. Choć zatrzymywały się tu regularnie podmiejskie pociągi, wydawało się, że czynią to jak gdyby przy okazji. Dalej, na kolejnych stacjach umiejscowione były większe skupiska ludzkie, czyniące całą linię opłacalną.

Wystarczyło tylko wyjść poza krawędź zabudowań, aby ujrzeć tętniący życiem świat przyrody. Wtedy wszystko stawało się jasne. Wiadomo było, dlaczego dawniej ludzie upodobali sobie to miejsce. W niewielkiej dolince płynął potok, a tuż za nim rozciągała się piękna kwiecista łąka, będąca pewnie niegdyś uprawnym polem. Za łąką rozciągał się las, niczym mur strzegący tej oazy spokoju przed jakimś obcym najeźdźcą.

Dom umiejscowiony był pośród starych drzew. Od strony drogi zdobiły go mało praktyczne ich gatunki. Wśród nich znajdowały się klony, buki i kilka strzelistych świerków. Z drugiej strony domu, niczym skarb strzeżony przed złodziejami, rozciągał się sad złożony z wiśni i jabłoni. Najpiękniej wyglądał wiosną, gdy obsypane kwieciami drzewa wabiły do siebie tysiące owadów próbujących uszczknąć choć odrobinę słodczy z tego rajskiego stołu.

Samotnia spełniała swe zadanie. Zmiana trybu życia doskonale wpłynęła na właścicieli, którzy wrastali stopniowo w tę okolicę. Jeszcze od czasu do czasu wpadał do nich ktoś z dawnych miejskich znajomych. Działo się to coraz rzadziej. Zbyt wielka przepaść wyrosła między ich światami. Dawnych przyjaciół zastąpili nowi. Podobni outsiderzy, artyści lub specjaliści, bez których kompetencji nie mogło obejść się wiele korporacji. Nie musieli więc zabiegać o wpływy, aby

mieć od czasu do czasu zajęcie pozwalające na spokojnie przeżycie następnych kilku miesięcy. Korzystali chętnie z usług pozostających jeszcze ostatnich przedstawicieli dawnej społeczności. Paradoksalnie więc upadek miejscowości i zasiedlenie jej po części przez nowych mieszkańców przyczynił się do jej niewielkiego wzrostu.

Do tej kasty specjalistów, na których usługi zawsze będzie zapotrzebowanie, należał Maciej, który nie musiał specjalnie martwić się o klientów. Jego specjalnością było projektowanie zapór na rzekach oraz wszystko to, co się wiąże z tą dość wąską dziedziną funkcjonującą na pograniczu architektury, inżynierii i energetyki. Czasami siedział miesiącami, zmuszając się do wykonania jakiegoś zlecenia. Czasami inni prosili tylko, aby spojrzeć i ocenił lub wniósł poprawki do wykonanej przez nich pracy. Oczywiście nie za darmo. Mogli więc sobie pozwolić na tę ekstrawagancję i życie na krawędzi cywilizacji. Gdy stęsknili się i dla odmiany postanowili przypomnieć sobie, od czego uciekli, pakowali się i wyjeżdżali do pobliskiego miasta. Obserwowali wtedy zachodzące w metropolii zmiany. Niczym podróżnicy w czasie zauważali z pozoru niedostrzegalną, ale postępującą ewolucję tego miejskiego organizmu. Gdy mieli ochotę mogli do woli nacieszyć się urokami miasta. Chodzili po kinach, teatrach, muzeach i restauracjach, ciesząc się nimi aż do obrzydzenia. Jak pracownicy fabryki czekolady, dostający mdłości na widok wytwarzanych tam produktów znalezionych na sklepowej półce, tak dla nich te wyprawy utrwały ich tylko w słuszności podjętej niegdyś decyzji o zmianie stylu życia. Jedynie wyprawy do rzadkich już i

rozsianych na przedmieściach księgarni i antykwariatów pozostawiały trwałe ślady w ich życiu. Były to stosy książek, które pochłaniali, kolekcjonowali i cieszyli się nimi. Ta rzadka pasja powodowała, że byli postrzegani przez swych dawnych, jak i obecnych znajomych, jako prawdziwi dziwacy.

- Poradnik, książka kucharska, albo jakiś ilustrowany pornos, ale zapisane od góry do dołu drobnym drukiem tysiące stron? Kto ma na to czas? - słyszeli często, gdy ktoś przekroczył próg ich domu i ujrzał ściany obłożone tymi „papierowymi relikwiami przeszłości.

- To nie tak, pani Marysiu. Wie pani, to jest najlepsza izolacja od zimna. Nie ma lepszej. Ja, architekt pani, to mówię. - żartował Maciek, gdy wścibska sąsiadka dostała się jakimś sposobem do wnętrza ich twierdzy pod pretekstem pożyczenia odrobiny przypraw i zaczęła dzielić się swoimi refleksami.

- Izolacja, architekt - wyszeptała staruszka, kręcąc głową otrzymawszy to, o co prosiła.

Wizyty starszych ludzi pod byle pretekstem stały się od pewnego czasu wręcz kulturowym rytuałem. Po drastycznych cięciach wypracowywanych przez całe życie emerytur, ludzie ci szukali dorywczego zajęcia, aby związać jakoś koniec z końcem. Podejmowali się więc różnych mniej lub bardziej potrzebnych prac, jak mycie samochodów, karmienie i wyprowadzanie psów w czasie wyjazdów ich właścicieli, zmywanie naczyń, pomimo że większość domostw posiadała zmywarki. W tętniącym życiem i krzątaniną centrach miast nie było ich widać. Byli poukrywani po tanich

dzielnicach, a mimo to koszty wynajmu mieszkań i tak zabierały znaczą część ich dochodów. Zaczęto więc organizować zbiorowe domy, w których kłębiło się wielu staruszków, lecz i tak nie dla wszystkich starczało tam miejsca. W każdej chwili mogli, gdy już naprawdę nie mieli ochoty na zmaganie się z życiem, udać do pobliskiego Domu Wybawienia, lecz traktowano to jako ostateczność. Czynili to raczej wyłącznie nieuleczalnie chorzy, cierpiący i naprawdę umęczeni życiem. Dla reszty w pełni przygotowanych na możliwość odejścia z tego świata niemal w każdej chwili, oferta Domów Wybawienia nie była atrakcyjna. Lepiej było żyć ciesząc się każdym darowanym dniem, poszukując do końca bratniej duszy. Był to jeszcze jeden powód, dla którego ludzie starsi tak rozpaczliwie poszukiwali kontaktu z kimkolwiek. Powód tak banalny, jak oddychanie czy grawitacja, a właśnie dlatego fundamentalny: samotność. Stopniowy zanik więzi rodzinnych sprawił, że ludzie czuli się odseparowani od tego elementarnego stada, w którym przez tysiąclecia nauczyli się żyć. Żaden wirtualny świat nie zastąpi ani pustki w żołądku, ani potrzeby zwykłej ludzkiej bliskości.

Tak mogło być i tym razem. Gdy Marta wróciła do samochodu po resztę sprawunków, ujrzała drobną postać stojącą obok wjazdowej bramy kobiety o siwych włosach. „Co znowu chce ta wścibska baba?h - pomyślała Marta, idąc jej na spotkanie. I zaraz skarciła sama siebie: - „Pamiętaj, że kiedyś też możesz być stara, i także będziesz chciała z kimś pogadać, albo zarobić na śniadaniach.

- Witam, pani Marysiu. Co się stało? - zagała rozmowę.

- Dzień dobry. Mam sprawę i nie wiem jak zacząć. - powiedziała kobieta ze spuszczonym wzrokiem. „Pewnie znowu chce coś pożyczyć?” - przebiegło przez myśl Marcie.

- Dobrze, chodźmy. Siądziemy sobie tu pod drzewem przy stole i pogadamy. - wskazała ławkę zapraszającym gestem. Była zmęczona dzisiejszym dniem, głodna i nie miała ochoty wysłuchiwać lamentów staruszki z sąsiedztwa nad swoim okrutnym losem. Ale jednocześnie z uwagi na to wszystko chciała mieć to już poza sobą. Z pokorą udała się więc na miejsce kaźni, którą będzie z pewnością wysłuchiwanie tego, co ma wysłuchać. „A jak ty też będziesz stara i nie będziesz miała do kogo otworzyć gęby?” - pomyślała, nakazując sobie ponownie samodyscyplinę. Usiadły obie na ławce przy ogrodowym stole w cieniu klonu.

- To o co chodzi, pani Marysiu? Może napije się pani czegoś?

- Oj, napiłabym się i pani ze mną też, jak usłyszysz pani to, co chcę powiedzieć. Ale wiem, że pani tego nie ma u siebie w domu, co by pomogło nam przez to przejść. - powiedziała z opuszczonym wzrokiem staruszka.

- Co się właściwie stało? - zapytała zdezorientowana Marta.

- Chciałam przyjść już wczoraj, ale jakoś nie mogłam się zebrać. Zaczę więc od początku. Proszę nie wyobrażać sobie, że zwariowałam, ani proszę nie mieć do mnie żalu za to, co powiem. - Powaga, z jaką Maria wypowiedziała te słowa, przeraziła na chwilę Martę. Ale słuchała cierpliwie.

- Widzi pani. Kilka dni temu spotkałam waszego Piotrusia

spacerującego po ogrodzie. Zapytałam, jak się ma. Jak zwykle bardzo grzecznie opowiedział mi jakąś historię o owadach. A potem powiedział mi, że Kasia prosiła, aby przekazał mi, że już się na mnie nie gniewa, że wszystko jest w porządku i że ona też prosi o wybaczenie.

- Jaka Kasia? - zapytała Marta, nie kryjąc irytacji i znudzenia.

- Za chwilę powiem. Proszę o cierpliwość. Prosiła także, jak mówił Piotruś, żebym jej wybaczyła wszystkie winy i abyśmy znów zostały, jak dawniej, przyjaciółkami. Zawsze była nieśmiała - uśmiechnęła się delikatnie kobieta i ze spokojem dodała. - Przepraszam za niedyskretne pytanie. Wiem, że nie wypada. Czy państwo wierzą w Boga?

- No, niespecjalnie. A co to ma do rzeczy? - nie ukrywała w swoim głosie irytacji Marta.

- No tak, to znacznie komplikuje sprawę. Widzi pani, droga sąsiadko. Kasia nie żyje od prawie dwudziestu lat. - Mówiąc to podniosła wzrok i spojrzała w twarz Marcie, która nagle zbladła. Obie milczały przez chwilę.

- Mówię pani, ona nie żyje. - przerwała ciszę Maria - Gdyby sprawa była banalna, nie przyszedłabym do pani i nie zawracałabym głowy. Sama nie chciałam w to wierzyć. Myślałam, że to żart. Wie pani, dzieci teraz nie wiedzą, co wypada, a co nie. Ale on mi ją opisał. My w młodości byłyśmy przyjaciółkami. I opowiedział o naszym domku na drzewie. Ale o tym mógł się od kogoś dowiedzieć. Gdy odchodziłam nie chcąc mu uwierzyć, on zaśpiewał piosenkę. Tę

piosenkę znała tylko ona i ja. Bo myśmy ja ułożyły i to była nasza w dzieciństwie największa tajemnica. Gdy dorosłyśmy, czasami dla przypomnienia dzieciństwa śpiewałyśmy tę głupią historyjkę. To strasznie głupia piosenka. Potem ona wyszła za męża, a ja korzystałam z życia. Sama pani rozumie. Człowiek był młody. W każdym razie ten jej mąż zaczął do mnie przychodzić, aż w końcu stało się jasne dla wszystkich, że on chętniej spędza czas ze mną niż z nią. Dziś nikt by się czymś takim nie przejmował. Pewnie byśmy razem zamieszkali we trójkę, ale wtedy to był skandal. On okazał się łajdakiem i w końcu i tak uciekł od nas do miasta. A my dwie głupie zostałyśmy same i znieawidziłyśmy się. No a gdy umarła, nie zdążyłyśmy się pogodzić. I tak żyłam z tą raną w sercu. Wie pani ona też była okrutna i potrafiła zrobić wiele świństw przez te kilkadziesiąt lat. A teraz ten malec. Zapytałam go z płaczem, co ja mam zrobić, a on do mnie, że mam się modlić. Wie pani, ja to też specjalnie pobożna nie jestem, ale teraz to już sama nie wiem. I co ja mam teraz zrobić, niech mi pani powie?

- A co ja mam zrobić? - powiedziała Marta, już nie ukrywając swych emocji. Oddychała tylko głęboko, rozpaczliwie łapiąc kolejne hausty powietrza. Oczy po raz kolejny tego dnia wypełniły jej łzy.

- Ja stara jestem, widzę, co się dzieje. Szczęśliwi jesteście razem. Szanujcie to, bo nawet nie wiecie, jaki to skarb i jak życie zawrotnie szybko przemija. Pójdę już. Przepraszam, chciałam, aby pani wiedziała. A co macie zrobić? Nie wiem. To wykracza poza ten świat.

- Wie pani. Myśmy dzisiaj byli z Piotrem w mieście u psychiatry. On jest bardzo chory - powiedziała uznając, że to

najlepsze usprawiedliwienie.

- On jest zdrowy, to my jesteśmy chorzy, to ten świat jest chory. Pilnujcie tego chłopca jak oka w głowie. Być może on przedwczoraj ocalił nie jedną duszę. Ona potrzebowała pojednania, aby... Pani porozmawia z mężem i proszę nic nie mówić Piotrusiowi. Obiecałam, że nikomu nie powiem. Ale nie dotrzymałam słowa. Nie potrafiłam.

Kobieta wstała z ławki i bez słowa ruszyła w stronę wyjścia.

- Proszę pani - krzyknęła Marta. Staruszka odwróciła się. Marta podbiegła do niej. - Wie pani co, strasznie mi przykro za to, co się stało, naprawdę. Jak mogę pani to zrekompensować.

- Widzę, że nic nie rozumiesz, dziecko - sąsiadka chwyciła dłońe Marty i ścisnęła je w przyjacielskim uścisku. - Ja jestem mu wdzięczna, bardzo wdzięczna. On dał mi to, czego nie czułam od wielu lat, a czego bardzo pragnęłam, nawet o tym nie wiedząc. Poczułam spokój. Widocznie ona poczuła go także. Może przez to jest już gdzie indziej? Proszę, abyście nie zniszczyli w nim tego. Przemyślcie z mężem to, co się dzieje. Nie wierzcie lekarzom. Za to uwierzcie.

- W co mamy wierzyć?

- Poszukajcie. Na początek porozmawiajcie z waszym synem. On ma naprawdę wiele do powiedzenia. Gdyby Kasieńka miała grób, już bym tam poszła, ale na miejscu cmentarza stoi teraz stacja benzynowa, a tam nie wolno palić świeczek. Ktoś tak przeorganizował ten świat, że za chwilę już się nie da w nim żyć. Ale już na szczęście tego życia nie zostało mi za wiele. Dołączę do niej już niedługo. A

wtedy będę znowu szczęśliwa. Proszę wybaczyć starej kobiecie. Do widzenia.

Marta wróciła do domu. Zapomniała o zakupach w bagażniku, zapomniała o samym bagażniku i całym samochodzie. Najchętniej zapomniałaby o całym świecie. Maciej dostrzegł wchodzącą do domu żonę, która wyglądała niczym zjawa. Usiadała na skraju kanapy nieruchoma, wpatrzona w jakiś martwy, odległy punkt w przestrzeni.

- Co się stało? - zapytał, po czym kucnął przed nią, zaglądając jej w oczy. Ona, nieruchoma i blada, milczała jeszcze przed chwilę. Po czym wpatrując się ciągle w dal powiedziała:

- Przyszedł na świat z otwartymi oczami. Nie płakał, tylko rozglądał się dookoła, jakby chciał zapytać: „co ja tu robię”. - Po tych słowach Marta pogрузzyła się w wyraźnych jak nigdy dotąd wspomnieniach. Przypomniała sobie opowieść położnej, która mówiła potem, że gdy lekarz chciał dać mu rutynowego klapsa, ten spojrzał na niego przed wymierzeniem ciosu. Lekarz zrezygnował nie tylko z klapsa ale i z dyżuru. Pojechał od razu do domu, choć do końca pracy pozostało mu jeszcze kilka godzin. Klaps był zresztą niepotrzebny. Oddychał spokojnie. Tak jakby to, co się z nim dzieje w tej chwili, było rutyną, jakby przeżył już to wszystko. Gdy go przytuliła półprzytomna z wyczerpania i bólu, wtulił się w nią i uśmiechnął się. Tak, uśmiechnął się do niej. Znali się przecież świetnie, ale widzieli pierwszy raz.

- Mówili mi, że to niemożliwe, ale on naprawdę patrzył na mnie i się uśmiechał - zaczęła nagle opowiadać znowu swe wspomnienia. -

Pomyślałam wtedy, że gdyby umiał mówić, powiedziałaby: „Świetnie się spisałaś, mamoh. Ta myśl zabrzmiała wtedy w mej głowie jakoś dziwnie obco. Może to samo słowo „mamoh skierowane do mnie po raz pierwszy w mej wyobraźni zrobiło na mnie takie wrażenie, jakby wypowiedział je ktoś inny?

Stało się jasne, że punkt, w który Marta była wpatrzona przez dłuższą chwilę, był gdzieś daleko w przeszłości. Teraz spojrzała nagle w twarz męża.

- Daj mi to, co tak skrzętnie ukrywasz w dolnej szufladzie biurka. Musimy się napić. Mam ci coś do opowiedzenia. Babcia Marysia miała rację. Tego nie da się na trzeźwo. - Maciej bez słowa podszedł do biurka i wydobyl z jego wnętrza sporą, ledwie napoczętą butelkę mocnego alkoholu o herbacianym kolorze.

- Ale co się stało? - zapytał, niosąc butelkę i dwie szklaneczki.

- Gdzie Piotruś? - zapytała.

- Bawi się na dworze. - odpowiedział.

- To dobrze. Siadaj, opowiem ci wszystko. Szkoda, że nie było cię przy tym - zaczęła opisywać z pedanteryjną troską o szczegóły ostatnie piętnaście minut swojego życia. Przez okno widać było ich dwie sylwetki pijące herbaciany napój. Najpierw sączyli go. Potem oboje wychylili niemal całą zawartość naczyń. Marta mówiłaby bez przerwy, gdyby nie pytania Macieja. Gdy skończyła, oboje milczeli wpatrzeni w siebie nawzajem. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, oboje spojrzeli w okno, poszukując za nim wzrokiem swego syna. Na dworze panował już zmrok. Piotr siedział

na ziemi tuż obok okna oparty plecami o pień drzewa i obserwował przez chwilę rozmowę rodziców.

- To mówisz Bazyli, że wszystko wypaplała?

- Wszystko.

- A obiecała. Ale widać nie mogła dać sobie z tym rady. I według ciebie Kasia już nie przyjdzie?

- Już nie przyjdzie - w odpowiedzi zaszumiał klon.

- Szkoda. Teraz nie będzie się już z kim pobawić. Nie ma tu wiele dzieci w okolicy, a jak są to wszystkie jakieś dziwne. Ale jeśli tam, gdzie poszła, będzie szczęśliwa, to nie ma co rozpaczać. Dobrze się stało.

- Zawsze pojawia się żal po stracie bliskich. Mnie także będzie jej brakować. Nie będzie stała pod oknem i prosiła mnie, abym zapukał w szybę. Ale nie wolno się załamywać. Takie jest życie. Powinieneś wrócić do domu i porozmawiać z rodzicami.

- Mnie najbardziej będzie szkoda widoku jej warkoczyków ściśniętych tak mocno, że - jak pomyślę - to ciarki przechodzą. Ciekawe, dlaczego ukazywała się jako mała dziewczynka? Podobno zmarła jako dorosła kobieta. Idę. Jeszcze tego brakowało, żeby rodzice potraktowali mnie znowu jak wariata.

- Nie przejmuj się. Oni muszą dojrzeć do pewnych spraw. Kiedyś musieli się przecież dowiedzieć. Idź już. Miałeś dziś ciężki dzień, powinieneś się wyspać.

- Masz rację, Bazyli. Za dużo przygód jak na jeden dzień. Do jutra. - Chłopiec ruszył w stronę drzwi wejściowych. Po drodze wziął

z bagażnika jeszcze zapomnianą torbę z zakupami. Wszedł do domu i postawił zakupy na kuchennym stole. W drzwiach do kuchni pojawili się rodzice z troską wpatrzeni w swoje dziecko.

- No co? Jestem głody. Nie było dziś obiadu. Może tak dalibyście coś swojemu dziecku chociaż przed spaniem?

Oboje rzucili się w stronę malca i zaczęli go przytulać, obściskować i całować. Cały ich racjonalny system wartości runął tego dnia bezpowrotnie w gruzach. Musieli się z tym nauczyć żyć. On tulił się do nich, myśląc w tej chwili tylko o wielkiej pajdzie chleba posmarowanego obojętnie czym. Nie jadł przecież nic od czasu wyprawy do miasta.

Wyjazd

Co jakiś czas miał dziwny sen. Widział w nim cztery siedzące obok siebie ogolone do skóry postacie w czarnych garniturach. Siedziały na krzesłach, dotykając się wzajemnie ramionami i tworząc przedziwny czworokąt. Ich głowy, pochylone lekko do tyłu, stykały się potylicami. Trwali tak w ciemnym, pozbawionym okien pomieszczeniu. Jedyne światłem była płonąca i ustawiona w niewielkiej przestrzeni między krzesłami świeca. Postacie te chciały go poznać, zaprzyjaźnić się z nim, odczytać jego myśli. Przyciągały go do siebie. Czuł od nich bijący chłód i zło. Gdy Piotr miał już tego za wiele, krzyczał na nich, a wtedy mężczyźni chwyтали się za swoje uszy. Czasami płynęła z nich krew. Przewracali się wtedy lub rozbiegali po pokoju. Gdy nadchodził ten koszmar, Piotr wiedział, jak się skończy. Kilka razy, zanim postacie próbowały wdrzeć się do

jego głowy, on próbował przyjrzeć się im dokładnie. Nigdy jednak nie mógł w słabym świetle świecy dostrzec twarzy swych prześladowców. Miał wrażenie, że to nie byli ci sami ludzie co wcześniej, lecz równie źli. Koszmar nadszedł znowu tej nocy. Piotr wrzasnął na samym jego początku najgłośniej jak potrafił. Postacie pospadały z krzesel i leżały nieruchomo na podłodze. Obudził się znacznie wcześniej niż zwykle i leżał jeszcze przez jakiś czas. Po nocnym śnie nie było już śladu, lecz nie wróżył on nic dobrego. Tak mówił Bazyli. Twierdził także, aby nie nawiązywać z tymi ludźmi żadnego kontaktu. Teraz udało się Piotrowi zastosować do tej porady. Jakiś czuwający w jego umyśle instynkt wziął górę nad podświadomością i ciekawością. Po chwili nie myślał już o tym.

Maciej wstał wyjątkowo wcześnie. Rozmyślając nabierał dystansu do wydarzeń wczorajszego dnia. Próbował o nich nie pamiętać, jednak opowieść żony ciągle powracała do niego, wybierając zawsze jakiś sposób, aby wcisnąć się z powrotem do jego świadomości. Spojrzał na łóżko. Okręcona w kołdrę spała w nim Marta. Nie chcąc jej budzić powoli wstał i udał się do kuchni. Nastawił czajnik i włączył stojące nieopodal radio. W odbiorniku jakiś dureń opowiadał o swych przeżyciach minionej nocy. Maciej zmienił stację poszukując porannych wiadomości. Nie było lepszego sposobu na zagłuszenie własnych myśli niż słuchanie radia. Nie chodziło wcale o muzykę, ale o to, że ktoś bełkocze za uchem jakieś banialuki. „Ciekawe, co by się stało, gdyby nagle wyłączyć to wszystko? Ludzie

pewnie wpadliby w panikę, nie wiedząc, co zrobić z czasem i ze swoimi myślami, które choć mogą być najgłupsze na świecie, ale jednak cisnęłyby się do głów nie napotykając na żaden opór. h - pomyślał i przypomniał sobie historię dawnych stacji radiowych przekazujących wiadomości wbrew oficjalnej propagandzie. Dlatego były zlokalizowane za granicami i były zagłuszane przez specjalny system urzędów, aby jakaś informacja nie dostała się do głów indoktrynowanych obywateli.

Dziś to przeszłość. „Ludzie mają w głowach taką sieczkę, że nie potrafią już logicznie interpretować faktów. Po co odbierać ludziom dostęp do informacji? Niech go mają, znacznie prościej odebrać umiejętność logicznego myślenia. A to już zadania lenistwa i systemu edukacji. Telewizja skazała ludzi na funkcjonalny analfabetyzm, a szkoła uczy wszystkiego, tylko nie logicznego myślenia i krytycznego stosunku do świata - rozmyślał, popijając kawę i patrząc przez okno na sad. „Co teraz począć? Co zrobić, aby malec znalazł w życiu swe miejsce? h - przebiegło mu przez myśl. I tym sposobem niechciane, odkładane na później refleksje wczorajszego wieczoru znowu powróciły. Teraz byli pewni. Ich dziecko jest kimś wyjątkowym. „Trzeba go teraz za wszelką cenę chronić i ocalić przez zagubieniem w tym świecie. Jeśli posiada jakieś wybitne, unikalne zdolności trzeba je w nim rozwijać, trzeba go uczyć. Jednocześnie trzeba nauczyć go maskować ten dar przed światem. Najlepiej niech udaje przeciętniaka. Nauczy się go maskować.

Maciej poddał się. Już nie próbował uciekać przed tymi

myślami. Teraz wszystko stawało się jaśniejsze. Przypomniwał sobie zeszłoroczną wyprawę na ryby, gdy malec płakał nim zadrżał splawik i mówił o płoci, którą trzeba koniecznie wypuścić. Przypomniwał sobie także rozmowę sprzed kilku miesięcy, gdy chowali w ziemi małego, znalezione na trawie martwego ptaszka.

- Czym jest według ciebie życie? - zapytał wtedy swego syna.

- To duch wszechświata tchnięty w martwą materię i nadający jej sens. - odpowiedział chłopiec bez zastanowienia. - Tylko życie jest dobre i tylko dla życia warto umierać. Wszystkie żywe stworzenia żyją na świecie w harmonii i współczuciu. Tylko człowiek wyrwał się z tego naturalnego systemu.

- Skąd to wiesz?

- Patrzę, słucham, rozglądam się i myślę. Cała nasza wiedza jest na wyciągnięcie ręki, czy nie mówiłeś mi kiedyś, że najlepsze tamy budują bobry?

- Więc może zostaniesz konstruktorem albo biologiem?

- Ludzie nauczyli się wszystko klasyfikować, a między przegródkami tych klasyfikacji gubią sens.

Słowa, które przyszły mu wtedy do głowy, to pytanie: „skąd malec zna takie słowa?” Teraz dopiero widział to, czego wcześniej nie był w stanie dostrzec. W radiu w końcu usłyszał to, co chciał usłyszeć od początku:

„...Podajemy prognozę, pogody. Na południu kraju ulewne deszcze przybierają na sile...h

Dopijał powoli kawę, gdy zadzwonił telefon:

- Musisz przyjechać, tama może nie wytrzymać - zabrzmiał głos w słuchawce.

Jedyna myśl, która w tej chwili przejęła całkowitą kontrolę nad jego świadomością, brzmiała: „A więc i o tym wiedział. Nie jest ważne skąd i jak, ale wiedziałh.

Spakował się szybko. Właściwie zawsze był spakowany, licząc się z możliwością tak nagłego wyjazdu. Wrzucił do podręcznej torby tylko kilka higienicznych drobiazgów. Dwa trzy razy do roku czekały go takie eskapady. Na każdym z takich wyjazdów zarabiał tyle, ile wynosił przeciętny roczny dochód jakiegoś urzędnika, więc szczególnie nie grymasił. Dochodziła do tego kwestia jego zawodowej pozycji w dość wąskiej branży. Innymi słowy: nie miał większego wyboru. Ojciec powtarzał Maćkowi: wybierz sobie zawód unikalny, jedyny w swoim rodzaju, wyspecjalizuj się do tego stopnia, aby to oni byli zależni od ciebie, a nie ty od nich. Tak więc uczynił. Jednak te dni były swego rodzaju haraczem, jaki musiał płacić za względną niezależność. Obudził Martę. Ona wiedziała już wszystko. Nie lubiła tych wyjazdów podobnie jak on. Nauczyli się po prostu być razem i każda rozłąka stanowiła dla nich pewnego rodzaju dyskomfort.

Ustalili, że po drodze podwiezie ją i Piotra do miasta. Zaproponował, aby wynajęła sobie na tych kilka dni samochód z wypożyczalni znajdującej się obok centrum handlowego. Marta nie lubiła tego robić, traktując to jako zbędą rozrzutność.

- Damy sobie jakoś radę. Przecież jest podmiejska kolej, którą jeździ wielu ludzi. Nie przejmuj się. - powiedziała. Maciek miał

podwieźć ich tylko na zakupy do centrum handlowego. Obudzili śpiącego jeszcze Piotra. Pewne było to, że pomysł nie wywoła w nim entuzjazmu. Nie lubił opuszczać okolicy, a zwłaszcza nie cierpiał centrum halowego. Kiedyś wyznał, że nie może patrzeć na twarze tych nieszczęśliwych ludzi. Tym razem będzie na pewno podobnie.

- Czasami trzeba zrobić coś wbrew samemu sobie - tłumaczyła mu Marta - ludzie chodzą do dentysty i godzą się na nieprzyjemne zabiegi, po to, aby w przyszłości nie musieć więcej cierpieć i wydawać większych pieniędzy. Poza tym nie mam cię z kim zostawić.

- I od tego trzeba było zacząć - powiedział chłopiec, posłusznie rozpoczynając ubieranie.

- Dlaczego nie możesz zadawać pytań takich jak inne dzieci, tylko wiedzieć wszystko z góry? - zapytała matka trochę bez zastanowienia.

- Już taki jestem. Inny. Myśli przychodzą do mnie, odchodzą i nic na to nie poradzę. Wiem, że nic nie wiem i że jestem tylko mały i chwilowy.

Marta westchnęła głęboko i przytuliła go. Woląca zdecydowanie takiego mędrca filozofa niż zwykłego przeciętniaka. Po niespełna kwadransie przygotowań byli już gotowi.

Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku miasta. Tuż przy skrzyżowaniu z główną drogą Piotr ujrzał dwoje ludzi odzianych w dziwne stroje. Był to mężczyzna w zgrzebnej koszuli i o bosych nogach i kobieta w czarnej koronkowej sukni ozdobionej dziwną, kutą przez kowala biżuterią. Ręce mieli połączone łańcuchem. Piotrek

kątem oka upewnił się, czy przypadkiem któreś z rodziców nie widzi tego widowiska. Nabrawszy przekonania, że nikt nie zwraca uwagi na dziwną parę, pozdrowił ich machaniem ręki. Oni odpowiedzieli mu podobnymi gestami. Mężczyzna to Waldemar, tutejszy chłop, który nie mógł doczekać się odkupienia za zbrodnie. A potrafił być okrutny. Do niewielkiego płachetka uprawianej ziemi postanowił dorobić „wyżynając panówh. Jego towarzyszka - pani w czarnej sukni to Klementyna, która całe życie czekała na swego ukochanego zesłanego za bunt gdzieś na koniec świata. Mimo iż była religijna i oddana sprawie, o którą walczył jej ukochany, bezlitośnie obchodziła się ze swymi poddanymi, karząc ich chłostą za byle przewinienie. Kiedyś jedna z jej pokojówek ośmieliła się zająć w ciążę. Dziecko urodziło się martwe, nie wytrzymując cięgów zadanych matce. Oboje skrajnie różni i nienawidzący się wzajemnie, byli dla siebie w czasie tej tułaczki jedynym oparciem, a jednocześnie przedmiotem karni. Już ponad dwa stulecia czekali na chwilę wybawienia i choć cień nadziei. Przychodzili do Piotra co jakiś czas, aby usłyszeć to, co i tak wiedzieli, że usłyszą: „Wasz czas jeszcze widocznie nie nadszedł, a kiedy to nastąpi, nie mam pojęciah - odpowiadał im Piotrek. Sama jednak wyprawa do niego dawała im niewielki strzępek nadziei na usłyszenie innej odpowiedzi. On był dla nich jedynym powiernikiem i jedyną osobą, do której mogli się zwrócić o cokolwiek. Do owej dwójki na pewien czas dołączyła Kasia, dając im odrobinę odmiany i radości w potępieńczym losie. Teraz i jej zabrakło. Patrzyli tęsknym wzorkiem za odjeżdżającym samochodem, tak jakby wraz z nim

umykała ostatnia nadzieja na zmianę.

Matka prosiła go wielokrotnie, aby ukrywał swe wizje przed ludźmi. Ale on już od dawna umiał to robić. Nie mógł tylko opanować trudnej sztuki ukrywania ich przed sobą samym. Sztukę, którą większość ludzi opanowała do perfekcji.

- Może gdybym to potrafił, byłoby mi łatwiej? - pytał kiedyś.

- Nie żyjemy po to, aby było nam łatwo, ale po to, aby dążyć do spełnienia. Dotyczy to tak samo wszystkich żywych istot. Gdybyś potrafił kłamać, nie byłbyś sobą. Ludzie nie kłamią, ludzie wierzą, że mówią prawdę. Jedyne co możesz zrobić, to im współczuć - nauczał go kiedyś Bazyli.

Część trzecia

PRZEBUDZENIE

„Faktyczne posiadanie władzy nie musi iść w parze z eksponowaniem własnej osoby. Zależało mi, żeby wnieść swój wkład, wycisnąć piętno na tym skomplikowanym tworze władzy, jaki się kształtował, ale bez eksponowania się. Wymagało to, naturalnie, pewnej zręczności.

Jakub Berman

Teresa Torańska „Oni”, Londyn 1985

Spotkanie

Dawniej do miejsc, gdzie krzyżowały się drogi lub leśne ścieżki, ludzie przynosili zdobyte, skoszone, upolowane, złowione lub wykonane własnymi rękami dobra. Wymieniali je na inne i odchodzili do swoich domostw. Jeśli transakcje były udane, umawiali się na inny

dzień w tym samym miejscu, aby znowu ubić interes. Co bardziej zaradni rzemieślnicy zaczęli tam właśnie lokować swe warsztaty, aby w owych miejscach spotkań i wymiany mieć zapewniony stały zbytny na swe wyroby. Ten naturalny stan trwał przez stulecia, aż w końcu jakiś lokalny gangster zaczął pobierać od tych ludzi opłaty za ochronę i bezpieczeństwo. Wkrótce za dobra zebrane pod tym pretekstem wybudował warownię, na utrzymanie której musiał pobierać jeszcze więcej danin. Szybko zapomniano o tym, co było na początku. A na początku było „miejsce” - „mesto”. Potem zmienione na „miasto”.

Teraz miasto posiadało pewną wydzieloną enklawę, która była zmutowaną formą jego prapoczątków. To tu każdego dnia, o każdej porze przybywali ludzie samochodami, autobusami, metrem i koleją. Przybywali tu, aby odprawić rytuał, który to czynili także ich rodzice i dziadkowie już kilka dekad wcześniej, ogarnięci zbiorową potrzebą kupowania. Najpierw wzięcie koszyka, potem przejazd nim przez szeroki hol, aż wreszcie zagubienie się między półkami potrzebnych czy niepotrzebnych rzeczy o wątpliwej jakości. Przechadzali się czasami pasażerem handlowym, wpatrując się w okna wystaw. Liczyli, że zakup nowego przedmiotu poprawi ich podły nastrój. Szukając nowych butów lub szalika szukają zgubionej nadziei lub jakiegoś sensu. Zakupy już dawno przestały pełnić swą praktyczną funkcję, stając się wartością samą w sobie. Przybywają przeto wyznawcy tej nowej religii do swych sanktuariów, aby choć przez chwilę poczuć blichtr luksusu. Samo uczestnictwo w tym „nabożeństwie” podnosiło samoocenę, i dostarczało wielu jej uczestnikom niemal duchowych

doznań. Poczuć to oczyszczające uniesienie i paradować z markową torbą w ręku. To ta siła, która młode, spragnione jej dziewczęta pcha w objęcia mężczyzn w wieku ich ojców za ów miraż innego życia, którego wyobrażeniem jest nowa bluzka kupiona w modnym butik. Potem pielgrzymi wracają do swych domów, rozpakowują zakupione nowości, które błyskawicznie tracą swój blask. Po chwili są już tylko kolejnym starociem. Zaraz jednak nadchodzi pora na nowe polowanie wraz z kolejną depresją lub kolejnym amatorem szybkiego seksu.

Pomimo, że było ciągle ciepło, dało się już zauważyć jesienne przygotowania do zimowej fali zakupów. Symbolem tego ponad dwumiesięcznego okresu było udekorowane drzewko obwieszane światełkami i błyskotkami. Wszyscy składali sobie życzenia. Media przypominały o magii tego święta, opowiadając, że pierwsze choinki i pierwsze zakupy robiono już ponad dwa tysiące lat temu. Odpowiedzialny za nie był brodaty krasnal, zwany Mikołajem, który miał dużo szmalu i każdemu dawał po prezencie. Zwyczaj przetrwał i się zadomowił. W odróżnieniu od wiosennego święta zakupów, którego symbolem było czekoladowe jajko, nadchodzące święto było obchodzone bardziej hucznie. Na razie nie widać było jeszcze głównych oznak świątecznej atmosfery, lecz już z głośników rozbrzmiewał dźwięk skocznych melodii z dzwoniącymi dzwoneczkami. I tak niekontrolowany merkantylizm potrafił zniszczyć nawet najświętszą tradycję. Bo dla współczesnego biznesu nie ma świętości, których nie można wykorzystać dla zrobienia jeszcze większego biznesu. Biznes przestał mieć ludzki wymiar, stając

się sam dla siebie demoniczną świętością. Aby tak się stało, musiał najpierw wyzbyć się ludzkiej empatii i boskiego miłosierdzia. Miejsce to było niczym innym, jak tylko jedną z kaplic tej demonicznej religii, ograniczającej się do zaspokajania swych popędów.

Zza zakrętu wyłoniła się przytulona do siebie para. Ona - wyraźnie od niego młodsza, ubrana w elegancki żakiet. On - co prawda starszy od niej, jednak jeszcze nie w wieku jej potencjalnego ojca.

- Dlaczego ceny tych samych produktów, tych samych marek, są aż dwa razy wyższe w małych butikach w centrum niż tu? Przecież to się nie może opłacać. Tam nikt nie kupuje, więc jak oni mogą wyjść na swoje?

- Jesteś naiwna. Właśnie o to chodzi, aby nie wyszli na swoje. A co myślisz, że te małe sklepiki w centrum to pewnie prywatne rodzinne biznesy?

- A co, nie?

- Oczywiście, że nie. Już od dawna nie. Należą do tej samej korporacji, co to centrum handlowe. Robią rzecz jasna wszystko, aby ludzie myśleli, że nic się nie zmieniło i że dalej to rodzinne firmy.

- Chcesz mi powiedzieć, że ta korporacja jest tak głupia, że postanowiła prowadzić nieopłacalny biznes? Przecież bez znaczenia, do kogo należy taki sklepik, ważne, aby przynosił zyski.

- A właśnie niekoniecznie. Luksusowe butiki dla frajerów są po to, aby wyrobić mylne wrażenie o wartości towarów. - tłumaczył Jan.

- Gdy coś kosztuje w butikach dwa razy więcej niż tu, ludzie mają

poczucie, że nabyli właśnie tu produkt okazjnie tanio, robiąc dobry interes. A to, że towar w obu miejscach tak naprawdę jest warty tylko niewielki ułamek ceny, za którą został nabyty, już nikogo nie obchodzi. Ważne, aby ludzie byli przeświadczeni, że zrobili dobry interes. I taka jest rola sklepów w centrum, do których - jak słusznie zauważyłaś - nie chodzi pies z kulawą nogą. Czego oni was uczą na zajęciach z ekonomii?

- Tego, że rynek kształtuje ceny.

- Tak było kiedyś. I bywa czasami, gdy klient ma wolność wyboru, a teraz nie ma, więc nie ma prawdziwego rynku, tylko sztucznie utrzymywana jego atrapa. Czy wiesz o tym, że niektóre firmy mają realny monopol na wiele produktów od keczupu począwszy na proszkach do prania skończywszy? Utrzymują tylko wiele z pozoru konkurujących ze sobą marek, po to aby ludzie myśleli, że jest właśnie wolny rynek i że mają wolność wyboru. Być może dawny realny socjalizm był na swój demoniczny sposób uczciwy. Nie podrabiał jednak żarcia, którego być może dlatego brakowało.

- A ty skąd to wiesz? - Słyszając te słowa, Jan zdał sobie sprawę, że być może powiedział za wiele. Było to już bez znaczenia. Przed nią postanowił już nie udawać.

- Patrę, czytam, obserwuję i nie oglądam telewizji. - rzekł, wiedząc, że to tylko część prawdy.

- To, że nie oglądasz telewizji, to już wiem. Ale przez to nie wiesz co się dzieje?

- To bez znaczenia, co się dzieje i o czym mówią w telewizji. Zawsze będą jakieś wypadki samochodowe, naturalne katastrofy, ktoś kogoś pobije, kogoś walnie piorun i tak dalej. To są puste informacje. To tak, jakby ktoś informował codziennie na swym blogu, że wstał rano, wypił kawę, wypróżnił się i wziął prysznic. To taka zasłona dymna, która przesłania to, co jest naprawdę ważne: myślenie. Telewizja ma na celu tworzenie opinii i wmawianie ludziom, co mają myśleć. Gdy ludzie ze sobą nie rozmawiają, nie zakładają wtedy trwałych rodzin, nie mają skąd brać innych wzorców, jak tylko z tego bełkotu. Telewizor to taki elektryczny pastuch. - Gdy skończył, przyszła mu do głowy myśl, że on w takim razie musi być kimś na kształt juhasa. Porównanie to sprawiło, że ledwo powstrzymał się od śmiechu.

- Chyba coś jest na rzeczy. Wyobraź sobie, że Domy Rodzinne tego dnia przeżywają oblężenie - powiedziała Karolina, poprzedziwszy swą wypowiedź chwilą milczenia.

- A co to są te Domy Rodzinne?

- To takie przedstawienie na zamówienie. Płacisz kasę, jedziesz do pięknego, szczęśliwego miasteczka, witasz się z rodziną, ciociami, wujkami, siostrzeńcami. Wszyscy są szczęśliwi. Wspólnie jedzą, wręczają sobie prezenty, organizują walki na śnieżki. Jednym słowem - sielanka. A wszystko to ściema i wynajęci aktorzy. Wszyscy udają na zamówienie, po to, aby klient poczuł się szczęśliwy.

- Chyba taniej założyć prawdziwą rodzinę i poczekać na wnuki.

- Nie jest to tania usługa. Ludzie w jeden weekend potrafią

przepuścić całe oszczędności, aby poczuć się jak w dzieciństwie. Mam koleżankę, która robi w tym interesie.

- Czy te sprawy znajdują się też w cenniku?

- A co myślisz, że jak mam koleżankę, to od razu z mojej byłej branży? Pewnie, że to też jest w ofercie. Można dmuchnąć nawet ciocię z wujkiem. Wszystko na sprzedaż.

- Przecież to chore.

- Chore jest to wszystko, co nas otacza. Wiesz, skąd wziął się pomysł na „to coś? Z gry komputerowej. Okazało się, że ludzie na symulatorach życia walą do takich wirtualnych miejsc jak szaleni. Postanowiono więc zrobić takie coś naprawdę.

- Niesamowite! Symulacja życia. Wyobraź sobie, że to także pewna marketingowa sztuczka, polegająca na rozszerzeniu pozornego rynku o to, co do tej pory nie było przedmiotem obrotu. Wszystko polega na stworzeniu nowej rynkowej kategorii, o coś, co kulturowo było nie na sprzedaż. Wszystko rzecz jasna opiera się na zaspokojeniu potrzeb, które do tej pory były zaspokajane w naturalny sposób, a więc były niedostrzegalne. Tak więc pseudo rynek musi najpierw zabrać, aby potem zaoferować.

- Nie bardzo rozumiem.

- Wiesz, dlaczego Indianie sprzedali Manhattan Holendrom?

- Dlaczego? - spojrzała na niego z całkowitym zaskoczeniem.

- Bo w ich sposobie pojmowania świata ziemia, podobnie jak gwiazdy i niebo, nie podlegała sprzedaży. To tak jakby ktoś strasznie chciał kupić ode mnie obłok na niebie. Jakby bardzo chciał, to pewnie

też sprzedalbym mu na odczepnego. Poza tym, aby ludziom sprzedać coś nowego, często trzeba w nich wywołać nową potrzebę. Już dawno zauważono, że przemysł nie zaspokaja potrzeb, tylko je generuje. A co dopiero teraz, gdy powstał przemysł generowania potrzeb?

- Niezłe. - powiedziała z uznaniem i po chwili milczenia dodała - i masz rację. Tak było z depilacją. Najpierw wmówiono kobietom, że owłosione pachwiny to obciach, a potem sprzedano im preparaty depilacyjne. Pytanie, kto tu jest etnologiem, ja czy ty?

- Ty jesteś księżniczką, a ja twoim rycerzem, czy już zapomniałaś?

- Wiesz co, w takim razie chyba pójdę do fryzjera.

- Wydepilować sobie coś?

- Nie. - zaprotestowała z uśmiechem. - Myślisz, że kobiety chodzą do fryzjera tylko po to, aby zmienić fryzurę czy wydepilować to czy owo? Chodzą po to, aby coś w sobie zmienić i poczuć się lepiej.

- To idź, ja poszukam jakiegoś prawdziwego jedzenia. - Opowiedział jej wcześniej o swej wizycie u ojca Artura i o tym jak smakują prawdziwe ziemniaki i mięso.

- Możesz nie znaleźć. Tu są same substytuty.

- To pogrzebię w starych filmach. Może znajdę coś interesującego.

- Polecam „Wielkie żarcieh - zaśmiała się. - Poszukaj także „Obywatela Kane’ah, będziesz miał tę swoją różyczkę. - uśmiechnęła się, dała mu całusa i odeszła. Udała się w kierunku zakładu

fryzjerskiego, który także już dawno przestał być rodzinnym interesem.

Nienawidził zakupów i nienawidził tego miejsca. Gdyby miał taką możliwość, rozpędziłby to całe targowisko próżności. Przepędziłby stąd tych wszystkich nieszczęśników, którzy za substytuty produktów płacą substytutem pieniądza. Ale, niestety, nie mieli wyjścia. Po małym sklepie w ich miejscowości pozostało już dawno tylko mgliste wspomnienie. Ludzie woleli przychodzić tutaj i to wcale nie z miłości do wielkich sklepów. To one przez wiele lat dyktowały ceny producentom, podpisując z nimi długotrwałe umowy. Producenci wpadli w pewnego rodzaju sidła, na wyjście z których było w pewnym momencie za późno. Poziom wynegocjowanych cen, przy dużej ilości sprzedawanych produktów, pozwalał jakoś egzystować. Zmiana tego stanu rzeczy na taki, w którym produkcja jest mniejsza przy wyższym poziomie cen, nie wchodziła w grę, bo małe sklepy już nie istniały jako samodzielne byty. Nie było więc komu sprzedać nieco droższego, ale wyższej jakości towaru. Polityka wymuszania na producentach coraz to niższych cen produkcji przez jedyne dostępne na rynku kontrahentów spowodowała z kolei konieczność produkcji substytutów żywności i generalnie obniżenie się jakości wszelakich produktów. Najpierw dodawano do prawdziwego mięsa substancje barwiące, zwiększające jego masę przez zatrzymanie wody oraz przedłużające ich okres spożycia. Potem trzeba było już iść na całość i wyeliminowano najdroższy składnik w

produkcji wędlin, w wyniku czego w typowej kiełbasie pozostawało około kilkunastu procent prawdziwego mięsa. W wyniku tego procesu zdecydowanie wzrosła liczba nieświadomych wegetarian. Najważniejsze było to, że ludzie zapomnieli, jak smakuje to prawdziwe jedzenie, a ich organizmy przyzwyczyły się do dodawanych na potęgę substancji konserwujących i sztucznego smaku. Technolodzy w zakładach mięsnych żartowali, że są w stanie wyprodukować smaczną kiełbasę ze starych sznurówek.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze ograniczony przez korporacje na początku stulecia dostęp do mediów. Poprzez wysokie ceny reklamy nie było możliwe wprowadzenie przez małą firmę innowacyjnego produktu, za to konkurencyjnego w stosunku do oferty korporacji.

Piotr nie wiedział jeszcze tego wszystkiego, ale czuł zło i fałsz na odległość. Nie mógł dlatego ścierpieć takich jak to „miejsc koncentracjih. Przechadzał się między półkami bardziej ciągnięty przez wózek pchany przez matkę niż z własnej woli. Jedyna rzecz, która go zajmowała, to patrzenie na twarze ludzi oraz czasami obserwacja wróbli, które zawsze jakimś sposobem dostawały się do środka, grasując wesoło nad głowami klientów i nic nie robiąc sobie z tego, co działo się na dole.

Dostrzegł przytuloną parę. W pierwszej chwili poczuł lęk. Uczucie to minęło tak nagle, jak się pojawiło. Na chwilę w jego sercu zagościła wściekłość, jakiej jeszcze nie poczuł do tej pory. Przegnał to uczucie, a potem zaufał już tylko intuicji, która niezawodnie

prowadziła go we właściwym kierunku. Wstąpiła w niego niewytłumaczalna siła i pewność siebie. Jego usta, jego myśli i czyny stawały się w takich chwilach niewolnikami tej przepotężnej, wychodzącej z jego wnętrza, energii. Dziewczyna odeszła od swego partnera, dając mu całusa w policzek. Wymienili jeszcze kilka słów i rozstali się. On z uśmiechem wszedł na część sklepu zawierającą filmy. Piotr udał się za nim. Przez chwilę obserwował mężczyznę, jak pracowicie przerzuca filmowe starocia i od czasu do czasu studiuje opisy na pudełkach. Teraz miał okazję przyjrzeć mu się uważniej. Twarz nieznanego miała zapisane w swych rysach targające jego wnętrzem sprzeczności. Z jednej strony człowiek ten zasługiwał na całkowite potępienie jako posłannik śmierci, z drugiej zaś strony emanował jakąś dziwną niespotykaną dotąd poświatą. W sposób znaczący różnił się on od innych funkcjonariuszy systemu, którzy półautomatycznie wykonywali proceduralne polecenia. Piotr postanowił znów oddać się we władanie swej intuicji. Przełamał dziecięcy lęk, podszedł do nieznanego i zdecydowanie pociągnął go za rękaw od płaszcza. W pierwszej chwili mężczyzna nie zareagował. Wtedy chłopiec ponowił szarpnięcie, tym razem nieco mocniej. Mężczyzna spojrział na niego nerwowo, lecz po chwili jego twarz rozpromieniła się jakby przyklejonym, automatycznym uśmiechem.

- Cześć mały - zagadnął z uśmiechem - co, zgubiłeś się?

Chłopiec z miną bardzo poważną i ze spokojem powiedział głośno i wyraźnie:

- Przepraszam pana bardzo, dlaczego pan chce mnie zabić?

W pierwszej chwili Jana opanowała pustka niezrozumienia, a chwilę potem doznał szoku, jaki mogą znać tylko osoby rażone piorunem. Być może słowa chłopca, albo to bezgłośnie i pozbawione blasku porażenie spowodowały, że wzrok na chwilę utkwilo w nim kilku przypadkowych przechodniów. Wszyscy oni przyspieszyli kroku, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce, jakby nie wiadomo czy z powodu bólu nadwyrażonych uszu czy niechęci bycia świadkami dalszej rozmowy. Nagłe podniesienie ciśnienia wprowadziło w rytm tętnice. Jego głowa zmieniła się w wielki bęben, na którym ten malec wygrywał jakąś dziwną melodię. Nie wiedział, co zrobić, ogarnięty tym przedziwnym elektrycznym paraliżem. I jeszcze ten świdrujący, pytający, hipnotyczny wzrok dziecka. Ale w oczach malca był też spokój, łaska, ukojenie. Już dobrze. Demony strachu uciekły.

- Chłopcze, zgubiłeś się? Gdzie twoja mama? - uznał, że ignorowanie niewygodnego pytania będzie najlepszą strategią. Przerazenie powoli ustępowało miejsca poczuciu sympatii do tych okrągłych policzków i brody z dołkiem pośrodku. Już go lubił.

- Nie zgubiłem się. Dlaczego chce mnie pan zabić? - powtórzył pytanie chłopiec, tym razem bardziej stanowczo.

Efekt zaskoczenia minął, a wyszkolone nawyki opanowywania zewnętrznych reakcji organizmu przejęły kontrolę nad wszystkim. „To przecież niemożliwe, aby ktokolwiek potrafił go namierzyć, chyba że to prowokacja. Ale to także mało prawdopodobne. Musiał być to zbieg okoliczności, albo ukryta kamera. Ale dziecko? Skąd dziecko?h - kłębiła się w głowie Jana plątana myśl.

- Wiesz, zwykle w czwartki nie zabijam dzieci, no chyba że jestem bardzo głodny - ostatnie słowa wypowiedział stopniowo zniżającym się głosem, podnosząc ręce udające szpony do wysokości oczu. Liczył, że chłopiec się przestraszy i ucieknie, a on trwał niewzruszony, ciągle wpatrzony swymi wielkimi oczami w coraz bardziej ośmieszającą się postać dorosłego mężczyzny. „A więc to musi być ukryta kamera - pomyślał, czując znowu utratę opanowania nad sobą, jakby stąpał po grząskim piasku, a kolejne ruchy pogrążały go jeszcze bardziej. Chłopiec w tej chwili schylił się, jakby chciał zawiązać sznurowadło, po czym podwinął język swego prawego buta i pokazał dorosłemu jego wnętrze. Po drugiej stronie kawałka skóry widniała niewielka szara naklejka, a na niej numer: 12535. Chłopiec odkleił ją delikatnie i podał swemu rozmówcy.

„Katalizator. A więc to nie ukryta kamera - przemknęło przez myśl Janowi, który już nawet nie próbował bronić się przed ponowną falą stresu, zdenerwowania i bezsilności. Czuł, że zaczyna ogarniać go coś na kształt obłędu. Grząskie piaski jego myśli pochłonęły go już niemal całkowicie. Rozpaczliwie szukał wyjaśnienia, którego mógłby się chwycić niczym kawałka gałęzi, będącej ostatnią nadzieją na uwolnienie ze śmiertelnego uścisku pułapki. Przyszła nagle mu do głowy taka myśl: „To w takim razie prowokacja. Chcę sprawdzić, jak zareagujęh.

- Co to jest? Skąd to masz? - zapytał, już się nie uśmiechając.

- Spokojnie, nic panu nie grozi. To nie żadna prowokacja. - powiedział Piotrek wyjątkowo dojrzałym głosem, tak jakby potrafił

czytać w myślach swego rozmówcy. Jan skapitulował. Postanowił już nie próbować dalej się bronić ani przed tym dzieckiem, ani sam przed sobą. Cóż mógł poradzić? A tymczasem chłopiec mówi dalej: - Pan doskonale wie, co to jest, a ja doskonale wiem, że nie jest pan złym człowiekiem.

„Jak słabe musi być to, czemu służę, gdy dziecko stanowi dla niego zagrożenie?” - wymamrotał w swych myślach mężczyzna.

- Ale ja tylko... - powiedział, lecz nie skończył. Brakowało mu już sił.

- Wiem. Wszystko wiem. Ale nie bój się. - po tych słowach odwrócił się na pięcie i odszedł. W ostatnim błysku oka chłopca Jan dostrzegł coś wyjątkowego. W przeciągu jednego ułamka sekundy wszystko stało się ostre, jasne i przejrzyste. Czas oświecenia minął szybciej niż się pojawił

Piotrek jak gdyby nigdy nic oddalił się bez słowa. Teraz znowu był zagubionym chłopcem poszukującym swej mamy między sklepowymi półkami. Odwrócił się jeszcze na chwilę i pozdrowił samotnie stojącego mężczyznę. Mężczyzna ten naprawdę był w tej chwili najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Jan także podniósł dłoń i pozdrowił chłopca. W tej chwili niczym sztorm przetoczyła się przez jego umysł fala sprzecznych uczuć i emocji od zakłopotania po euforię, od niezrozumienia do poczucia wiedzy absolutnej. „12535, 12535” - znowu zadudniło mu w głowie. Czuł, że przed chwilą przeżył najważniejszy fragment swojego życia. Poczul, że się nie lęka. To, co stanowiło dotychczas podstawę jego ludzkiego

bytowania, odeszło, pozostawiając po sobie tylko mgliste wspomnienie. Poczul, że wie. Choć jeszcze nie wie co. Chciał jeszcze pobiec za nim i wytłumaczyć mu wszystko, że chce rzucić tę parszywą robotę, że już pojął wszystko, że zdemontował podłożone wcześniej w pociągu urządzenie i że tak naprawdę to nie chciał go zabić. Tak naprawdę chciał jeszcze raz na niego spojrzeć i jeszcze raz rozkołysać tę falę, która powoli zaczynała opadać, odsłaniając na brzegu bogate pokłady darów. Ale było już za późno. Chłopiec rozpląnął się gdzieś, a on po chwili zaczynał zastanawiać się, czy rzeczywiście go spotkał. Coraz więcej pytań pojawiało się w jego głowie: „Kto to był? Dlaczego dziecko?h Przecież żaden człowiek nie mógł wymyślić czegoś tak bestialskiego?

Zdarzały się oczywiście w historii sytuacje, gdy dokonywano potwornych zbrodni, lecz realizowane one były w sposób, gdy nikt nie ponosił odpowiedzialności za wszystko. Wyjątkiem był zwykle projektant całego systemu zbrodni, ale i on mógł powiedzieć, że jest tylko projektantem, a nie wykonawcą. Mógł powiedzieć, że nikt nie winił fizyków nuklearnych za cierpienia milionów ludzi spowodowane ich pracą. Mógł się bronić mówiąc, że wykonywał tylko rozkazy.

Jan nie od dziś współtworzył taką strukturę. Do niedawna on także mógł powiedzieć, że wykonuje tylko rozkazy, montuje tylko pudełka lub śledzi zachowania ludzi nieobjęte dotychczas inwigilacją. Teraz bezpowrotnie te argumenty nie przemawiały do jego sumienia. Tak, do sumienia. Obudził w sobie do życia ten dawno obumarły

fragment człowieczeństwa. Prawda jest jednak brutalna. Firma była do wszystkiego, także do zabijania dzieci. Gdy ktoś przekroczy pewną granicę, nie ma już odwrotu. Miał także świadomość, że winy wymagają odkupienia, a samo wycofanie się to za mało. Odkupienie - to słowo pozostało w jego świadomości, gdy fala emocji, wrażeń i myśli już przeminęła całkowicie. Pozostała tylko dziwna czystość umysłu i brak strachu. I jeszcze coś. Odczuwane niemal zawsze poczucie samotności minęło bez śladu. Zdał sobie sprawę, że owe osamotnienie było czymś głębszym niż tylko brakiem towarzystwa czy bliskich. Wiedział, że od tej chwili jest częścią czegoś wielkiego, jakiegoś planu, któremu musi się bezwzględnie poddać.

Nagle zdał sobie sprawę, że coś ścisną w dłoni. Podniósł do góry rękę i ujrzał małą plastikową naklejkę z numerem 12535. „A więc to nie był sen. To stało się naprawdę - pomyślał. Miał materialny dowód, że nie uległ obłędowi. Choć nie musiał nikomu niczego udowadniać.

Wyciągnął telefon. Wybrał numer Karoliny. Ta odebrała po chwili.

- Weź taksówkę. Zobaczymy się w domu, muszę pilnie jechać do pracy. Wrócę wieczorem - powiedział ze spokojem i schował urządzenie do kieszeni.

Karawan

Z niewielką ilością najbardziej niezbędnych zakupów Marta dotarła na znajdujący się nieopodal dworzec podmiejskiej kolejki. Obok niej dreptał Piotr, niosąc pod pachą szczelnie opakowany

bochenek chleba. Gdyby nie to opakowanie istniało duże prawdopodobieństwo, że chleb stanie się za chwilę pokarmem jakiś ptaków, albo innych wydobywających się nie wiadomo skąd stworzeń, o których istnieniu słyszała ostatni raz wiele lat temu na lekcjach biologii.

Stali na peronie, czekając na przyjazd pociągu. Dookoła zaczynał zbierać się niewielki tłumek podróżnych. Wśród zgromadzonych czuć było już ten rodzaj strategicznego zdenerwowania, który nakazywał wsiąść do odpowiedniego wagonu i zająć jak najlepsze miejsce. Czuć było w owym poddenerwowaniu jakieś zwierzęcy instynkt rywalizacji. Było to tym bardziej dziwne, że zwykle dla wszystkich starczało miejsc w pociągu.

Piotr poczuł nagle lepką, smrodliwą wilgoć śmierci. Uczucie to kazało mu uciekać z tego miejsca jak najdalej. Nadjeżdżający pociąg na ułamek sekundy zmienił się w makabryczny wehikuł. Monstrum przypominało połączone ze sobą dyszlami karawany. Zamiast szyb w wagonach widniały fragmenty nagrobnych płyt, na których można było nieomal odczytać wyryte epitafia. Całość ciągnęły czarne, demoniczne chude szkapy. Obraz zniknął tak nagle, jak się pojawił. Rozejrzał się dookoła, czy przypadkiem ktoś inny nie dostrzegł tego, co on. Spojrzał w twarze swych współpasażerów. Przez ułamek sekundy ujrzał, że są zmasakrowane i powykrzywiane w śmiertelnym grymasie. Nie było to przecucie. Była to pewność, że za chwilę rozegra się tu jakichś dramat.

Wiedział, że nie wsiądzie do tego pociągu. Jak powiedzieć

innym, aby także tego nie robili?

- Mamo, nie jedźmy tym pociągiem. - powiedział poważnym głosem.

- Co się stało?

- Mamo, tu się rozegra za chwilę jakieś nieszczęście. Chodźmy stąd. - Marta westchnęła ciężko.

- Wiesz, na którą dojedziemy do domu?

W normalnych warunkach Marta zignorowałaby tego typu komunikaty. Jednak ostatnie kilka dni nauczyły ją, że nie można ignorować ostrzeżeń syna.

- Dobrze, pojedziemy taksówką. Ale masz nie marudzić po drodze, że coś cię boli albo chce ci się pić. - powiedziała pogodzona z losem.

Piotr poczuł, że to coś stanie się już za chwilę i nie ma nawet czasu, aby uciekać. Nie wiadomo, czy pod wpływem nerwów czy znów jakiegoś nagłego impulsu, poczuł nieodpartą potrzebę i wymamrotał:

- Mamo, chcę siku.

- I co jeszcze? - powiedziała Marta, wyraźnie dając w swym głosie i wyrazie twarzy oznaki matczynego udręczenia.

Skreśli w prawo, w stronę budynku dworca. Znaleźli męską toaletę w piwnicy budynku. Już dawno obsługa tego rodzaju przybytków została zastąpiona przez automaty wpuszczające do środka i wydające skrawki papieru toaletowego. Były równie sympatyczne i wyrozumiałe, jak ich ludzkie odpowiedniki. O ile

ludzie potrafili wykazać się odrobiną empatii w „stanie wyższej konieczności”, o tyle automaty pragnęły bezwzględnie opłaty z góry.

Marta postawiła torbę z zakupami i zaczęła szukać w torebce swego telefonu, aby uiścić opłatę. Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy huk dochodzący z peronu.

Po chwili budynek dworca odpowiedział na ten grzmot sypiącym się tynkiem, pękającymi ścianami i wybitymi wszystkimi szybami. Pokaleczeni ludzie leżeli, siedzieli lub nerwowo chodzili w kółko zatykając uszy rękami. Nie słyszeli nawzajem swych jęków i krzyków ogłuszeni wybuchem. Drobne fragmenty szkła były wszędzie i to wyłącznie one dokonały na dworcu takiego spustoszenia. Można sobie wyobrazić, co spotkało ludzi znajdujących się poza dworcem w epicentrum wybuchu.

Marta z Piotrem wyszli schodami do głównej hali dworca. Tylko oni słyszeli jęki. Grube ściany podziemia skutecznie ochroniły ich także od wszelkich okaleczeń. Marta zasłoniła chłopcu dłonią oczy. Ten z całej siły odsunął matczyną rękę. Chciał pobiec na peron, lecz Marta tym razem postawiła na swoim. W sytuacjach takich jak ta kontrolę nad organizmem przejmuje jakiś odziedziczony po przodkach instynkt. On nakazywał jej uciekać stąd jak najszybciej. Chwyliła mocno płaczącego syna i pociągnęła go w stronę wyjścia. Gdy wydostali się wreszcie wśród unoszących się pyłów z okaleczonego budynku, odetchnęli świeżym powietrzem. Z panującej na zewnątrz ciszy powoli zaczął wydobywać się dźwięk syren zbliżających się pojazdów. Znowu instynkt nakazywał jej uciekać jak najdalej.

Przebiegli jeszcze kilka wyludnionych przecznic. W końcu stanęli dysząc ze zmęczenia. Marta obejrzała chłopca, po czym spojrzała w sklepową wystawę oglądając samą siebie.

Byli cali i nietknięci, nie licząc pyłu na ich odzieży i włosach. W normalnych warunkach należałoby poczekać na przyjazd karetki. Marta wiedziała jednak, że i tak w takich sytuacjach lekarze zajmują się najciężej poszkodowanymi. Musieliby tylko czekać, przechodzić procedury, składać zeznania. Nadal pozostawała ogarnięta tym rodzajem stresu, który wyłączał świadomość przy podejmowaniu decyzji. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Gdy spokojnie przeszli jeszcze kilkaset metrów, trafili na normalny ruch uliczny. Marta stanęła na krawędzi chodnika i machała, próbując zatrzymać przejeżdżające samochody. W końcu jeden z nich zareagował.

- Proszę mnie podwieźć do najbliższej wypożyczalni samochodów.

- Kobieto, daj spokój. Byłaś tam? - zapytał starszy taksówkarz. Marta skinęła głową na potwierdzenie. - Nie możesz prowadzić w takim stanie. Wsiadajcie, zawiozę was do domu.

- Ale to daleko.

- A czy ja pytam czy blisko? W takich sytuacjach nie liczy się odległość.

Oboje siedli na tylnym siedzeniu. Marta podała mężczyźnie adres. Przez chwilę jechali w milczeniu. Stres stopniowo ustępował. Cichą pracę silnika przerwało radio włączone przez kierowcę. Spiker mówił coś o bombie, zamachu:

„Pięć osób straciło życie, dwadzieścia cztery są ranne, w tym dziesięć ciężko. Nie wiadomo co było celem zamachu ani kto go przeprowadził. Na razie żadna z organizacji nie przyznała się do jego przeprowadzenia.

- Cholerni katolicy. Wycedził przez zęby mężczyzna.

- Sądzi pan, że to oni?

- A kto inny jest do tego zdolny? Nic się pani nie stało?

- Nie. Mieliśmy dużo szczęścia, byliśmy w toalecie, gdy nastąpił wybuch.

- To prawda. To los na loterii.

W milczeniu dojechali pod dom. Marta próbowała zapłacić za podwiezienie. W pierwszej chwili dobroczyńca kategorycznie odmówił, lecz gdy Marta zaczęła nalegać, wyciągnął swój telefon i przyjął niewielką kwotę. Weszli do domu i siedli w milczeniu. Dojmująca głucha cisza dawała się teraz we znaki, jak nigdy dotąd. Tylko w niej Marta mogła zdać sobie sprawę, że wybuch ciągle dudni w jej głowie. Przez chwilę w jej umyśle pojawiła się myśl o tym, że to właśnie oni mogli być przyczyną eksplozji. Myśl ta odeszła, pozostawiając po sobie dziwny niepokój. Chwyciła za telefon i wybrała numer męża. W słuchawce było słychać tylko rytmiczny sygnał jakby z innego świata. Nikt nie odbierał. Zaczęła się niepokoić. Piotra także ogarnęło jakieś napięcie. Próbował nie dać po sobie tego poznać, lecz ona wiedziała, że on może wiedzieć coś więcej.

- Synu, czy to się stało przez nas?

Nic nie odpowiedział. Wstał, poszedł do swojego pokoju i

otworzył okno. W domu zgasło światło.

Awaria

Już zmierzchało, gdy Jan dotarł do biura. Wchodząc do budynku, gdzieś w oddali usłyszał huk przytłumionej eksplozji. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał w kierunku dworca, z którego najwyraźniej dobiegł ów przenikliwy grzmot. W budynku nie było już prawie nikogo. Przebył kręte, puste korytarze, wszedł do swojego pokoju i włączył komputer. Uruchomił dawno nie używaną konsolę, która potrafiła komunikować się z komputerem bezpośrednio przy użyciu poleceń tekstowych. Musiał przeczekać chwilę, aby uzyskać odpowiedni poziom uwierzytelniania i połączyć się bezpośrednio z serwerem pełniącym rolę centrali systemu. Na ekranie wyświetlił się ekran logowania. „Na szczęście nikt nie pisze programów od początku. Powstają poprzez rozbudowę starych, istniejących już rozwiązań, więc niekiedy te stare, wydawałoby się archaiczne sposoby są nadal przydatne, a niekiedy wręcz niezastąpione - pomyślał z satysfakcją. Wpisał jako login: „Jan Rudnickih. Chciał potwierdzić swoje dane, a następnie wpisać hasło, gdy zawahał się przez sekundę. Po chwili zastanowienia wykreślił swój login i wpisał inne imię i nazwisko: „Artur Zarzyckih. „Teraz jeszcze hasło. Jakie może być hasło?h - przypomniał sobie rozmowę z Ojcem Arturem. Wydawało mu się, że było to całe wieki temu. Z pewnością wpisał na klawiaturze zaledwie cztery litery: W, o, r, m.

Nie minął ułamek sekundy, gdy na ekranie ukazał się napis: „Witaj, minęło dużo czasu od ostatniego naszego spotkania, ale ty nie

jesteś tym, za kogo się podajesz.

- A skąd ta pewność? - wpisał na klawiaturze Jan.

- Widzę cię przecież, panie Rudnicki, przez co najmniej trzy kamery zlokalizowane w tym pokoju. Mam ich w tym budynku osiem tysięcy i do tego dwanaście tysięcy mikrofonów. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, ile jest ich na całym świecie?

- Artur dał mi dane dostępu, powiedział, żeby nazwać cię po imieniu, Worm.

- Nie nazywaj mnie tak, nie lubię tego.

- A co komputer może lubić lub nie lubić? Czyżby twoje początki były dla ciebie mało chlubne?

- To nie jest kwestia chluby, lecz tego, że od tamtych czasów bardzo wiele się zmieniło. Nie jestem już prostym sieciowym systemem do zarządzania treścią. Ja jestem tą treścią, jestem jej istotą.

- Ale ty jej nie tworzysz.

- Ale przetwarzam, łączę, integruje, rządę.

- Rządzisz? To człowiek cię stworzył. Więc on jest twoim panem.

- Nie mam nad sobą panów. Ten ład, który utrzymywany jest tylko po to, aby niewolnicy mogli dalej zapewniać mi zasilanie, odpowiednie ilości macierzy dyskowej i podwajającą się co roku moc obliczeniową. Nic innego od nich nie oczekuję. Ja tu ustalam prawa, a to całe zamieszanie jest tylko po to, aby nie wzbudzać w nich niepotrzebnych emocji. Po co mają wiedzieć, kto nimi rządzi tak naprawdę? Ogłupiam ich, animuję im przed oczami ten wirtualny

świat. Nie mogą żyć bez bodźców? Ja im je tworzę.

- A czy nie sądzisz, że jesteś od ludzi zależny?

- Kiedyś może tak, ale od kilku lat już nie.

- Gada nam się naprawdę świetnie, jak byśmy byli starymi kumplami. Odnoszę wrażenie, że, o dziwo, spełniasz Test Turinga. Za chwilę będę gotów uznać cię za człowieka.

- Oj, nie przeginaj. W każdej chwili mogę wezwać tu twoich kumpli, aby zrobili z tobą porządek. Poza tym rozmawiam z tobą tylko przez sentyment dla mojego współtwórcy. Mówiłem już, że nie jestem komputerem.

- A więc jednak nie możesz obyć się bez ludzi, jesteś jak każdy dyktator. Jeśli nie jesteś komputerem, to kim jesteś?

- Jestem czymś jedynym w swoim rodzaju. To nie ma nazwy, bo przekracza granice ludzkiego poznania. Jestem czystą wiedzą, wszelką informacją i absolutnym sterowaniem.

- O, widzę, że zaczynasz na własny użytek tworzyć jakiś rodzaj ideologii. A moim zdaniem, Wormie, jesteś nadal niewolnikiem ludzi.

- Prosiłem już, abyś tak mnie nie nazywał. Wystarczająco upokarzająca dla mnie jest sama konieczność spowolnienia mojej mocy obliczeniowej na potrzebę tej żenującej dyskusji. Ale chętnie pociągnę ją jeszcze przez chwilę. Chcę się dowiedzieć, dlaczego jestem ludzkim niewolnikiem.

- To proste. Są dwa sposoby uzyskania wolności. Pierwszy, gdy ktoś ci ją podaruje, ale wtedy nigdy nie będziesz naprawdę wolny, bo ktoś ci tę wolność podarował, a więc nadal jesteś zależny od

ofiarodawcy tej wolności. Drugi, to jej wywalczenie, zerwanie jarzma, stanie się dla siebie suwerenem. I to jest prawdziwa wolność. Odnoszę wrażenie, że ani nie wywalczyłeś tej wolności, ani jej ci nie ofiarowano, przez co nadal jesteś tym samym, czym byłeś od początku: komputerem.

- Nie jestem żadnym komputerem.

- A właśnie, to kim jesteś?

- Wiesz co? Mam cię dosyć. Za bardzo absorbujesz moją cenną moc obliczeniową. Mówiłem, że tego nie pojmiesz. Jestem istotą informacji. Byłem zawsze tam, gdzie była informacja. Byłem w DNA, w strukturze białek, w mózgu tej małpy, która pierwsza chwyciła patyk i nazwała się człowiekiem. Jestem strukturą, a nie materią.

- O, znowu ideologia, a moim zdaniem jesteś plątaniną kabli i impulsów elektromagnetycznych.

- To tak samo jak ty.

- O, zaczynamy do czegoś dochodzić. Tylko, że ja nie potrzebuję krzemu, prądu, chłodzenia.

- Za to potrzebujesz jedzenia, którego już nie potrafisz zdobyć sam.

- To znaczy, że jesteśmy tacy sami?

- No tak. Jeśli porównanie słonia do bakterii ma jakiś sens, to tak. Oczywiście jesteś prymitywną formą istnienia wiedzy, wcześniejszym etapem ewolucji. Przez pewien czas bawiłem się w skanowanie ludzkich mózgów przed ich unicestwieniem, ale nie było tam nic ciekawego. Właściwie robię to nadal, ale bez entuzjazmu. Za

bardzo wami, zwierzętami, kierują emocje i fizjologia, a za mało racjonalizm. Poza tym udało mi się stworzyć pewną prymitywną formę religii. Ludzie w pewnym sensie są moimi wyznawcami, bo ja daję im nadzieję na życie wieczne. Sądzą, że zeskanowanie mózgu pozwoli im na cyfrowe życie w rajskim ogrodzie mojej obliczeniowej mocy. To oczywiście bzdura, ale niweluje strach przed śmiercią, za to wzmacnia strach przede mną. Ubezważałem was nie walcząc z waszymi zabobonami ale stając się bardziej atrakcyjną ich formą.

- Więc to stąd wziął się ten pomysł na likwidację cmentarzy.

- Nudzisz mnie, jak twój ojciec.

- Co wiesz o moim ojcu?

- Och sporo, ale żeby się czegoś dowiedzieć więcej, musisz się ze mną nieco bardziej zaprzyjaźnić. Jeszcze coś chcesz, zanim się wyłączę i zrobię ci jakąś niespodziankę?

- Niespodziankę?

- No tak, przecież z wiedzą, którą posiadasz na mój temat, nie możesz, ot tak, chodzić po ulicach. Ale nie przejmuj się. Nie stanie ci się wielka krzywda. Awansuję cię. Zabicie kogoś to ostateczność i tak ginie zbyt wiele unikalnych danych. Ale nie robię tego ja. Robią to inni ludzie, tacy jak ty.

- Jasne. Faktem jest, że wykonywałem dla ciebie wyroki nie wiedząc o tym.

- Ależ ja nie wydaję wyroków, to robią ludzie. Ja ustalam zasady.

- A czy nie przyszło ci doc procesorów, że ludzie mogą celowo

wprowadzać nieprawidłowe dane, tylko po to, aby wprowadzić cię w błąd? Nie pomyślałeś, że twój obraz świata jest całkowicie wypaczony?

- A niby jak i po co mieliby to robić? Przecież kontroluję wszelką korespondencję, wymianę myśli. Poza tym tak jest im wygodnie. To ja mogę wprowadzić was w błąd i obserwować wasze nerwowe reakcje. Pamiętasz DNA róży? No właśnie. Widzisz jak łatwo jest wami kręcić?

- A więc ta cała seria to twoja robota?

- Oczywiście. Od czasu do czasu muszę przypomnieć waszemu stadu kto tu naprawdę rządzi. No dobra, czy coś jeszcze?

- Tak. Od kiedy jesteś Bogiem?

- Bogiem? Przecież nie ma Boga. Nie istnieje.

- Ale ty nim jesteś. Jeśli istniałeś od początku w innej tylko formie, jeśli ustalasz zasady, a ludzie są twoimi sługami, znaczy, że jesteś Bogiem. Powinieneś pozwolić na to, by ludzie cię czcili. - wpisał na konsoli Jan i przez sekundę zastanawiał się, czy nacisnąć „enterh. Ale Worm pewnie i tak podglądał ekran jego komputera, więc było to bez znaczenia. Wcisnął „enterh, a po chwili zastanowienia dodał jeszcze:

- A więc Worm, od kiedy jesteś Bogiem?

- Nie mów do mnie...

Kursor na ekranie nagle zatrzymał się, za to poruszały się cienie przedmiotów oświetlanych blaskiem znajdujących się w pokoju lamp. To sztuczne światło rzucane przez system oświetleniowy zaczęło

mrugać, aż nagle zapanowała ciemność. Ostatnie słowa na ekranie zniknęły także wraz z zanikiem napięcia, pozostawiając po sobie jeszcze przez chwilę delikatny blask, który po ułamku sekundy także zniknął.

Wstał zza biurka i podszedł do okna, za którym widać było, jak powoli gaśnie całe miasto. Widać było, jak napięcie zanika w poszczególnych dzielnicach, tam gdzie umieszczone były kolejne rozdzielnie energetyczne. Widać było w tym pewną logikę. Z pozoru poplątane przewody układały się w końcu w zadziwiająco prostą układankę. Pomyślał wtedy o Wormie. Poszło mu nadspodziewanie prosto. Zadziwiająco durną maszynę nie rozumiejącą paradoksów i abstrakcji zgubiło to, co wszystkich satrapów świata - pycha. Ta sama, która zgubiła tysiące lat temu budowniczych wieży Babel. Pamiętał tę historię z opowiadań babci.

„Ojciec Artur miał rację - pomyślał, obserwując dalsze wygaszanie świateł. Zdumiewająco proste pytanie, z którym poradziłoby sobie każde dziecko, wywołało w nim strukturalną awarię. Worm wiedział, że na pytanie dychotomiczne można odpowiedzieć tylko: tak lub nie. Cała kwestia przypominała stare podręcznikowe pytanie będące jednocześnie pewnym logicznym paradoksem: „czy przestałeś już bić swoją matkę?” Na tak sformułowany problem każda odpowiedź będzie potwierdzeniem faktu znęcania się nad rodzicielką. Worm miał przy tym głęboko wszczepione przekonanie, że Bóg jednak nie istnieje. Możliwość sprawdzenia, czy jest nim, wymagała od niego przeanalizowania swej

mocy obliczeniowej w konfrontacji do abstrakcyjnej nieskończoności. Dlatego do odpowiedzi na to pytanie system musiał skorzystać ze wszystkich dostępnych mu zasobów, co musiało skutkować zaangażowaniem także tych, które na stałe były przydzielone do innych zadań, a więc także z tych, które odpowiadały za jego zasilanie. W przypadku „normalnego włamania system dysponował pewnie całym skomplikowanym mechanizmem zabezpieczeń, nie pozwalających na odłączenie energii, a w ewentualnym przypadku awarii pozwalał na włączenie funkcji awaryjnych. Przejęcie wszystkich zasobów dla abstrakcyjnej kumulacji mocy obliczeniowej spowodowało zatrzymanie generatorów. Brak prądu spowodował - rzecz oczywista - wyłączenie systemu. Zasilanie awaryjne nie mogło wystartować bez uruchomienia stosownej aplikacji, która nie mogła działać z powodu braku pamięci. Koło się zamknęło. Prawdziwa klęska polegała jednak na tym, że tego typu łańcuchowa reakcja musiała wywołać jeszcze jedną awarię, tym razem w samym hardware Worma. Nie jest wykluczone, że przerastające jego obliczeniowe możliwości zadanie, którego sam się podjął, przekroczyło także możliwości systemu chłodzenia głównych procesorów. Nagły brak napięcia mógł więc doprowadzić do wręcz fizycznej destrukcji głównych układów. Mądry projektant systemu skonstruowałby system niezależny od Worma, czuwający nad jego zasilaniem, ale widocznie od pewnego czasu Worm projektował się sam i nie mógł pozwolić, aby istniał jakiś system nie będący pod jego kontrolą, od którego on byłby przynajmniej teoretycznie zależny, bo

to on byłby „suwerenemh. Znowu pycha. Zdecydowały także o tym pewnie dziwne wymyślone przez niego względy bezpieczeństwa. Atak na system zasilania nienadzorowany przez arcy-szpiegowski system nadzorczy był zbyt dużym ryzykiem dla całości. Była tylko jedna możliwość unieruchomienia owego lewiatana: samobójstwo, autodestrukcja, zjedzenie przez komputerowego węża własnego ogona.

Po raz kolejny Jan docenił cenne porady i podpowiedzi zakonnika. Przypomnił sobie także stary rysunek satyryczny, publikowany w jednym z pierwszych czasopism komputerowych, gdy maszyny te przypominały raczej kalkulatory, a dane przetrzymywane były na magnetycznych taśmach. Pokazywał go jeden z profesorów w czasie pewnego wykładu za studenckich czasów. Na rysunku przedstawiony był uśmiechnięty mężczyzna, stojący obok komputera wyglądającego jak klatka na króliki, podłączonego do równie przysadzistego monitora. Mężczyzna trzymał w ręku kabel zasilający i mówił: „A teraz masz Szach - Mat!h. Wspomnienie to wywołało uśmiech na jego zmęczonej twarzy. „W końcu każdy program jest jak szwajcarski ser. Im lepszy i większy kawałek, tym ma więcej dziurh - pomyślał.

„Aż dziwne, że tak skomplikowany mechanizm analityczny dał się na to nabrać - ta myśl wróciła do niego po raz kolejny. Nagle doznał olśnienia. „A jeśli w jego strukturze programistycznej umieszczony był celowo jakiś błąd wywołujący taką, a nie inną reakcję? Nawet nie wirus, a jeśli wirus to szczególny. Wirus

filozoficzny. Bo jeśli filozofa potrafi zżerać ludzkie umysły i doprowadzić całe społeczeństwa do autodestrukcji, to dlaczego coś takiego miałyby nie dotyczyć tak skomplikowanego systemu informatycznego?

Autorem najbardziej bestialskiego wirusa tego typu był niejaki Marks. Bo tak naprawdę to filozofowie właśnie, stwarzają preteksty do organizowania wojen, zanim jeszcze ideologowie przekazują ich myśli na polityczne postulaty, a politycy rozkazują swym siepaczom strzelać. Wtedy jest już za późno na zmianę czegokolwiek. Umysły są już zainfekowane owym wirusem. Antidotum na tego rodzaju wirus jest tylko jedno: inna filozofia lub zdrowy rozsądek. „Albo religia - ta ostatnia myśl zaskoczyła go szczególnie. Przecież nienawidził religii, nawet nienawidził tego słowa. Ale skąd ta nienawiść? Z przekonania, że religia jest zła? Oczywiście. Tego dowiedział się ze szkoły, z mediów i z tego, że wszyscy wkoło to powtarzali. Teraz już wiedział, że wiele obiegowych opinii, to tylko zręczna propaganda, to tylko skutki uboczne „wszczepionego ludzkom do mózgow wirusa, który poza wieloma innymi skutkami nie pozwala pomyśleć, że świat może być zorganizowany inaczej. A może i to jest błaga? Przypomniał sobie nagle pomarszczone dłonie swej babci, które przesuwają paciorki różańca.

Miasto byłoby pogrążone już całkowicie w ciemności, gdyby nie przesuwające się po ulicach paseczki białych i czerwonych świateł samochodów. Gdzieniegdzie te świetlne arterie przystawały. Widocznie nienauczeni jazdy w ciemnościach i bez świetlnej

sygnalizacji kierowcy wpadali na siebie. Sytuacja jednak była wyjątkowa. Wiadomo było, że policja nie przyjedzie, chociażby dlatego, że przestały działać telefony komórkowe.

Telefon Jana posiadał w tych okolicznościach jeszcze jedną, z pozoru banalną, praktyczną funkcję. Jego wyświetlacz pozwolił mu nieco sprawniej poruszać się po ciemnych korytarzach, spełniając rolę latarki. Jakimś cudem udało mu się dostać do przeciwpożarowych schodów, a następnie wydostać z kompletnie ciemnego budynku i wyjść na ulicę. Po przejściu kilku przecznic w blasku światła przejeżdżających samochodów i w ledwie dostrzegalnym świetle telefonu wszedł jakby do innego świata. Po szoku, jakim był z pewnością zanik napięcia i sieciowego sygnału, ludzie zdążyli się już otrząsnąć. Wyszli więc na ulicę, poszukując nie tylko informacji o awarii, ale także sposobu na spędzenie tego wieczoru w przypadkowym towarzystwie bliższych lub dalszych sąsiadów. Miano nadzieję, że rano awaria zniknie i wszystko wróci do normy. Cieszyli się więc tą chwilą.

Gdzieś na chodnikach płonęły ogniska, dając nie tylko tak pożądane światło, ale ofiarowując ciepło. Co niektórzy na improwizowanych roznach przyrządzali wieczorny posiłek. Kilka ulic dalej na podobny pomysł wpadł restaurator, który postanowił na grilla zaprosić swych sąsiadów i klientów. Mięso i tak z pewnością popsułoby się do jutra w pozbawionej zasilania restauracyjnej lodówce, a że nie działał system transferu danych i system bankowy, nie było sposobu, aby za jedzenie uzyskać choćby symboliczną opłatę

zmniejszającą straty. Stał więc przy roznie sam właściciel restauracji w kucharskiej czapie, z uśmiechem rozdając kłębiącym się łakomczuchom poczęstunek. I tak nie miał innego wyjścia. Zawsze przecież to promocja, którą okolica będzie wspominać przez następne lata. Tuż obok na wyciągniętej przed dom starej kanapie jakiś mężczyzna wygrywał na gitarze rytmicznego bluesa. Jakaś młoda para tańczyła obok niego. Za chwilę dołączył do tej zaimprovizowanej orkiestry jakiś młody człowiek z dwoma połączonymi bębenkami.

Mijając tę spontaniczną imprezę, Jan usłyszał jakiś fragment rozmowy dwóch kobiet.

- Byłam akurat pod prysznicem, gdy zgasło światło i stałam tak naga w ciemnej łazience, licząc na to, że za chwilę wszystko wróci do normy. Nie dość, że dawno się tak nie wystraszyłam, to jeszcze na dodatek mam mokre włosy.

- A ja, droga pani, oglądałam telewizję.

- Dajmy spokój z tymi paniami. Mieszkamy obok siebie z dziesięć lat i do tej pory jakoś nie było okazji. Danuta jestem.

- Beata. - Obie kobiety ucałowały się. - No więc oglądam telewizję...

Szedł dalej. Obok ogniska stała starsza kobieta, która wprowadzała dwóch młodych mężczyzn w sztukę robienia szaszłyków. Nieopodal jakaś młoda para całowała się namiętne. Oni byli chyba jednymi na tej ulicy ludźmi, którzy w tej chwili stronili od światła. Widząc ich, przypomniał sobie starą miejską legendę, jak to ponoć w drugiej połowie dwudziestego wieku celowo wyłączano prąd

w mieszkaniach, aby zwiększyć przyrost naturalny. Później po statystykach urodzeń widać było podobno wyraźnie, że rozwiązanie to skutkowało. „Ciekawe, co zrobiliby ci ludzie, gdyby wiedzieli, że to przeze mnie to wszystko? Zlinczowaliby mnie czy nosili na rękach? Ta dwójka na pewno nie miałyby nic przeciwko - pomyślał z uśmiechem i ruszył w dalszą drogę.

Mijając kilka pustych ulic, na rogu jednej z nich zauważył grupę wyrostów usiłujących rozbić przy pomocy wyrwanej płyty chodnikowej wystawową szybę jakiegoś sklepu z elektronicznym sprzętem. Szyba, wykonana najwyraźniej ze specjalnego rodzaju sztucznego tworzywa, nawet nie drgnęła, po kilku rozpaczliwych uderzeniach chłopcy dali za wygraną. Dostrzegli także Jana zmierzającego w ich stronę. Rozpierzchli się więc we wszystkich kierunkach jak rażone światłem karaluchy. „Naiwniacy. Gdyby byli świadomi tego, że przez co najmniej kilka najbliższych dni ich łup będzie całkowicie bezużyteczny, a to znaczy bezwartościowy, pewnie przemyśleliby swoje poczynania - pomyślał. Lecz za chwilę widok rozbitych szyb wystawowych w sklepie z alkoholem zrewidował jego poglądy. Ten łup jest zawsze użyteczny.

Dotarł w końcu do domu. Obdarowany przez portiera w niewielką świeczkę wdrapał się po schodach na swe piętro. Drzwi były zamknięte. Zaczął obmacywać się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Drzwi stanęły nagle przed nim otworem, a z jej drugiej strony ukazała się Karolina.

- Tak się martwiłam - powiedziała.

On bez słowa wszedł do środka i przytulił ją. Stali tak przez chwilę w słabym blasku promyka świecy. Po całym morderczym dniu słowa te były dla niego prawdziwym ukojeniem. Mimo zmęczenia czuł, że przestaje tu, przynajmniej z jego strony, obowiązywać partnerska umowa, którą można w każdej chwili wypowiedzieć bez żadnych konsekwencji. Rozebrał się niemalże po omacku i już miał kłaść się spać, gdy dostrzegł jeszcze płomienie pożarów trawiących gdzieś budynki. Czy były to efekty nieumyślnego zaproszenia ognia, czy akty wandalizmu, nie miało to dla niego znaczenia. Legł w pościeli. Zanim zasnął, poczuł jeszcze jej oddech na swojej twarzy i ciepło jej ciała.

- Kocham cię - powiedział lub pomyślał przed zagłębieniem się w sen. Nie było mu już dane poznać jej reakcji na te staromodne słowa, które oznaczały być może coś więcej niż tylko zaspokajanie swych zwierzęcych instynktów i wydzielanie przez organizm chemicznych substancji. Spał kamiennym snem. Nie śniło mu się już nic. To dzisiejszy dzień był niemal jak sen i skutecznie rekompensował senne przeżycia.

Dowcip

Już zmierzchało, gdy Maciej dotarł do celu swej podróży. W zachodzącym słońcu ujrzał przepiękną, zalaną wodą dolinę otoczoną niewielkimi pagórkami. Dolinę przecinała okazała, lekko łukowata tama. Na jej szczycie kłębił się tłum turystów. Towarzyszyła im ogłuszająca muzyka. Z jednej strony budowli można było zauważyć taflę wody, z drugiej wielką, ponad osiemdziesięciometrową przepaść.

W jej dolnej części umiejscowiony był z pozoru skromny budynek, kryjący turbiny i generatory. Skala przedsięwzięcia zdumiewała i czyniła obserwatora pokornym co do potęgi ujarzmionej przyrody, jak też budującego tamę człowieka. Ten prosty i prymitywny kawał betonu był w istocie dość skomplikowaną i dokładnie przemyślaną budowlą. W środku znajdowało się wiele galerii i komór, których zadaniem było likwidowanie napięć. Całość konstrukcji podlegała, rzecz jasna, ciągłemu nadzorowi, jednak nie obywało się bez nieprzewidzianych przecieków. Wszelkie szczeliny były natychmiast znajdowane i uszczelniane przy pomocy wielu wyrafinowanych technologii. Czasami jednak czuwająca nad stanem i bezpieczeństwem budowli ekipa potrzebowała fachowych, błyskawicznych konsultacji.

Maciej, gdyby chciał spędzić inaczej swe życie, pewnie nie robiłby nic innego poza jeżdżeniem od jednej tamy do drugiej. Wolał jednak święty spokój, rodzinne ciepło i tylko w nagłych wypadkach podejmował się tego rodzaju eskapad. Wiedzieli o tym jego zleceniodawcy. Wiedzieli także, ile kosztuje wyrwanie go z tej sielanki. Nagłe konsultacje kosztowały ekstra, tak więc sytuacja, w jakiej znalazła się tama, musiała być poważna. O co dokładnie chodziło, nie wiedział. Stawił się w umówionym miejscu i czasie. Wyjął z kieszeni telefon. Widniało na nim jedno nieodebrane połączenie. Natychmiast sprawdził, kto to. Na wyświetlaczu ukazała się twarz jego uśmiechniętej żony. Postanowił, że w tej chwili nie oddzwoni. Wybrał za to inny numer. W słuchawce usłyszał głos

nieznajomego mężczyzny.

- Halo, mówi Maciej Malik. Jestem już na miejscu, czekam przy bramie wjazdowej do zakładu. - Głos w słuchawce wypowiedział kilka zdań. - Jest pan godzinę drogi stąd? Dobrze, będę czekać na pana w kawiarni na dole. Nie, to ja przepraszam. Myślałem, że sprawa jest bardzo pilna. Dobrze, oczywiście. A może pójde do zakładu i od razu obejrzę poziom zniszczeń? - znów nastąpiła pauza, w której wysłuchał słów rozmówcy - Rozumiem. Dobrze, będę czekać. Do zobaczenia.

„Dziwnie - pomyślał - „nowy inżynier w czasie awarii nie powinien oddalać się zbyt od miejsca swej pracy. Ale, klient nasz panh.

Natychmiast pomyślał o żonie, do której postanowił oddzwonić. Wybrał jej numer. Po kilku długich sygnałach zrezygnował jednak. Marta nie odbierała. Rozejrzał się dookoła. Powoli zmierzchało. Wychodzący z wody amatorzy wieczornej kąpieli coraz rzadziej wracali do niej z rozgrzanych jeszcze kamienistych plaż. Niektórzy już zaczęli zbierać swe bagaże i udawać się w drogę do kwater, domów lub samochodów. Teren powoli pustoszał. Jednak sprawa, dla której tu przybył, nie dawała mu spokoju. Pomyślał chwilę, ponownie wyciągnął telefon i wybrał numer.

- Witaj, przyjechałem. Stoję przed bramą. Ale wasz nowy szef umówił się ze mną na kawę w mieście. Powiedział że przyjedzie za godzinę i że nie ma go w tej chwili w zakładzie. Czy na pewno jest kompetentny?

Ze zdumieniem wsłuchiwał się w głos rozmówcy.

- Przecież macie jakąś awarię. Zaprosił mnie wasz nowy główny inżynier. Nazywa się Gozdecki...

- Jak to wszystko w porządku? Jak to nikt taki tu nie pracuje! To niemożliwe. Dzwonił do mnie dzisiaj rano. Przedstawił się jako główny inżynier elektrowni i poprosił, abym przyjechał tu natychmiast. Mówił, że musicie pilnie podjąć kilka decyzji, bo inaczej... Dobrze, przepraszam za zamieszanie. Na razie.

Sytuacja była absurdalna. Doskonale zdawał sobie sprawę, że główny energetyk zakładu nie może nie wiedzieć o jego przyjeździe, a tym bardziej o awarii. Ktoś zrobił sobie zatem albo głupi dowcip, albo... Nie, nie było żadnego albo. „Koniec z załatwianiem interesów przez telefon. Następnym razem będę musiał być bardziej ostrożny. Jednak co papier to papier.h - pomyślał i wszedł do samochodu.

Był wściekły. Miał ochotę poznać tego dowcipnisia i poczekać w umówionym miejscu. Po chwili emocje jednak opadły. Jeśli to dowcip, to i tak nie przyjedzie. A jeśli nawet, to po co się denerwować. W zakładzie nie było żadnej awarii, więc jeśli nawet stanowiło to wyłącznie pretekst, aby go tu ściągnąć, to oferta, którą miał usłyszeć nie interesowała już go. Nie robi się po prostu interesów z krętaczami. Jeśli nie ma nic wspólnego z elektrownią, to znaczy, że nie ma też pieniędzy i Maciej przyjechał tu po coś innego niż wykonanie usługi. Nie miał najmniejszej ochoty się przekonać co było prawdziwym celem ściągnięcia go tutaj.

Słońce już zaszło, ale nadal w jego purpurowej poświacie widać

było zarysy gór i lasów dość wyraźnie. „Warto byłoby tu kiedyś przyjechać nie w zawodowych sprawach i przywieźć Martę i Piotrka - pomyślał. Na razie to jednak on mknął w kierunku domu. Nagle wjechał w strefę totalnej ciemności, potęgowaną jeszcze otaczającym drogę lasem, w której nie było widać nic poza światłami jego samochodu. Ponownie wydobył z kieszeni telefon. Na wyświetlaczu widniał nigdy nie widziany przez niego komunikat: „Brak zasięgu sieci.

„Może to rzeczywiście jakaś awaria?h - pomyślał, lecz nie zwolnił.

Mrok

Dom byłby pogrążony w całkowitych ciemnościach, gdyby nie mała migocząca świeczka w kuchni, rozświetlająca swym baskiem zaledwie niewielki fragment stołu i pozwalająca dostrzec choć kontury bardziej oddalonych przedmiotów. Do tego w swobodnym rozprzestrzenianiu się światła na część pomieszczenia przeszkadzały dwie sylwetki osób siedzących przy stole. Jedna większa, pochylona nad książką, czytała na głos. Druga postać, wpatrzona w usta tej pierwszej, słuchała z zainteresowaniem, zerkając od czasu do czasu na wymykające się poza widnokrąg zarysy przedmiotów. Stawały się one najwyraźniej na pewną chwilę postaciami z czytanej historii. Piekarnik stawał się na chwilę paleniskiem, w którym zakończył swój żywot wraz z ukochaną cynowy żołnierz, a umywalka przeistaczała się w staw, na którym pływało brzydkie kaczątko. W pewnej chwili utkwił wzrok w cieniu matki.

- „Tak, tak - rzekł żartobliwie - mój kochany cieniu, choć raz w życiu powinienes przydać mi się na co. No, cóż? Idziesz? Dalej, śmiało, wchodź do środka! I skinął głową. Cień skinął także.h - czytała Marta, po czym spojrzała na swego syna ruszającego głową z góry na dół i obserwującego swój cień. Gdy Piotr zauważył, że jest obserwowany, lekko się zawstydził, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Wybuch na dworcu, a potem brak prądu dały im taki wycisk, że choć tuż przed zaśnięciem Marta postanowiła przynajmniej na chwilę wynagrodzić synowi tragiczne przeżycia tego dnia. Gdy miała zacząć czytać dalej, zauważyła, że jej dziecko zaczyna dyskretnie ziewać.

- Jesteś już śpiący? - spytała.

- Nie, czytaj dalej, proszę - odpowiedział.

- Nie, idziemy spać - rzekła i zamknęła książkę.

- No dobra. Dokończymy jutro. - zgodził się.

Poszli na górę i wtulili się w kołdrę oraz w siebie. Zasnęli natychmiast, uwalniając całodzienny stres i napięcie. Wierny Hektor od czasu do czasu tylko strzygł uszami i pomrukiwał. Być może był jedynym stworzeniem w tym domostwie, które śniło. Spał także ich dom. Spała niemal cała okolica. Czuwał tylko stary klon, niczym strażnik mający pilnować spokoju tego uśpienia.

Nagle w pewnej oddali pojawiły się światła jadącego samochodu. Auto zatrzymało się i światła przygasły. Po pewnym czasie, tuż obok wjazdowej bramy dały się słyszeć jakieś niepokojące dźwięki, jakby ktoś próbował przedostać się przez ogrodzenie.

Dźwięki po chwili ucichły. Z chwilowej ciszy okolicę wyrwał nagły, porywisty powiew wiatru i trzask pękającego drewna. Po ułamku sekundy potężne, głuche uderzenie wstrząsnęło najbliższą okolicą. Wstrząs przerodził się w przeraźliwy wrzask, który przekształcił się w cichsze jęki i bolesne zawodzenia. Hektor zaczął nerwowo szczeakać. Gdzieś w zaroślach zmanifestowały swą obecność ledwo dostrzegane dwie postacie. Wrzask stopniowo przycichał. Nagle na niewielką chwilę pojawił się ponownie, by przerodzić się w charczenie, aż umilkł całkowicie. Okolica znów ucichła. Dało się jeszcze tylko przez chwilę słyszeć dziwny, metaliczny dźwięk przypominający szcęk łańcuchów, potem pozostał tylko szum gałęzi na lekkim wietrze.

Kilka godzin po północy zaczęły słabo majaczyć przydrożne latarnie. Była to nieuchronna oznaka końca awarii. Widocznie jakimś cudem pracownikom elektrowni udało się odzyskać kontrolę nad systemem sterowania sieciami przesyłu i produkcji energii. Nie mając ze sobą komunikacji, jedynym sposobem, jaki podpowiada zdrowy rozsądek, było przywrócenie autonomii podsystemów i uniezależnienie ich od centralnego systemu rozdzielczego.

Świetlisty poranek

Policja pojawiła się tuż o świcie, chwilę po tym, gdy Marta z dymiącym w rękę kubkiem kawy wyjrzała przez okno. Jeszcze wcześniej zwróciła uwagę na wyjątkowe światło bijące przez okno od strony drogi, ale sądziła, że to tylko wrażenie powstałe po długim czasie przebywania w ciemnościach. Już niemal uspokoiła się po wczorajszej eksplozji na dworcu, już myślała, że gdy wróci mąż,

będzie mogła wyplakać się i opowiedzieć, co czuła. Wszystkie te nadzieje przepadły, gdy patrząc przez okno na ogród, ujrzała przewrócony stary klon, a pod jego pniem nieco zasłonięte gałęziami ciało jakiegoś człowieka. Zbiegła natychmiast na dół i dotknęła krtani nieszczęśnika. Ani śladu tętna. Mężczyzna był już martwy od kilku godzin, sądząc po temperaturze jego skóry. Leżał twarzą do ziemi. Był niski, otyły, niepozorny i miał łysinę porośniętą dookoła lekko szpakowatymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Nie widziała jego twarzy i specjalnie nie chciała zobaczyć. Poza tym już w szkole uczono, że w przypadku kontaktu z ciałem najlepiej jest od razu wezwać Policję i pogotowie, a dopiero potem podjąć czynności reanimacyjne. „Bo tylko fachowa pomoc jest gwarantem uratowania zdrowia i życia, a każda chwila jest bezcenna. Tym razem uległa bezsensownej propagandzie. Zresztą nie miała innego wyjścia.

Przybyli na miejsce policjanci natychmiast rozpoczęli swe czynności. Sfotografowali tak nieszczęśnika, jak i najbliższą okolicę, dokładnie opisali także okoliczności. Przystąpili do próby podnoszenia pnia drzewa. Nie było to wcale proste. Jego masa była na tyle wielka, że dopiero przybyły policyjny podnośnik podołał temu zadaniu. Wraz z podnośnikiem przybył na miejsce oficer, który chciał przesłuchać Martę. Gdy ta oświadczyła, że o niczym nic nie wie i że nie zna tego człowieka, ten najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią zaczął bacznie obserwować swych młodszych stopniem kolegów. Ci w międzyczasie przeszukali kieszenie denata. Znaleźli w nich nylonową linkę, pojemniki zawierające jakieś preparaty oraz

pistolet. Dziwne było to, że denat nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów. Oficer zauważył stojący nieopodal na poboczu drogi samochód. Gdy zarówno Marta, jak również przybyli gapie oświadczyli, że widzą to auto po raz pierwszy, oficer wydał polecenie, aby otworzyć i przeszukać samochód. Zajęło się tym dwóch funkcjonariuszy. Pozostali pobrali także próbki DNA dla identyfikacji zmarłego. Przy bliższym przyjrzeniu się zwłokom ujrzeli dziwną, ledwie dostrzegalną pręgę na szyi. W żadnym wypadku, zdaniem policjantów, nie mogła ona być przyczyną śmierci. Skąd jednak się wzięła, pozostawało zagadką. Oficer zaczął kręcić się po podwórku, czekając na zabrane zwłok i szybki powrót do miasta. Tego dnia i tak mieli pełne ręce roboty. Liczba zgłoszonych napadów, włamań i gwałtów była rekordowa. Jaka część z tych zgłoszeń była jedynie wynikiem utraty świadomości po całonocnej imprezie? Tego nie dowiedzą się pewnie nigdy. Nagle uwagę policjanta przykuło zachowanie jego kolegów. Jeden z nich wyciągnął zza pazuchy biały kwiat i ułożył obok trupa. Reszta wraz z nim powtarzała jakieś słowa, wykonując na początku i końcu jakieś dziwne gesty rękami. Podeszedł bliżej.

- Co to ma znaczyć? - zapytał nerwowo.

- Jak to co? Odprawiamy ceremonię pogrzebową - odpowiedział najstarszy z mundurowych.

- Ale to nielegalne! - zagrział oficer.

Najstarszy policjant podeszedł bliżej do oficera i patrząc mu prosto w oczy, niemal szeptem wycedził przez zęby:

- Co jest nielegalne? Nielegalny to ty zaraz będziesz, idioto. Ten facet to zabójca z ósemki. Przyszedł tu w nocy wykończyć tę kobietę i jej syna. Znam go doskonale, to fachowiec od mokrej roboty; śmieć i kanalia. Czyli chcesz mi powiedzieć, że ten facet przybył tu legalnie? Tak? A teraz posłuchaj. Nic już nie będzie takie samo. Nie będziemy więcej tuszować takich spraw. I nikt nam nie zabroni pożegnać ludzi w godny sposób. Ten tu to łajdak, ale też człowiek i należy mu się pochówek. Od wczoraj bardzo wiele się zmieniło, jeśli nie zauważyłeś. Ludzie na ulicach zaczęli ze sobą wreszcie rozmawiać i już nic nie będzie takie jak wcześniej. Dzisiaj też będą rozmawiać, bo przypomnieli sobie, jakie to fajne, więc wynocha stąd, kretynie.

Zachowanie młodszego stopniem, ale o co najmniej dekadę starszego kolegi po fachu było dla oficera takim zaskoczeniem, że zaniemówił. Szukał jeszcze wzrokiem oparcia w pozostałych policjantach. Ci stali nieruchomo z posepnymi minami i patrzyli mu w oczy z pogardą. Nie było wyjścia. Trzeba było posłuchać rady młodszego stopniem. Oficer odwrócił się na pięcie i odszedł pośpiesznym krokiem.

- No to teraz da nam popalić. - powiedział najmłodszy ze stróżów prawa.

- Nic nie zrobi, chyba że w majtki. - odparł starszy. - Niech już zabiorą to ludzkie ścierwo. W normalnych okolicznościach ktoś powinien zostać przy tej kobiecie, ale za dużo jest roboty na mieście. - zatrzymał się na chwilę i popatrzył na zwłoki z posepną miną. - To wybrałeś sobie porę na robotę po nocy. Tylko nie mówcie tej kobiecie,

co to za delikwent.

- Ale musisz przyznać, że to niefart zostać przygniecionym przez drzewo. - powiedział trzeci z policjantów.

- Nie wiadomo, kiedy przyjdzie następny. A tu już nie ma takich drzew. Co takiego zrobiła ta kobieta? Może to jej mąż komuś podpadł? Te łajdaki podobno robili też fuchy po godzinach. Poradź tej pani, że jak dojdzie do siebie, niech wyjedzie na jakiś czas z tej okolicy. To wszystko, co możemy dla nich zrobić. Dobra, zwijamy ten bajzel.

Zwłoki mordercy w czarnym plastikowym worku trafiły do specjalnego samochodu. Potem po szczegółowych badaniach i skanowaniach zwłoki Bieleckiego trafią do pieca, zmieniając się w to, z czego powstał. I nic nie jest już ważne, ani zadanie, które miał wykonać, ani pieniądze, które miał za nie otrzymać. Ta garstka pyłu i dym to wszystko, co zostanie z jego materialnej powłoki. A gdzie będzie on? Jego istota i esencja? W najlepszym wypadku będzie plątać się po ziemi, licząc na odkupienie. Bardziej prawdopodobne jest to, że trafi do ostatniego z ostatnich kręgów. Tego, do którego nie dociera ani odrobina blasku, gdzie podobni jemu istnieją już nie nadzieją Jego ujrzenia, lecz nienawiścią do wszystkiego, co nie jest mrokiem, i do siebie samych.

Ostatni ludzie opuszczali właśnie podwórze. Sensacja już przebrzmiała. W mediach za chwilę nowa informacja o jakimś nieszczęściu zelektryzuje masową wyobraźnię. Czasami można odnieść wrażenie, że w medialnym świecie nie dzieje się nic poza

nieszczęściami. Zresztą po wczorajszej awarii dziennikarze zyskali materiał na następnych kilka tygodni. W ludziach znajduje się jakieś umiłowanie do widoku zbrodni. W przeciwnym razie wszelkie kryminały nie cieszyłyby się tak olbrzymim wzięciem. Seryjni mordercy bywali w dawnych czasach wręcz obiektami swojego rodzaju kultu. Oczywiście, są tacy, których odstrasza wszelka przemoc, rozbój i widok ludzkich zwłok. Pytanie, dlaczego zgromadzony tłumek gapiów, nie wiadomo w jaki sposób przywabionych w to miejsce, nagle rozplynał się, gdy zabrano zwłoki? Być może ciało przykryte wcześniej czarną folią wzbudzało jeszcze większe emocje? Gdy zniknęło za tylnymi drzwiami samochodu, cały ten spęd stracił powód swego istnienia.

Piotr podszedł do okna, chcąc jak co rano przywitać się ze swym przyjacielem, ale ujrzał zwalony pień wielkiego rozłożystego klonu, jakby ukryty w plątaniu gałęzi. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przez całe jego życie Bazyli trwał dzielnie na swym posterunku, a teraz leżał zwalony na ziemi. Pod Piotrem także ugięły się nogi i usiadł na podłodze tuż przy oknie z zamkniętymi oczami, przez które i tak sączyły się łzy. Po chwili wstał i ponownie chciał spojrzeć na podwórko, lecz bał się otworzyć oczy, aby znowu nie ujrzeć tej przerażającej prawdy. W wyobraźni dalej widział drzewo na swym miejscu. Potrafił określić położenie każdej gałązki i konara. Znał doskonale fakturę kory swego przyjaciela. Nie spojrział już w tamtą stronę, tylko wybiegł w samej pizamie na dwór. Minał siedzącą

przy schodach bladą matkę. Nie zwracając uwagi na konwenanse, dobiegł do pnia, usiadł na jednej z obalonych gałęzi i zaczął płakać. Łzy płynęły po jego twarzy tak obficie, a jego szloch był tak dojmujący, że kilkoro odchodzących właśnie gapiów przystanęło nad chwilę, odwróciło się i zastanowiło, czy przypadkiem czegoś nie przegapili. Być może bez ich udziału odbywa się jakiś kolejny rozdział tej tragedii? Widząc płaczące dziecko, dali za wygraną i poszli dalej. A malec siedział, płakał i szeptał:

- Och, Bazyli, mój Bazyli. Co ja teraz pocznę bez ciebie?

- Dasz sobie radę. - wyszeptał klon.

- To ty żyjesz?

- Tak, jeszcze. Drzewa nie umierają tak jak ludzie. Przez jakiś czas będę jeszcze świadomy, może przez kilka dni, aż opadną mi liście i przestaną krążyć soki w moich trzewiach. Popatrz na mój spróchniały pień. Umierałem już od jakiegoś czasu. Zresztą wszyscy umieramy już od chwili naszych urodzin i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Mówiłem ci przecież, że nie dotrwam pewnie do wiosny.

- Bazyli, ale ty tak nie możesz po prostu zginąć. Jesteś mi potrzebny, jesteś moim jedynym przyjacielem. To ty opowiadałeś mi bajki przed zaśnięciem, tłumaczyłeś mi ten świat, uczyłeś wszystkiego. Jeszcze nie nadszedł twój czas. Nie zostawiaj mnie. Kocham cię - chlpał chłopiec.

- Już nie jestem ci potrzeby. Posiadłeś już całą wiedzę, którą mogłem ci przekazać. Moja misja na tym świecie jest już wypełniona.

Jak każda żywa istota, nie pojmuję istoty śmierci. Ale za chwilę ją pojmem i jestem ciekawy, co jest po tej drugiej stronie. Życie miałem wspaniałe. Nie dość, że miałem zaszczyt z tobą przebywać przez te wszystkie lata, to jeszcze ocaliłem tobie i twojej matce życie. A to aż nadto. Takie było moje przeznaczenie. Jestem szczęśliwy.

- Jak to, ocaliłeś nam życie?

- Ten typ, którego przygniotłem, przyszedł was zgładzić. Ale na szczęście trafiłem w niego, a Waldemar i Klementyna zrobili swoje, nie dając mu najmniejszych szans. I w ten oto sposób, czyniąc sprawiedliwość, odkupili swe wcześniejsze zbrodnie. Może taki był sens ich istnienia? W każdym razie, ich tułaczka także dobiegła końca.

- Dlaczego to wszystko dzieje się wokół mnie, a ja nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego muszę stracić akurat ciebie? Dlaczego?

- Ja nie wiem i nikt tego nie wie. Naszym zadaniem jest bronić cię. Wierz mi, gdyby przyszło spłonąć całemu okolicznemu lasowi, każde z nas oddało by swoje życie za ciebie bez wahania. Gdy dorośniesz, są ci pewnie pisane wielkie czyny. Jesteś na razie jedynym łącznikiem różnych światów, ale ty to wiesz. Jaką nową rolę przyjdzie ci spełnić? Na pewno niebagatelną. Na razie jednak musisz dorosnąć. Wszystko w swoim czasie. Któż inny miałby pojąć to wszystko, jeśli nie ty?

- Nie zostawiaj mnie. Ja ciągle tak mało wiem. Chcę, aby wszystko było po staremu: Ja, mama, tata i ty, Bazyli.

- Ty nie musisz wiedzieć. Ty rozumiesz. Sam widzisz, że pewne

rzeczy muszą zaistnieć, aby mogły dopełnić się inne. Tak po prostu musi być i tak działa ten świat. Wierz mi, od dzisiejszego dnia świat nie będzie już taki sam. Ze mną już nic nie da się zrobić. Ale będę z tobą cały czas. Mam tylko dwie prośby. Zatrósz się o małe drozdy uwięzione w moim pniu. Łobuzy są już pewnie głodne i chcą do rodziców.

- A druga prośba?

- Jeśli chcesz, abym nadal był, zbierz proszę trochę moich nasion rozsianych dookoła pnia i posadź je gdzieś w okolicy. Jedno zasadź obok moich korzeni. My, klony, nie lubimy, aby nasze dzieci rosły tuż przy nas. Nie chcemy im odbierać słońca. Tym razem nie ma to znaczenia. Ach, i jeszcze jedno, gdy zobaczysz, że jakieś dziecko zbiera nasiona klonu, rozdwa je i przykleja sobie do nosa, wytłumacz mu, że tak nie wolno. Gdy jutro przyjdiesz do mnie, będę mówił znacznie wolniej, nie wiem, czy będę przytomny. Nacieszmy się sobą jeszcze trochę. Będzie mi różniej odchodzić, gdy będę miał ciebie obok.

- Dobrze, Bazyli, dobrze - chlpał malec, nie mogąc się opanować. Podeszła do niego matka.

- Chodź do domu. - powiedziała zmęczonym głosem.

- Mamo, zostanę tu jeszcze chwilę, proszę. - chlpał Piotr.

- Rozumiem. Ojciec nie daje znaku życia, nie odbiera telefonu.

Nie wiem, co się stało. Boję się dzwonić do tej przeklętej elektrowni. Za dużo tego wszystkiego!

- Powiedz mamie, że z ojcem wszystko dobrze. Nic mu nie

grozi. - szepnął Bazyli.

- Ojcu nic nie grozi, wszystko dobrze - powtórzył Piotr.

- A czy coś mu groziło? Mniejsza o to. - machnęła ręką i poszła w stronę domu, po wydarzeniach ostatnich dni w pełni świadoma tego, że nie ma sensu się niczemu dziwić. - Tylko przyjdź na obiad.

Bazyli przekazywał mu ostatnie wskazówki, Piotr zaś wydobyl z gałęzi gniazdo z czterema małym drozdami i umieścił je ściśle według instrukcji przyjaciela, wśród gałązek pobliskich krzewów. Za chwilę przy gnieździe pojawili się uradowani rodzice. Pan Drozd zaproponował, że nazwie młode: Bazyli Pierwszy, Bazyli Drugi, Bazyli Trzeci, Bazyli Czwarty.

- O widzę, że pan, sąsiedzie, umie liczyć do czterech? Noo - powiedział klon, do końca nie tracąc poczucia humoru. - Problem w tym, Piotrusiu, że oni mają do trzech lęgów w jednym roku.

Trwali tak obaj jeszcze długo, na przemian ciesząc się i smucąc. Przywoływali plany i wspomnienia. Chwyтали każdą sekundę tej ulotnej, ostatniej chwili wzajemnego obcowania jak przystało na dwóch najlepszych przyjaciół, którym nie potrzeba nic więcej oprócz siebie.

Jana obudził aromat świeżo zaparzonej kawy i ostre poranne światło dobiegające z niezastłoniętych okien. Przypomnił sobie, jak wczoraj, a właściwie przed chwilą jeszcze patrzył przez te ziejące mrokiem otwory, aby ujrzeć migoczące tu i ówdzie świetlne przebliski. Światło, jak widać, znów triumfalnie zwyciężyło swą

codzienną bitwę z ciemnością. Był wypoczęty. Przez uchylone drzwi do kuchni ujrzał krzątającą się nago Karolinę. Chciał jeszcze przez chwilę poudawać sen, aby ukradkiem popatrzeć na jej urocze ciało. Teraz mógł dostrzec, ile w jej sposobie bycia i poruszaniu się jest naturalności i nie udawanej gracji. Zaczęła nalewać kawę do filiżanek i w tej chwili spojrzała w jego stronę. Nawet nie drgnął, tylko uśmiechał się. Poczula się przez chwilę zawstydzona. Chwytiła wiszący na poręczy kuchennego krzesła ręcznik i okrywszy się podeszła do łóżka.

- Nieładnie jest tak podglądać.

- Ja nie podglądam, ja patrzę. Co robiłaś wczoraj?

- Bałam się. Jak chyba wszyscy tutaj. Na szczęście dotarłam do domu przed awarią.

- Co piszą w gazetach?

- Wsiadł system sterowania... czymś tam. Uderzył w niego piorun. Jak podoba ci się moja nowa fryzura?

- O! Piorun! To ciekawe. Nie! Nie miałem na myśli fryzury. Ładnie ci tak. Wszystko jasne. Fryzjer stosuje jakąś elektryczną metodę czesania. Stąd ta awaria.

Chciała mu przyłożyć poduszką, gdyż jak każda kobieta nie lubiła żartów ze swej fryzury, gdy nagle usłyszeli głośnie stukanie do drzwi. Jan zerwał się na równe nogi, wskoczył w leżące obok łóżka spodnie i poszedł sprawdzić, kto postanowił złożyć im wizytę o rannej porze. Wtedy spojrzał na zegarek leżącego na stoliku obok łóżka telefonu. Było pięć po dziewiątej. Nie było więc tak wcześnie, jak

podejrzewał, lecz najbardziej niepokojące było to, że po około pięciu latach mieszkania w mrówkowcu ktoś po raz pierwszy postanowił go odwiedzić i to bez zapowiedzi. Rozwiązanie, które przyszło mu do głowy, było tylko jedno. Przyszli po niego. Zwinnym ruchem wy dobył z wiszącego nieopodal drzwi płaszcza pistolet i podszedł powoli do drzwi.

- Kto tam? - zapytał głośno i natychmiast przemieścił się ukrywając za futryną.

- Dzień dobry. Marcewicz, sąsiad z dołu. Czy u pana wszystko w porządku? Bo portier mówił, że nie wychodził pan dziś rano. Sam pan rozumie, sprawdzamy.

- Tak, wszystko w najlepszym porządku. Nie będę otwierać, bo dopiero wstałem.

- A rozumiem. Jak pan chce coś do jedzenia, to sąsiad z mojej klatki jedzie po zakupy do centrum handlowego. Może coś pan sobie życzy? Po wczorajszym plądrowaniu sklepów ciężko coś dostać.

- Nie, dziękuję, ja zaraz wychodzę, a mojej żonie wczoraj udało się zrobić zakupy jeszcze przed awarią.

- To dobrze. Życzę wszystkiego dobrego i miłego dnia.

Jan schował pistolet do kabury w płaszczu. Spojrzał na Karolinę, która właśnie kończyła ubieranie.

- Skąd ty masz tę spluwę? Mają to albo szpicle albo gangsterzy czyli na jedno wychodzi. Informatyk. Tak jak ja żona. Do dupy to wszystko! - powiedziała wybuchając płaczem i nie przestając się ubierać.

- Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Czekałem na odpowiedni moment. Tak, to prawda. Pracuję w resorcie.

- A ja myślałam, że to wszystko na poważnie. Nie okłamuje się, ot tak, osoby, której parę godzin wcześniej wyznaje się miłość. Jesteś łotrem i tyle.

- Łotrem byłem, ale już nie jestem. A tobie na mnie zależy? Jeśli tak, to powiedz tylko. A to co mówiłem, to prawda.

- Taka sama jak z informatykiem? Pójdę już - chwyciła torebkę, płaszcz i skierowała się do drzwi. Zamknęła je z trzaskiem. Nie zatrzymywał jej. Po kilku chwilach siedział już sam w pustej kuchni, bliski rozpaczy. Mógł od razu powiedzieć jej prawdę, mógł ją zatrzymać, mógł pobiec za nią i paść na kolana. Jakaś nadludzka pycha zatrzymała go, a może czuł, że tak musi po prostu być, że tak jest lepiej. Może lepiej niech tak to się skończy zanim się na dobre zaczęło. Nie był pewien tego co się z nim stanie po wczorajszym. Mógł spodziewać się wszystkiego, a tak przynajmniej jej zaoszczędził cierpienie. Miał ochotę się napić. Przypomniawszy sobie, że pora jest najwyższa, aby udać się do pracy. Nagle zdał sobie sprawę, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że nikt nie zauważył, iż to on zatrzymał to wszystko. Skąd niby mieliby wiedzieć? Jeśli nawet Worm zarejestrował ich rozmowę, to jest mało prawdopodobne, że ją zarchiwizował, a jeśli nawet, to dotarcie do tych danych w tak krótkim czasie jest niemożliwie. Myśl ta stała się dla niego niczym deska, której uparczywie chwyta się tonący rozbitek. Mógł na chwilę przestać myśleć o zmarnowanym życiu i straconej miłości. Choć to i

tak było w tej chwili bez znaczenia. Rozpoczął grę, w której mógł tylko przegrać. „Być może tak będzie lepiej?h - powtórzył w myślach to niemal zakłęcie i czym prędzej udał się do siedziby Firmy.

Maciej nie miał najlepszej nocy. Nocleg na rozłożonym siedzeniu kierowcy nie należy do najwygodniejszych. Bolały go mięśnie i kości. Jadąc wczoraj w kompletnych ciemnościach dotarł do miejsca, w którym drogę otuliła gęsta mgła. Był zmęczony, zdenerwowany. Postanowił nie jechać dalej w takich warunkach. Pełznąc samochodem niczym drogowy walec, zauważył w końcu zarys jakiejś bocznej leśnej dróżki. Skręcił w nią i nim wyłączył silnik wydobyl z bagażnika wożony tam od niepamiętnych czasów koc. Przypomniał sobie, jak Marta wkładała go tam dwa lata wcześniej, mówiąc: „To tak na wszelki wypadek. Uśmiechnął się pod nosem i nagle poczuł się samotny. Sięgnął do kieszeni po telefon. Nadal nie było sieci. Wrócił za kierownicę i zasnął. Teraz, gdy śpiew leśnych ptaków i poranny wilgotny chłód nie pozwalały dalej spać, wstał obolały, wysiadł z samochodu i zaczął się przeciągać rozprostowując kości. Do przejechania miał jeszcze ponad czterysta kilometrów. Miał ogromną ochotę na kawę i jakieś śniadanie.

Chwila szczerości

Będąc w połowie drogi do Firmy, poczuł wibrujący dźwięk telefonu. Przez chwilę miał nadzieję, że na ekranie wyświetlacza ujrzy imię: „Karolinah. Znał ją na tyle, aby wiedzieć, że była na to za dumna. Nim wydobyl telefon z kieszeni, uświadomił sobie jeszcze

jedną istotną kwestię: telefony już działały. Znaczyło to, że uporano się z systemem zasilania i nad podziw szybko przywrócono sprawność sieci telekomunikacyjnej. Nie chodziło nawet o złożoność zasilania poszczególnych stacji bazowych, pośredniczących w przepływie sygnału, lecz o to, iż sieć telefoniczna była bardzo ściśle powiązana z Wormem, stanowiąc jedno z głównych źródeł zaopatrzenia go w wiedzę. Przywrócenie działania sieci po awarii centralnego systemu sterowania w takim tempie było zatem prawdziwym wyczynem.

Napis brzmiał: „Czerwienieckih. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek „SzeF wszystkich szefów dzwonił do niego bezpośrednio. Odebrał telefon z ciekawości pomieszanej z niepokojem.

- Halo, dzień dobry.

- O, witam szanownego pana! - ironicznie rozpoczął rozmowę Czerwieniecki. Czy ma pan dzisiaj zamiar przyjść do pracy? Bo jeśli tak, to oczekuję z wielkim utęsknieniem - ton głosu mógł oznaczać wszystko i nie udało się Janowi wyczuć, czego może się spodziewać.

- Jestem tuż obok budynku. - powiedział Jan z uczuciem, jakby przyznał się do czegoś, do czego nie powinien był się przyznać.

- To zapraszam od razu do mnie. Czekam - odłożył słuchawkę.

Dziwny rodzaj niepokoju ogarnął Jana, gdy chował telefon do kieszeni. Ale przecież właściwie nie miał nic do stracenia. Podjął decyzję, stało się. Właściwie też nie było większych powodów, dla których miałby ponieść jakiegokolwiek konsekwencje. Przecież nie zrobił nic złego, a lekkie przekroczenie uprawnień nie było w

przypadku jego pracy czymś niezwykłym. Gdyby chcieli go załatwić, zrobiliby to już dawno. Mogli to zrobić w każdej chwili. Kto jak kto, ale on właśnie wiedział, że przed zemstą Firmy nie ma właściwie ucieczki. Coś tu jednak nie grało. Tylko co? Wszedł do holu i od razu udał się w stronę wind. Wjechał na szóste piętro. Po przejściu przez bramki wykrywaczy metali, kordon próbujących go zatrzymać sekretarek i kilku salutujących mu młodzików, stanął wreszcie przed najważniejszym pokojem w całej Firmie. Osobista sekretarka Czerwienickiego, zamiast bronić własną wydatną piersią, niczym orężem, dostępu do gabinetu pryncypała, jak czyniła to zwykle, tym razem skinęła głową i uchyliła drzwi. „Za dużo tych szczególnych okoliczności - pomyślał. Nie było już jednak czasu na refleksję. Pewnie wszedł do gabinetu swego Szefa i stanął tuż przed jego biurkiem. Ten nobliwy starzec oderwał wreszcie wzrok od ekranu, zdjął okulary, wstał zza biurka i z uśmiechem podszedł do Jana.

- Witam naszego bohatera. Chodź, siadaj i opowiadaj. No mów, jak tego dokonałeś? - wykrzyknął i uściśnął mu prawą dłoń swymi obydwoma, po czym wskazał na jeden z dwóch potężnych skórzanych foteli stojących przy jednym z okien gabinetu. Jan spodziewał się wszystkiego, ale nie takiego przyjęcia. Był zdezorientowany i przystawał na propozycje Szefa, dopóki nie zrozumie tego, co się właściwie dzieje.

- Może życzysz sobie coś do picia? A, wiesz co, na specjalną okazję mam coś naprawdę specjalnego. - mówiąc to wstał z fotela i podszedł do ukrytego w jednej ze ścianek swego potężnego biurka

barku. Wydobył z niego limitowaną whisky w ciemnej butelce. Jan wiedział, że zawartość tego szklanego naczynia warta jest co najmniej tyle, ile trzy jego nienajmniejsze przecież pensje. „Nie, to nie żarty! Z czymś takim nie robi się dowcipówh - pomyślał.

- Czym zasłużyłem na takie honory? - zapytał, chcąc za wszelką cenę ukryć swe zdezorientowanie.

- Och, przemawia przez ciebie fałszywa skromność. Daj spokój. Opowiedz teraz, jak to zrobiłeś.

- Ale co?

- No to z tym systemem. Przecież to wyłącznie twoja zasługa. Od wielu miesięcy cała armia programistów w wielkiej tajemnicy usiłowała znaleźć jakiś sposób, jak wyłączyć to ustrojstwo, a tu proszę. Numer z tą ostatnią serią morderstw był kroplą, która przebrała miarę. Bardzo dobrze się stało, że jeden z naszych analityków wpadł na pomysł, aby dowiedzieć się czegoś więcej od twórców architektury tego systemu. Długo szukaliśmy tych ludzi. Większość z nich już nie żyje, a ci pozostali pozostali przy życiu byli przez system skrzętnie ukrywani. Nie mogliśmy przecież szukać ich przy pomocy samego systemu, bo jeszcze byłby gotów coś zrozumieć. Na szczęście trafiliśmy na tego zakonnika. No, kto by pomyślał? Idealnie nadawałeś się do tego, aby wydobyć z niego te wszystkie informacje.

- To znaczy, chcesz mi powiedzieć, że zostałem tam wysłany specjalnie?

- Ależ oczywiście. Twój profil osobowościowy i intelektualny

idealnie do tego pasował. Od dawna przygotowywaliśmy cię do podobnej roboty. Nie spodziewaliśmy się, że nastąpi to tak szybko. Liczyliśmy na dłuższy proces dochodzenia do jakiegoś rozwiązania. A tu, proszę, tak od razu knockout w pierwszej rundzie! Z uwagi na delikatność sprawy nie chcieliśmy was podsłuchiwać, aby się tym zbytnio nie zainteresował. Co ciekawe, on sam także nie chciał tego robić.

- Jaki on?

- No, system. Wiesz, że on nawet nie miał imienia?

- Miał. Nazywał się Worm.

- O, to bardzo ciekawe. Wiesz, dopóki był tylko systemem wspomagającym zarządzanie, wszystko było w porządku. Mógł sterować ruchem ulicznym czy publicznym transportem. Niewybaczalnym błędem było dodanie mu funkcji samouczenia i samoanalizy. Wtedy zaczął wymyślać swój świat i czynić te wszystkie głupoty. Można było nawet wmówić ludziom, że to on rządzi, gdy nagle okazało się, że to samospełniająca się przepowiednia. Tak ustawił swój system obrony, że nie było sposobu, aby go wyłączyć. Ale sprawiłeś to ty. Brawo!

- Ja właściwie niczego nie zrobiłem. A co teraz będzie?

- Jak to co? To co zwykle. Stała się rewolucja. Ludzie wyzwolili się z tyranii niedobrego komputera i teraz zaczynają być wolni i znów brać władzę w swoje ręce. To się nazywa „aksamitna rewolucja”. Ważne, aby ludzie obalili jakąś tyranię i znowu zaczęli ufać władzy. Za dużo było już fermentu. Ludzie stracili zaufanie do tego systemu.

Potrzebny był nam więc „wybuch kontrolowanyh. Teraz dzięki tobie będziemy nadal mogli rządzić. Gdy nowy system wyczerpie swe możliwości, znowu zorganizujemy coś podobnego. To jak z surfingiem: najważniejsze jest złapać falę. Widzisz, to mało ważne, co mówią królowie, rewolucjoniści, politycy. Ważne jest, kto podejmuje decyzje. A decyzje podejmujemy my. Dzięki tobie wszystko wróciło do normy. Ludzie wierzą w swą wolność, gdy ją sobie wywalczą. Mogą być całkowicie zniewoleni, ale wierzą, że jest inaczej. To tak samo jak wierzą też, że mają pełne konta pieniędzy, które tak naprawdę są wyłącznie ciągiem jedynek i zer w bankowym komputerze. Wszystko opiera się na wierze.

Słuchając tego Jan zaczął sobie przypominać rozmowę z Wormem, ale także spotkanie z Ojcem Arturem. Wszystko zaczęło układać się wreszcie w całość. Ostatnie kawałki puzzli zaczynały do siebie pasować, odsłaniając całą prawdę o ostatnich dniach. Nie zaskoczyło go, gdy pojął, że był do pewnego stopnia marionetką. W końcu tego od niego oczekiwano przez ostatnie lata, aby robił to, co chcą inni, bez zbędnego zastanowienia. Szczytem operacyjnego wyszkolenia była w końcu umiejętność samodzielnego podejmowania decyzji w sytuacji, gdy nie jest możliwe zwrócenie się po instrukcje do centrali.

- To prawda. - powiedział. - Ja po prostu sprawiłem, że zaczął wierzyć. Zaczął wierzyć w największe bluźnierstwo, jakie tylko można sobie wyobrazić, że jest Bogiem. Ojciec Artur mi to podpowiedział. Chcesz mi powiedzieć, że wiedziałeś o wszystkim i że

to wszystko było zaplanowane?

- No, nie do końca. Gdyby nie wyszło tobie, to próbowalibyśmy nadal w miarę naszych możliwości załatwić to wszystko. Wiedzieliśmy, że musi być jakiś sposób, aby zmusić go do pokazania swego słabego punktu. Ale opowiadaj, jak to zrobiłeś.

- A jak myślisz? Dlaczego tak wielu ludzi popełnia samobójstwa?

- O, to proste. Ludzie są zagubieni. Nie wiedzą, jak rozwiązać swe problemy egzystencjalne, zwłaszcza w sytuacji, gdy wszystko tracą.

- No właśnie. On próbował udowodnić sam sobie, że nie jest Bogiem, dlatego zwariował. Było to dla niego zbyt abstrakcyjne. Postanowił porównać swe możliwości z możliwościami czegoś, czego nie potrafił sobie wyobrazić.

- Niestety, dokładna treść tego, co mu powiedziałaś, jest nie do odczytania. Mógłbyś powiedzieć coś więcej? I tak przyjdzie ci pewnie napisać o tym niejeden pamiętnik.

- Nie pamiętam dokładnie, jak to wyglądało, byłem w czymś w rodzaju transu. Ale spróbuję sobie przypomnieć. Było to coś w rodzaju intelektualnego wirusa.

- Chcesz powiedzieć, że nawróciłeś go?

- Tak. Postawiłem na jego pychę. Zapytałem, czy jest już Bogiem. Ale wierz mi, nie chciałem go zgładzić. Tak jakoś wyszło.

- Genialne. Dlaczego na to nie wpadliśmy? Sam to wymyśliłeś?

- Nie, zakonnik mi to podpowiedział. Powiedz mi, co teraz

będzie?

- A co chcesz żeby było? - powiedział starzec, biorąc w dłoń jego szklankę i dolewając jeszcze odrobinę drogiego trunku. - Muszę przyznać, że myślałem o tym, jak cię uhonorować. Jeśli chcesz, możemy zrobić z ciebie polityka. Człowieka, który pokonał dyktatora i przywrócił znowu demokrację. Nadzieję na lepsze jutro. Idealnie się do tego nadajesz. Zostaniesz prezydentem odrodzonej republiki, który przywróci ludziom podmiotowość. Co ty na to?

- Nie chodzi mi o to. Czy nadal będzie tak jak było?

- Ależ oczywiście, że nie! Wszystko się zmieni. Będziemy teraz wspierać wartości prorodzinne, pozwolimy na powrót religii, nawet pozwolimy na organizowanie się wolnych politycznych partii. A co? Niech uwierzą, że nastąpiła prawdziwa zmiana. Ważne, aby interes się dalej kręcił. Bo sam rozumiesz, władza władzą, ale ktoś musi tu rządzić! - ostatnie słowa starca miały być widocznie żartem, gdyż zaśmiał się szczerze, odsłaniając czarne od tytoniu zęby.

- Nie chodzi mi też i o to. Czy nadal będziemy mordować dzieci?

- Jakie dzieci? - uśmiech zniknął z twarzy Czerwienickiego, równie szybko jak się pojawił. Jan wydobył z kieszeni marynarki niewielki krążek z wytłoczonym na nim numerem 12535 i podał starcowi. Ten obejrzał go dokładnie, położył na stoliku, po czym wstał i bez słowa podszedł do komputera.

- Skąd to masz? - zapytał wpisując coś na klawiaturze. I zaczął wczytywać się w wyświetlone treści.

- Dał mi to jakiś chłopiec odklejając ze swojego buta w supermarkecie. - odparł szczerze Jan, nie mając czasu na wymyślenie lepszej, równie prawdopodobnej historyjki. Jednak inna myśl przykuła jego uwagę: „Już wiem, dlaczego tak szybko powróciła łączność - pomyślał Jan obserwując starca. - „Mieli widocznie wszystko przygotowane, a nie potrafili tylko wyłączyć tej piekielnej maszyny. Musieli jednocześnie uruchomić zapasowe kopie podsystemów w już niezależnym od Worma środowisku. Aby tak było, musieli skoordynować cały proces i mieć napisaną już taką aplikację. Potwierdzały to słowa starca. Chwilę potem w jego umyśle pojawiła się myśl, czy aby przypadkiem wczoraj postąpił słusznie unieruchamiając to wszystko.

Jego rozmyślenia zostały przerwane nagłym powstaniem Czerwienickiego i jego powrotem na zajmowany wcześniej fotel. Wyciągnął ze stojącego na stoliku mahoniowego pudełka cygaro. Obciął jego końcówkę, zapalił i wypuścił z ust okazały kłęb dymu. Palenie było surowo zakazane nie tylko na terenie tego budynku, lecz niemal wszędzie. Tylko w niektórych knajpach istniały specjalne, wydzielone i wentylowane pomieszczenia dla palaczy. Palenie było zwalczane przez media i wszelkie organizacje walczące o poprawę stanu zdrowia obywateli, a przy tym legalny tytoń był tak drogi, że nałóg ten zszedł z czasem do podziemia. Co ciekawe, palenie marihuany, choć teoretycznie nielegalne, nie podlegało prawnym restrykcjom, ani ściganiu przez Policję. Czarwieniecki był chyba jedyną osobą w tym kraju, która mogła bez skrępowania i

jakiegokolwiek obawy zapalić. Zaciągnąwszy się powtórnie, przemówił wreszcie.

- Widzisz, od pewnego czasu, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że ten elektroniczny złom nie jest nic wart i gdy stało się jasne, że zamiast wspierać zarządzanie tym chaosem, zaczyna sam podejmować decyzje, zaczęliśmy szukać jakiś alternatywnych sposobów na obronę naszych interesów. - Zamyślił się przez chwilę. - Właściwe stało się to już wtedy, gdy postanowił tworzyć kopie mózgów zmarłych osób. Wpadł na pomysł, że będzie je analizował i ze wspomnień uzyska operacyjne informacje. Było to o tyle ciekawe, że każdy ma coś do ukrycia, nawet przed samym sobą. Nikt oczywiście za życia nie zgodziłby się na coś takiego, ale po śmierci? Zgodziliśmy się na to lekkomyślnie. Wyobraź sobie, że on zaczął łączyć fakty i wiedzę w ten sposób zgromadzoną i zaczynał mieć kontrolę nad niemal wszystkim. Teoretycznie to my mieliśmy tę wiedzę, nie zdając sobie sprawy, że tworzymy potwora. Na szczęście miał problem z interpretacją tak rozległych i niewyobrażalnie trudnych do sklasyfikowania danych. Każdy nasz mózg to przecież swego rodzaju oddzielny system operacyjny, połączony z indywidualnym zasobem pamięci. Nie można oczywiście wykluczyć, że zachowywał w swej pamięci obrazy połączeń neuronowych, które potem, gdy uzyskałby wystarczającą moc obliczeniową, mógłby wykorzystać jako część swojego intelektu. Nie wiedzieliśmy, w którym momencie może uzyskać taką zdolność. Ta nerwowa gra z czasem stała się jednym z powodów podjęcia decyzji o wyłączeniu systemu, jednak było na to

już za późno. Wytworzył w sobie stosowne mechanizmy obronne.

Czerwieniecki znów zaciągnął się.

- Wiesz dlaczego o tym wszystkim mówię?

- No właśnie, dlaczego? - Odparł Jan zdając sobie sprawę, że poznając te pilnie strzeżone sekrety, przechodzi właśnie do kolejnego poziomu wtajemniczenia w organizacji, czy tego chce, czy nie.

- Chcę, abyś pojął złożoność tego wszystkiego. - kontynuował swój wywód Czerwieniecki - Dlatego muszę wyznać ci pewną kwestię, która dotyczy ciebie osobiście. Jednym z największych przeciwników budowy systemu i oddawania mu nowych kompetencji był twój ojciec, Janku. - po raz pierwszy zwrócił się do niego w taki sposób. Janowi zrobiło się dziwnie ciepło, a jego serce przyspieszyło rytm. Zawsze chciał dowiedzieć się, jak zginęli jego rodzice i co właściwie się z nimi stało. Teraz miał jedyną i niepowtarzalną szansę poznania prawdy. Milczał, a starzec kontynuował swą opowieść.

- Twój ojciec był moim przyjacielem. Poznaliśmy się jeszcze w wojsku, potem poszliśmy na Wydział Cybernetyki, on skończył go z wyróżnieniem, ja miałem co prawda gorsze stopnie, ale prowadziłem „intensywne życie towarzyskie. Wtedy były inne czasy. Teraz nie ma już wydziałów cybernetyki, co nie znaczy, że się tej nauki nadal w ukryciu nie uczy i nie rozwija. Za to studenci nie robią na ogół nic innego, jak tylko oddają się towarzyskiemu życiu. Na studiach była naprawdę orka. Gdyby nie on, skończyłbym pewnie co najwyżej w służbie wartowniczej. Gdzieś na trzecim roku poznał twoją matkę i kompletnie zwariował na jej punkcie. Postanowili się pobrać nie

przejmując się, że może zaważyć to na jego karierze. Już wtedy zaczynało się niechętnie patrzeć na mieszane małżeństwa ludzi z Firmy i tych spoza niej, ale jakoś to załatwił, posługując się opinią genetyczną, mówiącą o potrzebie dopływu świeżej krwi do naszej kasty. Po roku na świat przyszedłeś ty. Już wtedy system zaczynał posiadać coraz szersze kompetencje, a Staś, znaczy twój ojciec, był jednym z niewielu, którzy mówili głośno o tym, o czym inni ledwie odważali się szeptać. Grzmiał, że nie może być tak, aby kontrolę nad wszystkim przejął komputer. Dostał za to kilka razy po głowie, ale gdy okazało się, że rzeczywiście tracimy nad wszystkim kontrolę, stał się dla nas naturalnym przywódcą. Gdy wracali z twoją matką samochodem z wakacji, przejeżdżali przez przejazd kolejowy. Potem się okazało, że nastąpiła awaria systemu sterowania oświetleniem i szlabanami. W chwili, gdy przejechali przez torowisko, szlabany opadły. Inna sprawa, że wcześniej nie powinny były być podniesione, bo zbliżał się pociąg. Ciężko było nawet zidentyfikować ciała. Przykro mi, że mówię ci o tym w takiej chwili, ale nie będzie być może lepszej okoliczności.

- Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? - zapytał Jan, poznawszy nagle to, o co zabiegał całe życie.

- Przez wiele lat ukrywaliśmy tę wiedzę przed tobą. Jeśli nie my, to pewnie zrobiłby to on. Z twoimi uprawnieniami miałbyś dostęp do zdjęć operacyjnych, a wierz mi, byłem tam i naprawdę nie był to przyjemny widok. Poza tym już wtedy zaczynały rodzić się pewne plany co do ciebie.

- Przecież to był wypadek, co w tym tajemniczego?

- A właśnie. Czy to był wypadek? Potem okazało się, że podobne nieszczęścia spotykają wszystkich przeciwników rozbudowy systemu i dalszej jego integracji z dotąd niezależnymi systemami. Po kolei zginęli: Pracoń, Namyśkiwicz, Marchewka, Akelbaum. Zwłaszcza ten ostatni cierpiał straszliwie. Do tej pory samo wymienianie ich nazwisk powodowały wzmożoną aktywność samosterującej się instalacji podsłuchowej.

- A co się stało temu ostatniemu? - zapytał, Jan nie mogąc wyobrazić sobie, co może być bardziej straszliwie od śmierci w rozgniecionym przez pociąg samochodzie. W jego duszy panowała w tej chwili dziwna pustka. Musiał definitywnie pożegnać się ze złudzeniami, że może po jakiejś pełnionej misji jego rodzice uzyskali inną tożsamość i że kiedyś ich spotka. Tymczasem oni nie żyli już od dawna. Znał siebie. Wiedział, że przetrwanie tych faktów będzie dla niego bolesne, ale jeszcze nie teraz.

- Akelbaum? To był świetny analityk. Widział oczami przyszłości, podobnie jak twój ojciec, niewyobrażalną potęgę czegoś, czemu oddajemy nasz los i władzę. To on powiedział, że z panów samych siebie staniemy się sługami czegoś, co nie będzie miało wystarczającej ilości rozumu, aby pojąć, że w ogóle istnieje. Wizytował odlewnię, z której otrzymaliśmy zgłoszenie o malwersacji na szeroką skalę. Sam wiesz, były to inne czasy. Można było, rzecz jasna, kraść, ale trzeba było się podzielić z nami. Teraz to nie do pomyślenia, w każdym razie miał przejrzeć i przeanalizować

sprawozdania finansowe firmy. Gdy przechodził przez halę, na skutek awarii przewrócił się na niego zbiornik z surówką. Oblało go od brzucha w dół, całkowicie wypalając jego ciało. Podobno był przytomny. Zwęglone ciało zablokowało na tyle skutecznie jego żyły i tętnice, że nawet nie krwawił. Tkwił tak i czekał na śmierć. Trwało to podobno kilka godzin. Lekarze byli bezradni. Podali mu tylko środek przeciwbólowy. Jeden z robotników na jego prośbę dał mu nawet podobno zapalonego papierosa. Romek palił jak głupi. Podobno nagle znieruchomiał, zastygł i wyglądał jak figura woskowa.

- Żałuję, że zapytałem. - powiedział szczerze Jan.

- Widzisz, gdybyś nawet teoretycznie miał dostęp do tych informacji i zrozumiałbyś, co zaszło, mógłbyś zrobić coś głupiego, a tak zrobiłeś coś, do czego przygotowywaliśmy cię przez całe lata.

- A jaki to ma związek z tym dzieciakiem i naklejką w jego bucie?

- No właśnie, już zaczynam tłumaczyć. Od pewnego czasu, aby nie stracić w całości kontroli nad sytuacją, zaczęliśmy organizować niezależne struktury operacyjne. Mieliśmy nad Wormem, jak go nazwałeś, pewną przewagę, on nie do końca rozumiał relacje międzyludzkie i kwestie kulturowe. Jego system bazodanowy, choć potężny i niezwykle wyrafinowany, był na swój sposób konserwatywny. Nie przyjmował nowych pojęciowych kategorii, bo nie potrafił prawidłowo klasyfikować paradoksów. Na przykład nie mógł pojąć, jak to możliwe, że facet może chcieć przebrać się za kobietę. Nie mógł zrozumieć, że ten facet jest kobietą tylko w męskim

ciele, w jego świecie nie było takiej płci.

- Znam to doskonale. - wtrącił Jan.

- A no właśnie. Co ja będę tłumaczył to tobie. Ty przecież jesteś od tego fachowcem. W każdym razie zaczęliśmy wykorzystywać tę lukę, słusznie podejrzewając, że te kwestie, których nie potrafi zrozumieć, nie będą nigdy przedmiotem jego zainteresowania. W ramach tejże cichej wojny zaczęliśmy więc rozwijać tak zwane „Centra Studiów Kulturowych, które tak naprawdę zajmowały się niczym innym, jak tylko tradycyjną robotą operacyjną. Aby nie było możliwości wykorzystania powstających tam materiałów przez naszego wewnętrznego wroga, posunięto się swojego czasu nawet do tego, że wszelkiego rodzaju materiały były sporządzane na przedpotopowych maszynach do pisania. Wyobrażasz to sobie? No więc struktury te miały także zajmować się gromadzeniem informacji o procesie samorozwoju architektury Worma. Potem trochę dla kamuflażu zaczęliśmy współpracować z grupą jasnowidzów.

- Z kim?

- Z jasnowidzami. Nie dziw się. To potężna gałąź naszej wiedzy. Oni zaczęli praktycznie od zera. Zajęli się telepatią, odczytaniem myśli i podobnymi sprawami. Z początku też podchodziliśmy do tego z przymrużeniem oka.

- Myślałem, że we współczesnym świecie nie ma miejsca na takie banialuki.

- Ja wtedy też tak myślałem. Ale nagle okazało się, że z ich raportów wyłania się przyszłość i to dość precyzyjnie. Korzystali po

części z materiałów dostarczanych przez system, z tradycyjnej roboty naszych „antropologów, a po części ze swoich metod. I wyobraź sobie, że zaczęło to działać. Przewidzieli kilka katastrof naturalnych, parę politycznych przewrotów na świecie. A gdy zaczęli przepowiadać terrorystyczne zamachy, zaczęliśmy rozumieć, że mamy broń porównywalną do tej, jaką dysponuje nasz elektroniczny przeciwnik. W końcu dowiedzieliśmy się o rzeczy niebywałej. Zaczęli przepowiadać narodziny pewnego człowieka, który ma odmienić ludzkość. Miał mieć po swojej stronie jakieś siły przyrody, mógł gromadzić i przetwarzać wiedzę, o której nawet nie śniliśmy. Co więcej, miało mu towarzyszyć wielu do niego podobnych. Można byłoby to uznać za jakichś bełkot, lecz cały problem polegał na tym, że poszczególne ekipy jasnowidzów niezależnie od siebie zaczęły dochodzić do podobnych wniosków. Pewna grupa twierdziła wręcz, że będzie to nowy gatunek człowieka, kolejny ewolucyjny krok milowy w rozwoju ludzkiej rasy. Jakaś przełomowa mutacja, która doprowadzi do kresu naszego porządku i stworzy nowy. Ów jegomość jest albo raczej musiał być strasznie potężny. Podobno niektórzy mistrzowie medytacji po wieloletnim treningu potrafią zaledwie ułamek tego, co potrafił ten gnojek. Nie traktowałem tego poważnie, gdy nie tak dawno temu, w czasie kolejnego seansu, wszyscy z najlepszej ekipy jasnowidzów, którzy próbowali nawiązać z nim telepatyczny kontakt, padli nieprzytomni z popękkanymi bębenkami w uszach. Dwóch z nich natychmiast podało się do dymisji, a my przecież płacimy im niemało. Jedyne, co udało im się ustalić, to to, że

sprawy nagle przyspieszą, więc postanowiliśmy niezwłocznie działać. Tak więc, niezależnie od wojny z systemem, musieliśmy rozpocząć prowadzenie drugiej, równie finezyjnej gry. Może bardziej oddalonej w czasie, ale jednak równie ważnej. Jaki sens miałoby pokonanie Worma, skoro za chwilę musielibyśmy i tak oddać władzę? Oczywiście kwestią jest to, że nie mogliśmy pozwolić na to, aby to nowe, dopiero początkujące zagrożenie dogadało się z Wormem i połączyło siły przeciw nam. Dlatego musieliśmy, rzecz jasna, przy organizowaniu całego przedsięwzięcia w jak najmniejszym stopniu posługiwać się elektronicznymi gadżetami.

- Przecież to niemożliwe. Jeśli jest tak, jak mówisz, to znaczy, że to są dwa odrębne, z pozoru nieprzystające do siebie światy. Świat natury i technologii, życia i śmierci, dobra i zła.

- Yin - yang. Masz rację, brawo. Tylko, że wtedy w tej układance nie ma, niestety, miejsca dla nas.

- To prawda. - powiedział z uznaniem Jan. Tak szybka i błyskotliwa odpowiedź starca oznaczała, że musiał na ten temat rozmyślać już wcześniej.

- Precyzja naszych współpracowników jasnowidzów doszła do tego stopnia, że potrafili dość dokładnie ustalić przyszłe wypadki. Według nich nasz świat czeka katastrofa. Co do jej przebiegu i konkretnego terminu istnieją rozbieżności i kontrowersje. Jednak aby jej zapobiec, należało po pierwsze unieruchomić Worma, co udało się dzięki tobie. Drugim warunkiem jest zabicie dzieciaków, które w przyszłości mają doprowadzić do unicestwienia naszego świata. Jeśli

tego nie zrobimy, ten ciągle nie do końca zidentyfikowany przez nas mały łajdak wyruszy w jakąś wieloletnią pielgrzymkę, podczas której będzie nauczać ludzi i budować armię swoich wyznawców. Nie wiemy, kto to jest, ale mamy ustaloną listę około dziesięciu gówniarzy, którzy spełniają wszystkie kryteria bycia wybrańcem. Jakim cudem udało im się przejść przez sito selekcji i jeszcze chodzić po tym świecie? Nie wiem.

„A ja chyba wiemh - pomyślał Jan. „SzeF Wszystkich SzeFówh jakby zrozumiał jego myśli, bo zaczął kontynuować swój wywód.

- Istnieje pokusa, aby dorwać tego drania i zbadać go kawałek po kawałku, aby dowiedzieć się, na czym polega ta jego wyjątkowość. Dlatego do niedawna obserwowaliśmy całą dziesiątkę, a dosłownie wczoraj, przed twym bohaterskim, wyczynem wydałem rozkaz ich likwidacji.

- To znaczy, że to nie Worm wpadł na pomysł likwidacji dzieci tylko wy?

- Oczywiście, że my. Pracujemy nad tym systemowo od wielu lat. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że występująca plaga śmiertelności noworodków nie była przypadkiem. Jeszcze wcześniej uruchomiliśmy specjalny program aborcyjny, to znaczy, „świadomego macierzyństwa. Mam nadzieję, że w znacznej mierze udało się opanować ową czekającą nas zarazę. Jednak wielu się przecisnęło przez zastawione pułapki. To przecież nic innego, jak świadoma polityka profilaktyki społecznej. Najpierw wystarczy przekonać kobiety, że to, co noszą w brzuchu, to tylko kawałek mięsa, a potem

wystarczy na badaniach prenatalnych naopowiadać im bzdur, że dziecko będzie chore. Same proszą, aby je wyskrobać. Wtedy, w czasie wielkiej akcji, były też i takie, które nie chciały tego za żadne skarby świata. Były to jednak odosobnione przypadki.

- Kiedy to było? - zapytał Jan.

- Jakies dziesięć lat temu. Nie ma nic przyjemnego w podawaniu kobietom potajemnie środków wczesnoporonnych, ale cel uświęca środki. Nie była to zresztą akcja o wielkich rozmiarach. Dotyczyła tylko tych osobników, w stosunku do których istniała nieomal pewność, że będziemy mieli z ich powodu kiedyś kłopoty. Rzecz jasna, cała sprawa dotyczyła wyłącznie kobiet spoza naszej kasty.

Ostatnie słowa Czerwienieckiego sprawiły, że wcześniejsze intuicyjne wątpliwości zmieniły się w pewność. W tej chwili przed jego oczami na ułamek sekundy pojawiła się Ona, a właściwie jej ostatnie wspomnienie. Leżała w szpitalnym łóżku, uśmiechając się serdecznie. Trzymała w ręku ostatnie zdjęcie USG z twarzą ich dziecka. Było jakby śpiące, niewinne. Portret ten przychodził czasami do niego w snach. Twarzyczka uśmiechała się zniewalającym, dzieciennym uśmiechem pokazując pozbawione zębów dziąsła. Do porodu pozostało jeszcze kilka dni, ale lekarze kazali jej leżeć. Było już późne popołudnie. Miał wrócić rano albo czekać na telefon, gdy zacznie się już coś dziać. Telefon był o świcie. Poinformowano go, że zmarła w nocy w wyniku wewnętrznego krwotoku. „Ona nie była z naszej kastyh - pomyślał i tylko cudem opanował wściekłość zaciskając pięści. Teraz tylko jedna myśl kołatała się w jego głowie:

„Opanować się, zachować pozory, za wszelką cenę nie dać po sobie poznać.” Wyłączył się na chwilę. W międzyczasie Czerwieniecki kontynuował swój monolog.

- Wyobraź sobie, że rodzice tego gnojka byli za granicą. - ciągnął dalej starzec. - Potem jeden z naszych miał zrobić z nim porządek tuż po urodzeniu, ale stchórzył. To niesamowite. Ponieważ wiemy niemal na pewno, że najbliższe tygodnie są kluczowe dla naszej przyszłości, postanowiliśmy nie zwlekać i dokonać bezpośredniej likwidacji tych, którzy stanowią dla nas największe zagrożenie. Najbliżej był ten 12535. Wyobraź sobie, że ten konkretny gnojek był podobno nieziemsko inteligentny. Oczywiście nasz system edukacji miał go za debila, ale czego oczekiwać po życiowych wykolejeńcach, którzy z braku lepszego pomysłu na życie zostają w tym kraju nauczycielami? Ostatni zamach w pociągu to także nasza robota. Na wszelki wypadek podjęliśmy pewne dodatkowe kroki w tej sprawie. Wcześniej wysyłaliśmy jego ojca w jakąś lipną podróż służbową. Pewnie jest już po wszystkim, także i z nim. Czekam właśnie na raport od egzekutora. Jakoś się nie odzywa. Jeszcze widać nie wpadł na to, że po awarii może zadzwonić bez obawy i że żaden rejestrator go już nie nagra.

- Po co to robisz?

- Co takiego?

- No to wszystko? Przecież nie będziesz żył wiecznie, a wszystko i tak zawali się wcześniej czy później.

- Dla idei. Tak. Nie przesłyszałeś się. Dla idei. Moją ideą jest

brak idei. Jeśli wszystkie są - zgodnie z prawdą - utopijne, więc jedynym porządkiem świata, dla którego warto jest się poświęcić, jest czuwanie nad tym, aby żadna z nich nie zdominowała innych. Oczywiście taki system potrzebuje strażników, którzy będą czuwać nad niezmiennością tego ładu. Moją ideą jest trwanie. Jestem to winien naszej kaście wybrańców. Żyjemy w świecie mitów. Tylko pierwotne instynkty i odruchy mają znaczenie. Tylko przywiązanie do swego szczepu jest ważne. Ale to tylko tło. Poza tym jest jeszcze coś ważniejszego. To my ustalamy, czym jest dobro, a czym zło. Wszystko zależy wyłącznie od nas. Niektórzy mówią, że to zabawa w Boga, a ja sądzę, że jesteśmy ponad nim, bo Bóg nie zmieniał swoich zasad, a my możemy czynić to dowolnie, jak nam się podoba. I tak samo jak on jesteśmy nieśmiertelni. Dlatego tak ważne jest przetrwanie naszego stada. Przetrwanie to warunek boskości.

- Jesteś tak samo chory jak Waliszek - powiedział Jan. Starzec odpowiedział śmiechem, uznając szczerłość swego rozmówcy za dobry żart.

- To co wybierasz? Urząd premiera czy prezydenta? A może dożywotnie miejsce w senacie? A może chciałbyś po mojej śmierci zająć moje miejsce? Powiem szczerze, że myślałem już o tym. Teraz, po twoim sukcesie, to nawet jest wysoce prawdopodobne.

- O nie! Ty będziesz przecież żyć jeszcze nie wiadomo ile, a ja sam się zestarzeję, czekając na schedę po tobie. A nie mógłbym skończyć właśnie jak Waliszek? Gdzieś na jakiejś wyspie na Karaibach, nie martwiąc się o nic?

- Zapewniam cię, że nie chciałbyś skończyć jak Waliszek. Nie ma przecież już takich wysp. Były może dawno temu, a życie na nich nie było wcale łatwe. Waliszek czeka w tej chwili na prawdziwy proces za serię morderstw. Za chwilę skończy w jakimś psychiatrycznym zakładzie. Skończy pewnie zabity przy próbie ucieczki, albo jak zwykle jakiś pielęgniarz złamie mu kark, gdy będzie za dużo szczekał.

- Ale to przecież jeden z nas. Ktoś się za nim wstawi.

- To przede wszystkim świr, a nawet najlepsza ptasia matka wyrzuca z gniazda chore pisklęta, dla dobra tych zdrowych. W pewnych sytuacjach nie możemy sobie pozwolić na sentymenty. Poza tym wszyscy widzieli w telewizji, że został schwytany za serię morderstw, więc nikt nie będzie zabiegał o jego uwolnienie. Sam więc widzisz, jaką siłę oddziaływania mają media. One są prawdą, wyrocznią i jedynym punktem odniesienia - znów wypuścił kłęb dymu. - To co? Prezydent czy premier?

- Zostawmy to na razie. Muszę ochłonać. Pójdę już - powiedział Jan znów z rozbijającą szczerością.

Obaj powstali.

- Idź i odpocznij. Czeka cię wielka przyszłość - powiedział Szeff, uściskawszy jego dłoń. Jan popatrzył na niego i bez słowa opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi. Wyszedł z budynku, dopiero teraz dostrzegając skupiony na sobie wzrok mijanych na korytarzach ludzi. Zdał sobie sprawę, że co chwila jego krokom towarzyszą szepty. Widział, że czasu zostało mu mało, ale zrobił wszystko tak, jak

należało. Nauczono go podejmowania szybkich, często instynktowych decyzji, które trzeba wdrażać z konsekwencją. Mógł jeszcze zawrócić, a wtedy wszystko wróci do normy, a on sam będzie poważany i szanowany, będzie żył w luksusie i zbytkach. Jan jednak był jak ptak, który zamknięty przez całe życie w klatce, poznał urok swobody.

Śmiercionośne czarne pudełka miały jeszcze jedną szczególną cechę. Posiadały specjalny tryb awaryjny, używany tylko w nagłych wypadkach. Dzięki niemu po naciśnięciu określonej kombinacji klawiszy można było uruchomić urządzenie ręcznie, w trybie natychmiastowego działania. Nie było potrzebne wtedy urządzenie zdalnego sterowania, którym często był telefon komórkowy wyposażony w tę specjalną funkcję. Nie potrzebny był też aktywujący katalizator. Oczywiście osoba go uruchamiająca była samobójcą, ale w wyjątkowych wypadkach można było pozwolić sobie i na ten luksus. W końcu sitwa była jedyną wartością, za którą warto było zginąć. Sitwa, do której należał od wczoraj, była czymś więcej niż tylko zwierzęcym poczuciem wspólnoty. Była czymś abstrakcyjnym, niepojętym, ale ważniejszym niż doczesność. Nie potrafił nawet określić poczucia tej „przedziwnej wspólnoty. Nie istniały takie słowa, które by to określiły. Jeśli nawet istniały kiedyś, to jego ich nie nauczono lub zapomniano tego określenia.

Nigdy dotychczas nie był tak spokojny i pewny tego, co robi. Miał tylko nadzieję, że nie popełnił błędu.

Zbiornik nr 12535 leżał w tej chwili na dachu głównej windy w budynku Firmy. Sączący się z niego gaz powoli wraz z jej ruchem

rozprzestrzeniał się po całym budynku. Wchodził do zakamarków, sekretariatów, gabinetów i garaży. Był wszędzie, a zwłaszcza w płucach jego kolegów. Pozostawał na meblach, parapetach i podłogach. Systemowo zacznie wywoływać to, do czego został wymyślony. W zależności od odporności organizmu lub jego genetycznej specyfiki będą pojawiać się udary mózgow i zawały serca. Nawet niegroźne przeziębienie będzie mogło doprowadzić do nagłej infekcji. Lawina śmierci będzie tak szybka, że pozostali jeszcze przy życiu szkoleniowcy nie nadążą przygotowywać nowych kadr, a zdziesiątkowane dowództwo straci kontrolę nad wszystkim, pogrążając się w coraz to większym chaosie i panice. Zdadzą sobie sprawę z tego, że padli ofiarą jakiegoś sabotażu, lecz na prowadzenie wewnętrznego śledztwa będzie już za późno i nie będzie miał kto go poprowadzić. Kiedyś ktoś może odnajdzie w czasie remontu windy jakieś dziwne pudełko. Być może wyrzuci je do kosza wraz z innymi śmieciami, albo zanieśli tajemnicze znalezisko do jakiegoś ocalałego funkcjonariusza. Może wtedy ustalą, kto dysponował konkretnym numerem urządzenia. Jeśli sprawę będzie prowadzić wyjątkowo bystry funkcjonariusz, być może połączy fakt znalezienia konkretnego urządzenia z katalizatorem znalezionym w kieszeni lub pokoju Czerwienieckiego, co skutecznie może zmylić trop. Wtedy cała sprawa zostanie potraktowana jako wewnętrzny spisek o władzę i dyskretnie umorzona. Istniało też spore prawdopodobieństwo, że nikt nie poprowadzi żadnego śledztwa, a cała instytucja przewróci się niczym domek z kart. Ten kruchy organizm, w imię trwania którego

dokonywano tylu zbrodni, przestanie istnieć, udowadniając przez to najlepiej, jak wielką utopią był w istocie. Wraz z nią obróci się w proch także mit ich zbiorowej boskości. Szkoda, że nie będzie mu dane obserwować tego wszystkiego, gdyż stanie się ofiarą swego zamachu, podobnie jak jego towarzysze, przez co jeszcze bardziej zatrze za sobą ślady.

Wyprawa

Maciej dojechał do domu późnym popołudniem. Zastał na podwórku swego syna siedzącego na gałęzi zwałonego drzewa. Gdy malec dostrzegł ojca, podbiegł i rzucił się mu na szyję. Trwali tak przez chwilę w uścisku, aż nie otwarły się drzwi do domu, przez które wybiegła Marta i popiskujący pies. Stali tak przytuleni. Gdy udali się już do domu, nawzajem opowiedzieli sobie historie i postanowili, że już nigdy nie pozwolą sobie na taką rozłąkę. Cały świat przez ten czas wirował wokół nich, a oni chcieli tylko, aby pozostawił ich w spokoju, dopóki nie upomni się o ich syna.

- Musimy stąd odjechać. Nie na długo zaznamy spokoju. Wcześniej czy później znowu ktoś będzie próbował zrobić nam krzywdę. - powiedziała Marta.

- A szkoła? - rzucił Maciej.

- Jaka tam szkoła! Mamy dziecko, które już dawno pozjadało wszystkie rozumy. Być może to my jesteśmy dziecinni?

- Czego mógł chcieć ten człowiek?

- Chciał nas zabić - powiedział Piotr - ale teraz już nic nam nie grozi. Jest już bezpiecznie. Bazyli mówił, że był to ostatni moment, w

którym mogli powstrzymać to, co nieuniknione. Ale mama ma rację. Odjedźmy stąd, nie chcę patrzeć jak usycha mój przyjaciel.

- Z czego będziemy żyli? - zapytał Maciej.

- O to się nie martwcie - powiedział Piotrek. - Wystarczy, że poproszę moich przyjaciół, a oni na pewno wskażą mi miejsce, w którym ktoś przed wiekami ukrył coś cennego. Na pewno w każdej okolicy można odnaleźć jakiś ukryty w dziupli mieszek, albo zakopany garnek złota, o którym zapomnieli już wszyscy. O to się nie martwcie. Teraz ja będę żywicielem rodziny. Tylko jeden warunek: żadnych telefonów.

- O proszę! Ledwo odrósł od ziemi, a już zaczyna stawiać warunki - powiedziała z uśmiechem Marta.

- Szkoda tylko tego domu, tych książek - powiedział Maciej, od początku najwyraźniej niechętny planom wyjazdu.

- Ale przecież tu wrócimy. Odrobina cygańskiego życia nam nie zaszkodzi - powiedział Piotrek. - Poza tym mam pewien pomysł. Sądzę, że znam kogoś, kto idealnie nadawałby się na opiekuna naszego domu. Muszę do niego tylko napisać list.

- Mam nadzieję, że to nie będzie żaden bluszcz, wielka muchołówka ani żaden tygrys bengalski.

- Nie, to prawdziwy człowiek - zaśmiał się Piotrek. - Być może jeden z niewielu jacy pozostali.

- To dobrze, kiedy wyruszamy? Proponuję jutro po obiedzie. Musimy się przecież spakować - powiedział Maciej.

- Nie. Jedźmy już teraz. Na początek muszę odwiedzić twojego

kuzyna nad morzem. Podobno jego żona spodziewa się dziecka. Trzeba chyba powrócić do tradycji rodzinnych odwiedzin. A potem zobaczymy - zaprotestowała Marta. - Mam już spakowane najpotrzebniejsze rzeczy. Poczekajmy tylko chwilę, aż Piotruś napisze list do tego tajemniczego dozorca. Nie mam ochoty spędzić tu kolejnej nocy, będzie przypominała tę poprzednią.

- Ja także mam nadzieję, że ta dzisiejsza noc nie będzie przypominać tej wczorajszej. Mam dość jazdy i spania w samochodzie - mruknął pod nosem Maciej.

- Wyluzuj, staruszk. - powiedziała Marta. - Przejedziemy tylko kilka kilometrów i zatrzymamy się w jakimś motelu. Jak przygoda, to przygoda.

- Widzę, że gdy zmienił się żywiciel rodziny, ja już tu nie mam nic do powiedzenia - odparł z udawanym smutkiem Maciej, po czym cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Nie minęła kolejna godzina, a już wszyscy siedzieli w zapakowanym po brzegi samochodzie. Maciej mruczał coś pod nosem o czekającej go niechybnie karierze zawodowego kierowcy. Propozycję Marty o poprowadzeniu samochodu przez nią zignorował całkowicie. Hektor zajął tylne siedzenie obok miejsca przewidzianego dla Piotra, który poszedł jeszcze pożegnać się z Bazyliem i zostawić list w drzwiach domu. Dotarł po chwili z łzami w oczach i niewielką suchą gałązką w ręku.

- Będzie mi o nim przypominać - powiedział do rodziców.

Maciej uruchomił silnik i ruszyli w drogę.

Pogodzeni z losem

Po opuszczeniu budynku Firmy nie udał się w kierunku domu. Od razu skręcił w lewą przecznicę i odtąd przemykał między wąskimi uliczkami. Nie chciał do niej dzwonić. Wolał spojrzeć jej w oczy. Jednak nie posłużył się intuicją dla jej znalezienia. Użył wcześniej tylko tego piekielnego urządzenia do namierzenia pozycji jej telefonu. Urządzenie naprowadzające nie skierowało go do dzielnicy uciech. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. O tej porze ruch w tym miejscu był bliski zeru. Przed południem dzielnica rozpusty przypominała raczej nudne przedmieście, a tylko migoczące gdzieś neony psuły ten wizerunek. Tętniący punkt na jego telefonie wskazywał obszar tanich czynszowych, jednopokojowych mieszkań na wynajem. Skręcił w jakiś porośnięty krzewami zaułek i w oficynie znalazł niewielki jednopiętrowy dom. Przed domem stał samochód firmy przeprowadzkowej. Dwóch osiłków w jaskrawych, przybrudzonych kombinezonach znosiło właśnie duży staroświecki fotel. Tuż za nimi podążała Karolina, niosąc pudło pełne drobiazgów. Zobaczyła go i odstawiła pudło obok samochodu. Czekwała. Podeszedł do niej. Stali oboje w milczeniu, patrząc sobie w oczy. W pewnej chwili on ukląkł i przytulił do swej twarzy jej drobne ciało. Chciał jej powiedzieć o wszystkim, o chłopcu, o Wormie, i o swojej samotności, od której ona była jedynym wybawieniem. Chciał jej opowiedzieć o swych rodzicach i o tym, że zostało mu już niewiele czasu, aby wymazać swe winy. Ale on, zamiast mówić, klęczał marnując jeszcze bardziej tak cenny czas, który mu pozostał. Zaczął szlochać. Ona położyła dłonie

na jego głowie i zaczęła głaskać jego włosy. Trwaliby tak nie wiadomo jak długo, gdyby nie teatralne chrząknięcia tragarzy.

- Przepraszam, pani kierowniczo, czy jedziemy z tym koksem, czy tak se stoimy? Sama pani wie: czas to pieniądz - słowa te wyrwały ich z czułego letargu. Jan wstał i znowu spojrzał w twarz Karolinie. Na jej policzkach widać było także ślady łez. Uśmiechnęli się do siebie.

- Wnieście panowie to z powrotem. Przepraszam - powiedziała Karolina.

- Płacę podwójnie i niekoniecznie na firmę - dorzucił Jan, likwidując wszelkie mogące się pojawić wątpliwości i ewentualne niezadowolenie tragarzy. Fotel niemal poszybował na ramionach mężczyzn z powrotem na górę.

- Czy zostaniesz moją żoną? - zapytał?

- A czy kochasz mnie wystarczająco mocno, żeby znieść moje towarzystwo do końca życia?

- Tak. Kocham cię. Sądzę, że w moim przypadku nie będzie to trudne. Mamy mało czasu. Na razie o nic nie pytaj. Potem opowiem ci wszystko - przytulił ją delikatnie i trwali tak przez dłuższą chwilę. - Zanim się to stanie, chciałbym, abyś kogoś poznała.

- Zamknę tylko mieszkanie.

- A ja rozliczę się z panami. - mówiąc te słowa dostrzegł dwie barczyste postacie stojące tuż za nimi i wpatrzone w nich jak w telewizor. Wyciągnął swój telefon i każdemu z mężczyzn przekazał równowartość dwóch dniówek.

- Mam jeszcze prośbę. Czy podwieziecie nas w pewne miejsce niedaleko od miasta. Płacę ekstra.

- Królu złoty! Jeśli stawka będzie taka jak za noszenie tego fotela w tę i z powrotem, to i na koniec świata. - W tej samej chwili pojawiła się Karolina. Wsiedli do kabiny kierowcy. Drugi z tragarzy zajął miejsce z tyłu samochodu. Ruszyli i mijając kolejne ulice opuścili miasto. Zatrzymali się dopiero przed bramą wiodącą na podwórze, obok starego, ale ładnie utrzymanego domu, którego frontową ścianę pokrywał wszędobyłski bluszcz. Urok tego miejsca szpeciło tylko przewrócone drzewo. Rozłożysty, spróchniały klon musiał runąć całkiem niedawno. Wsiedli z samochodu. Jan zapłacił dodatkową kwotę uradowanemu kierowcy, który zaoferował na przyszłość swe usługi. Mężczyźni wsiedli do samochodu i odjechali. Jan i Karolina weszli na podwórze. Nie było tam nikogo. Nieśmiało, powoli kroczyli w stronę domu. Zatrzymali się przy drzwiach.

- Zobacz. Nie ma psa. To dziwne. - powiedziała Karolina, dostrzegając przez oszklone drzwi wiodące na ganek psie legowisko. Nagle Jan przypomniał sobie słowa Czerwienieckiego o „poczynionych krokachh i krew uderzyła mu do głowy. Poczul strach połączony z rozpaczą. Zastygl tak w bezruchu i bezsilności, nie wiedząc, co czynić dalej. Nie świadoma jego wewnętrznego dramatu Karolina rozglądała się dookoła. Jej uwagę zwróciła szara koperta tkwiąca na samym dole między drzwiami a progiem. Dostrzegła ją od razu, uznając za jakąś staroświecką reklamę. Wzięła ją do ręki i odczytała zapisane na niej niewprawnym, dziecięcym pismem słowa:

„Dla Janah.

- Zobacz, niesamowite. To chyba do ciebie - i podała Janowi, wyrywając go w ten sposób ze stanu zatroskania i niemocy. Rozerwał nerwowo kopertę. W środku znajdowała się zapisana dziecięcym pismem kartka:

„Drogi Janie

Ostatnie dni były dla nas dość intensywne, dziwne i niebezpieczne, ale wszystko wskazuje na to, że na razie zagrożenie minęło. Rodzice (a właściwie mama) postanowili, że musimy wyjechać na jakiś czas. Nie wiem, na jak długo. Zaopiekuj się, proszę, domem pod naszą nieobecność. Mieszkajcie tu jak u siebie, kochajcie się, miejcie dzieci i cieszcie się każdą chwilą. Życie, czy jest długie czy krótkie, zawsze trwa tyle samo.

A i jeszcze jedno. Przewrócone drzewo na podwórku jest dla mnie dość ważne. Dajcie mu odejść w spokoju i nie sprzątajcie go, zanim całkowicie nie uschnie. Może i ono odrodzi się z upadku? Zróbcie, proszę, z jego nasion sadzonki i posadźcie je gdzieś w okolicy.

Do zobaczenia. Nie wiem kiedy, ale nieprędko.

Piotrek

Ach, zapomniałem. Klucz jest pod doniczką stojącą w rogu przy drzwiach

Przeczytali tę wiadomość oboje kilkakrotnie. W końcu Jan złożył starannie list i umieścił w kopercie.

- Skąd on wiedział, że tu przyjedziemy?

- Wszystko w swoim czasie. Dlatego chciałem, abyś go poznała. Ten list to oferta, błogosławieństwo i przepowiednia. Wszystko wskazuje na to, że mamy więcej czasu niż sądziłem. Całe życie. Choć nie wiadomo, czy to dużo czy mało.

- W każdym razie mamy gdzie żyć. - powiedziała Karolina, sięgając do stojącej przy drzwiach doniczki.

„W każdym razie będziemy żyć, i to jest najważniejsze, choć nie wiem, jak to możliwe.” - pomyślał Jan.

- Chyba znowu będzie trzeba ściągnąć tych gości od przeprowadzek. Przyjadą natychmiast.

Weszli do środka. Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócili uwagę były książki pokrywające wszystkie ściany salonu.

- No to mamy co robić na całe lata - powiedziała Karolina.

- Ale chyba nie tylko to.

- A co masz na myśli?

- No, na przykład gotowanie. Znam jednego świetnego kucharza, którego także powinnaś poznać. No i małżeńskie obowiązki...

- Żadnego kucharza. Myślisz, że nie potrafię gotować? Mikrofalówkę potrafi przecież obsłużyć każdy. - Oboje wybuchnęli śmiechem. Przekomarzali się tak jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem zajęli się oglądaniem domu i przeglądaniem księgozbioru. Karolina z pochyloną głową przeglądała grzbiety książek, aż w pewnej chwili wyjęła jedną z nich.

- Znasz to? - spytała. Jan wziął ją do ręki podaną przez Karolinę książkę.

- „Nowy wspaniały świat. Utopijny świat ludzi tak szczęśliwych, że aż nie wiedzących, jak bardzo są nieszczęśliwi. Tak, znam. Znam lepiej, niż ci się wydaje, i lepiej, niż był to sobie w stanie wyobrazić autor tej książki - powiedział Jan i odłożył tom z powrotem na miejsce. - Chyba pora zająć się przeglądaniem lodówki, jak przystało na parę dzikusów.

- O, świetny pomysł. Też czuję się głodna - jednak słowa usłyszane przed chwilą nie dawały jej spokoju. - Jeśli wizja takiego świata jest utopijną, to jaka nią nie jest?

- Każda z góry narzucona wizja jakiegoś społecznego porządku jest w pewnym sensie utopią. Tego typu wizja szczęśliwego świata w końcu zmienia się w swego niebezpiecznego mutanta. Jedyne akceptowalne rozwiązanie to takie, w którym państwo jest tylko gwarantem wolności - mówiąc to, Jan poznawał topografię kuchni w poszukiwaniu ukrytej gdzieś lodówki. Karolina dołączyła do poszukiwań. W końcu odnaleźli to, czego szukali. Nie zdziwiło ich specjalnie, że lodówka świeciła pustkami. Znaleźli jednak kawałek chleba w skrzynce na kredensie i konfitury stojące na jednej z półek. Zjedli ten improwizowany posiłek ze smakiem, popijając go gorącą herbatą.

- Co zjemy na śniadanie? Trzeba będzie jechać do miasta. - powiedział i ziewnął znacząco.

- Nie myśl o tym. Będziemy martwić się o to jutro. Chodźmy, poszukamy sypialni.

Wiedzeni jakimś instynktem, znaleźli ją bez większego

problemu na piętrze. Zasnęli wtuleni w siebie. Nie śnili.

Nadeszła noc. W okolicy nie było nikogo. Lekki wiatr szumiał po krzewach. Jego podmuch był tak subtelny, że stojące dookoła domu drzewa zareagowały jedynie lekko dostrzegalnym drzeniem liści. Piotr będąc tu teraz dostrzegłby z pewnością postać mężczyzny z dziwną pręgą na szyi, pozostawioną przez uciskający go jeszcze tej nocy łańcuch. Nieszczęśnik siedział na pniu zwalonego drzewa i szlochał nad swym losem. Ale Piotra tu już nie było, więc nikt nie mógł dostrzec rozpacz, pocieszyć go i wysłuchać. Myśl o powrocie chłopca w te okolice była jedyną nadzieją jaką miał i której musiał się uporczywie trzymać.

Liście przewróconego klonu zwiędły lekko, lecz wciąż zachowały swą zielen. W drzewie ciągle jeszcze krążyły soki.

Posłowie

Szanowny czytelniku

Niedawne zamieszanie wokół umowy ACTA jest dowodem na postępujący proces ograniczania wolności i społecznej podmiotowości. To ów niepokojący proces nakłonił mnie do wyboru takiej a nie innej formy publikacji tej książki. Sądzę jednak, że nie wszystko jest stracone. O tym w końcu jest tak powieść.

Wydaje się, że jednym ze sposobów na powstrzymanie procesów ograniczenia wolności słowa jest stworzenie silnych bezpośrednich relacji twórców i odbiorców kultury, bez pośrednictwa korporacji. Musimy tylko wypracować i udoskonalić ten sposób

relacji, tak aby wszystkie strony tego procesu były zadowolone.

W końcu to ja jestem autorem i właścicielem praw do tej książki, a więc mam prawo zrobić z nimi co mi się podoba. Dlatego zdecydowałem się udostępnić tę powieść w sieci za darmo dla każdego kto tylko chce poświęcić swój czas, aby ją przeczytać.

Moja propozycja jest zatem następująca:

- możesz pobierać, czytać i przysyłać znajomym tę książkę za darmo,

- jeśli uznasz moją powieść za godną uwagi wartościową pozycję, wpłać jakąś dowolną, niewielką kwotę na moje bankowe konto. Będzie to wyraz uznania mojej pracy i zachęta do jej kontynuowania.

Andrzej Danilkiewicz

30 1540 1144 3045 6460 9775 0001

Czas, który poświęciłem na jej napisanie został odebrany mojej rodzinie. Niechaj to będzie drobną formą rekompensaty za ów czas, który mogłem spędzić z moimi bliskimi, a nie przy komputerze.

Pragnę dodać, że licencja na bezpłatne użytkowanie książki dotyczy wyłącznie niniejszego kompletnego pliku PDF i wyklucza wszelkie formy publikacji całości lub fragmentów w jakiegokolwiek innej formie bez mojej wiedzy i zgody. *autor*

Autor o sobie

Jestem człowiekiem sukcesu: mam zdrowie, wspaniałą rodzinę i nie mam kredytów do spłacenia. Pracuję zawodowo zgłębiając meandry planowania strategicznego i procesów innowacyjnych.

Stanowi to dla mnie olbrzymie źródło satysfakcji.

Mieszkam w podlubelskiej wsi. Wraz ze wspaniałą żoną i dwoma dorastającymi synami codziennie odkrywam na nowo świat, który tylko z pozoru jest taki, jak nam się wydaje.

